Awantura o szkolne menu • Terapia ostatniej nadziei • Putin wymienia kadry
Po przodkach do sprawcy • Patologia ryczałtów • Apostazja dziś • Sezon na „Lalki”

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY 1

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
© STUDIO POLITYKI/SHUTTERSTOCK

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 37 (3581), 9.09–15.09.2026

Początek politycznego sezonu w cieniu afery. Kto na niej najwięcej straci, kto skorzysta.

s. 14

Gra w Zondacrypto

ISSN 0032-3500
37
9 770032 350602

Wydanie w sprzedaży do 15.09.2026

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

Wrześniowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl 1a9930715e

© MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA

10 Nowe szkolne menu

Tematy tygodnia

10 Joanna Cieśla **Szkolne stołówki: bój o schabowego**
14 Rafał Kalukin **Jesień w cieniu Zondacrypto**

Polityka

18 Anna Dąbrowska **Prezydenckie rezydencje**

Społeczeństwo

21 Paweł Walewski **Terapie eksperymentalne: walka nie tylko o życie**
24 Rozmowa z dr **Magdaleną Grabowską** o tym, co język może nam powiedzieć o współczesnej religijności Polaków
27 Jędrzej Winiecki **Co to są lasy społeczne?**
30 Violetta Krasnowska **Genealogia genetyczna: nowy sposób wykrywania morderców**
33 **Piotr Zdybał**, negocjator policyjny, o tym, jak się ratuje zdesperowanych ludzi przed samobójstwem

Rynek

36 Zbigniew Borek **Podwodna obwodnica**
39 Rozmowa z **Jarosławem Nenemanem** o patologiach, jakie powoduje opodatkowanie ryczałtem

Świat

42 Paweł Reszka ROSJA **Wybory do Dumy, czyli o tym, jak Putin wymienia elity**
46 Artur Domosławski **Skrajna prawica podbija Amerykę Łacińską**
49 Piotr Podemski WŁOCHY **Gen. Roberto Vannacci: nowy cezar alt-prawicy?**

Nauka/projektpulsar.pl

52 Robert Jurszo **Kto i dlaczego chce zabijać koty**
55 Agnieszka Krzemińska **Kakao: historia ludzkości zapisana w ziarnach**

Historia

58 Tomasz Targański **Warszawa oczami Bolesława Prusa**
61 Radosław Lolo **Rozbite Mazowsze**

Kultura

68 Justyna Sobolewska **„Lalka": lustro Polaków**
72 Rozmowa z **Wernerem Herzogiem** o jego nowym filmie i współczesnym kinie
75 Dorota Szwarcman **Sinfonia Varsovia wreszcie pod własnym dachem**
78 Mirosław Pęczak **Pop w PRL**

Ludzie i style

88 Michał R. Wiśniewski PODRÓŻE **Japonia inna niż z pocztówki**
89 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **16**, **85**, **90** Galeria POLITYKI
• **64** Afisz • **82** Lis
• **84** Witkowski
• **85** Mizerski
• **86** Do i od redakcji
• **90** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 1a9930715e

Limit pudeł

Mariusz Janicki

Nowy sezon polityczny przebiega w cieniu afery Zondacrypto, której polityczne skutki będą zależeć od tego, na ile mocno uda się prokuraturze powiązać ją z PiS i resztą prawicy oraz jakiej wagi są nagrania, których istnienie potwierdził minister Żurek, ale w ich znaczenie powątpiewa część dziennikarzy. Od dawna wiadomo, że liczy się przede wszystkim „audio", a nie zeznania, bo te mogą być zanegowane na zasadzie, że „powiedzieć można wszystko" – jak to ujął prezes Kaczyński. Tylko przy taśmach zamykają się usta i znikają uśmiechy. Wpływ polityczny będą mieć jednak wyłącznie ewentualne taśmy z nagranymi politykami PiS, ludźmi z bliskiego otoczenia tej partii lub przynajmniej takie, na których się o nich mówi jako o uczestnikach korupcyjnego procederu. Zresztą nawet w tej kwestii już jest budowana w prawicowych mediach narracja, że nagrania są właśnie montowane, więc nie należy dawać im wiary.

Piątkowa sejmowa batalia wokół afery pokazała, iż obowiązuje strategia, aby iść w zaparte, głosić, że to „afera Tuska", nawet jeśli brzmi to coraz bardziej niedorzecznie, tak jak zmieniające się co i raz tłumaczenia posła Moskala z wycieczki na Ibizę. W tej operacji chodzi o wprowadzenie zamieszania, skomplikowanie sprawy ponad zdolności percepcyjne przeciętnych wyborców oraz o zachowanie cenionego przez elektorat wizerunku tych, którzy się nie cofają i nie przepraszają.

Bo każda afera ma warstwę merytoryczną i medialną, w polityce liczy się głównie ta druga i o odbiór społeczny sprawy toczy się teraz bój, a jej zasięg w internecie, o czym świadczy monitoring, jest ogromny (2,2 mld zasięgu według Res Futura), więc stawka jest równie wielka. Są co prawda nowe aresztowania, ale jest pytanie, czy sprawa będzie się bardziej zagłębiać w świat polityki czy w półświatek gangsterski, co może obniżyć zainteresowanie opinii publicznej, chyba że te dwie sfery dramatycznie się przetną. Dlatego wciąż nie jest jasne, jaka jest siła rażenia „Zondaafery", która bez nowych „dostaw" może zacząć wygasać, choć sygnały płynące z obozu władzy sugerują, że szykowane są nowe fajerwerki. Prawicowy komentariat na wszelki wypadek lansuje tezę, że Tusk właśnie przegrzał aferę, a „wątki się nie spinają", jak stwierdziła Dorota Gawryluk z Polsatu (więcej na s. 14).

Ale było też drugie otwarcie jesieni – ciche, ale znaczące – w wykonaniu Krzysztofa Bosaka, jednego z dwóch liderów Konfederacji, wicemarszałka Sejmu. Ten polityk jest uważany za „miłego człowieka prawicy", umiarkowanego, dobrze wychowanego, który ładnie się wysławia. Chwali go nie tylko Jarosław Kaczyński, odróżniając od „darwinisty Mentzena" i widząc go jako wzorowego koalicjanta PiS po wyborach, ale także część liberalnych mediów i ekspertów. Wróży mu się wielką przyszłość, może na stanowisku premiera, i nie sposób tego wykluczyć, bo w polskiej polityce nic nie jest wystarczająco śmieszne, aby na pewno nie mogło się wydarzyć.

Otóż tenże Bosak powiedział w Kanale Zero, że pozostawanie Polski poza Unią Europejską byłoby „prawdopodobnie korzystniejsze" niż dalsze w niej członkostwo, bo korzystalibyśmy ze wspólnego rynku, jak Norwegia, Islandia czy Szwajcaria, a jednocześnie nie podlegali „pozatraktatowym naciskom ze strony Komisji Europejskiej". W rzeczywistości wymienione kraje i tak przyjmują część przepisów UE, nie mając wpływu na ich tworzenie, ponadto płacą za dostęp do unijnego rynku. Widocznie dla Bosaka oznacza to więcej suwerenności, a nie mniej. Rzeczywiście, wtedy Unia nie domagałaby się już regulacji naszego rynku kryptowalut. Wynurzenia Bosaka, chociaż nie wzbudziły większej sensacji, pokazały rzeczywistą wagę nadchodzącej rozgrywki. Okazuje się, że na prawicy praktycznie nie ma już zwolenników Unii Europejskiej, zarazem liberalnego systemu, jaki za tą strukturą stoi. Nie tylko Grzegorz Braun jest jej wrogiem, on tylko stanowi wygodną zasłonę dla innych, bo przeciwnicy dotychczasowego europejskiego ładu stanowią na prawicy zdecydowaną większość, zarówno w PiS, jak i w Konfederacji. Jeżeli Bosak to jest ten „umiarkowany", to co powiedzieć o reszcie.

Polska prawica sekunduje Trumpowi i Vance'owi w rozszczelnianiu Unii, niecierpliwie czeka na zwycięstwo Marine Le Pen w wyborach prezydenckich we Francji, sprzyja prorosyjskiej, rewizjonistycznej niemieckiej AfD, „bo lepiej jest mieć w Berlinie otwartych wrogów niż fałszywych przyjaciół", jak napisał na X Rafał A. Ziemkiewicz. Przez nadchodzące miesiące w przestrzeni medialnej z pewnością będą obowiązywać staronowe hasła typu „nie straszcie Braunem", „antyPiS to za mało", „dość wmawiania, że to kolejne najważniejsze wybory 30-lecia", „przecież nikt nie chce wyjścia z Unii". Pojawią się zapewnienia, że Braun do rządu nie wejdzie, że istnieją porządni konserwatyści, czyli np. Bosak.

Połączona prawica wciąż ma w sondażach wyraźną przewagę, ale koalicja 15 października może jeszcze odwrócić tendencję, ostatnio nieco wzrosły notowania rządu. Jednak, aby tak się stało, groźba rozbicia europejskiego porządku przez połączone siły antyunijne nie może być jedynym argumentem Donalda Tuska i jego ekipy, aby popierać dotychczasową władzę. Raczej nie sprawdzi się wezwanie, że może nie jesteśmy mistrzami, wiele nam nie wyszło, ale nie macie innego wyjścia, niż głosować na nas, bo tamci zrobią polexit.

Właśnie dostrzeganie przez rządzących takich intencji na prawicy, czyli prawdziwej politycznej, wręcz cywilizacyjnej stawki wyborów, powinno być impulsem do znacznie wyższej jakości rządzenia przez najbliższe kilkanaście miesięcy. W sztafetach na ostatnią zmianę wystawia się najlepszych zawodników, sprinterów i fighterów, a widać, że Tusk ma problem z kilkoma resortami. Istotnym sprawdzianem będzie także misja Macieja Berka, nowego sędziego w Trybunale Konstytucyjnym. Premier podjął tutaj duże wyzwanie, koszty polityczne już poniósł, pytanie, czy przyjdą zyski. A porażka w naprawianiu tej instytucji mogłaby stać się symbolem nieskuteczności tych rządów podczas całej kadencji. Nadszedł czas już tylko celnych strzałów, limit pudeł został wyczerpany.

eprasa.pl 1a9930715e

Albatros 40 lat

Albatros travel

Nowy Rok w Rzymie

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Rzymu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, czas wolny i kolacja w hotelu. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Wylot z Rzymu do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026 | od **5.798,-**

Muzyczny Sylwester w Lizbonie

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lizbony. **Dz. 2** Zwiedzanie Lizbony autokarem. Dzielnice Belém, Alfama, Baixa. Po południu czas wolny. **Dz. 3** Wycieczka do Sintry (dodatkowo płatna) lub czas wolny w Lizbonie. Wieczorem kolacja sylwestrowa. **Dz. 4** Spacer po Lizbonie z polskim pilotem. Opcjonalnie koncert noworoczny, dodatkowo płatny. Czas do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Przelot do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026 | od **6.198,-**

NOWOŚĆ

Nowy Rok w Stambule

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Stambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta – Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar. **Dz. 4** Stambuł na własną rękę lub opcjonalna wycieczka po mieście. Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wylot z Warszawy 28/12 2026 | od **6.298,-**

Boże Narodzenie na południu Włoch

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy i przyjazd do Sorrento. **Dz. 2** Najważniejsze atrakcje Neapolu – królewskie pałace, historia i pizza. **Dz. 3** Pompeje -miasto, które zniknęło pod warstwą popiołu. **Dz. 4** Wigilia Bożego Narodzenia w Sorrento. **Dz. 5** Boże Narodzenie w Sorrento – msza, passeggiata i włoski świąteczny obiad. **Dz. 6** Wybrzeże Amalfitańskie – Positano, Amalfi i Ravello. **Dz. 7** Powrót do domu.

7 dni | Wylot z Warszawy 21/12 2026 | od **7.498,-**

NOWOŚĆ

Sylwester na Florydzie i rejs po Karaibach

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy i przyjazd na Florydę. **Dz. 2** Czas wolny w Ft. Lauderdale i kolacja Sylwestrowa. **Dz. 3** Pobyt w Ft. Lauderdale. **Dz. 4** Przedpołudniowe zwiedzanie Miami, rozpoczęcie rejsu. **Dz. 5–6** Dni na morzu na Morzu Karaibskim. **Dz. 7** St. Maarten. **Dz. 8** Basseterre, St. Kitts. **Dz. 9** St. Thomas, Amerykańskie Wyspy Dziewicze. **Dz. 10** Amber Cove, Dominikana. **Dz. 11** Na Morzu Karaibskim. **Dz. 12** Miami i podróż do domu. **Dz. 13** Powrót do domu.

13 dni | Wylot z Warszawy 30/12 2026 | od **14.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL34**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 1a9930715e

Kral sypie

Zeznania Przemysława Krala, zarządzającego upadłą giełdą kryptowalutową Zondacrypto, która nie wypłaciła swoim klientom co najmniej kilkuset milionów złotych, okazują się przełomowe w śledztwach toczących się od lat. Dotyczą one działalności Zondacrypto, jej poprzedniego wcielenia, czyli firmy BitBay, jak również zaginięcia w 2022 r. Sylwestra Suszka, kierującego BitBay. Kral boi się o własne życie – już kilka lat temu dziennikarze Superwizjera TVN ustalili, że udziałowcami BitBay są osoby wywodzące się ze śląskiego półświatka. Na kryptowalutowych transakcjach prały pieniądze.

Sądząc po tempie działania śledczych, Kral sypie aż miło. Do osadzonego w areszcie na trzy miesiące pod zarzutami płatnej protekcji oraz faworyzowania wierzycieli prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosława Piesiewicza dołączyli w ubiegłym tygodniu kolejni zatrzymani. Rafałowi Zaorskiemu (zgodził się na podawanie personaliów), znanemu inwestorowi giełdowemu, zarzuca się przywłaszczenie 1,7 mln zł należących do estońskiej spółki stojącej za Zondacrypto. Anna P. została oskarżona o udział w zorganizowanej grupie przestępczej mającej na celu przejęcie majątku Suszka oraz utrudnianie postępowania w sprawie jego zaginięcia. O przejęcie majątku Suszka i pranie pieniędzy z przestępstw związanych z działalnością Zondacrypto oskarża się z kolei Jaromirę W. (ekszonę Mariana W. „Mańka", głównego podejrzanego w sprawie zaginięcia Suszka). A w innej sprawie – o oszustwa podatkowe i narażenie Skarbu Państwa na stratę ponad 300 mln zł.

W telefonie Suszka Kral widniał jako „Przemek, adwokat Mańka", więc z punktu widzenia śledczych na pewno ma bezcenną wiedzę. Jego zeznania doprowadziły też do zatrzymania **Romana Ż.**, szarej eminencji BitBay. W 2014 r. miał on założyć giełdę na podstawione osoby (szwagra i kolegę), a Suszka wziął na prezesa-figuranta. W śledztwie prowadzonym przez jedną z prokuratur regionalnych ma zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej specjalizującej się w karuzelach VAT-owskich. Ż. miał śledczym tyle do powiedzenia, że jego przesłuchania trzeba było rozciągnąć na kilka dni.

Jeśli chodzi o zatrzymania w sprawie działalności obu giełd, można zakładać, że ciąg dalszy nastąpi. A rodzina Sylwestra Suszka prawdopodobnie jest coraz bliżej poznania prawdy o tym, co się z nim stało, po tym jak 6 marca 2022 r. pojawił się w Czeladzi w bazie paliwowej należącej do „Mańka". (MP)

CPN, czyli Ceny Prezydenta Nawrockiego

Nie od dziś wiadomo, że w polskiej polityce nie ma skuteczniejszego paliwa niż benzyna. Dlatego kiedy 1 września ceny na stacjach benzynowych wzrosły o 1 zł/litr, wybuchł konflikt o to, czyja to wina. Oczywiście z grona podejrzanych skreślono Donalda Trumpa, choć to jego wojna w Zatoce Perskiej wywindowała ceny ropy do poziomu 100 dol. za baryłkę, a wraz z nią – ceny wszystkich paliw naftowych. Rząd już w sierpniu uprzedzał, że program „Ceny Paliwa Niżej" (CPN wersja 2.0) – polegający na tymczasowej obniżce VAT (do 8 proc.), redukcji akcyzy do minimum UE oraz codziennie ustalanych cenach maksymalnych na stacjach – mógłby być kontynuowany, ale pod warunkiem że finansowanie zapewniłyby koncerny naftowe, płacąc podatek od nadzwyczajnych zysków (windfall tax). Budżet sam nie podoła, bo dwie fazy programu „CPN" kosztowały już ponad 5 mld zł. Przygotowaną ustawę prezydent Nawrocki jednak zablokował, odsyłając ją do Trybunału Konstytucyjnego, więc ceny na stacjach skoczyły.

„Są wszelkie przesłanki do tego, by paliwo było dziś tańsze, niż było za czasów końcówki naszych rządów" – oświadczył Jarosław Kaczyński. Dla szefa PiS drogie paliwo jest kolejnym dowodem nieudolności rządu Tuska. Premier odesłał Kaczyńskiego do Pałacu Prezydenckiego, mówiąc: „Ktoś złośliwie powiedział, że był CPN, czyli »Ceny Paliwa Niżej", teraz mamy CKN: »Ceny Karola Nawrockiego«".

„Za obecne ceny odpowiada rząd, a nie sytuacja geopolityczna" – odparował Karol Nawrocki, przekonując, że odesłał ustawę do TK, bo prawo nie może działać wstecz. A w ogóle dlaczego wcześniej minister finansów całej sprawy z nim nie skonsultował? Ceny paliw uwierają go coraz bardziej, bo przedstawiciele rządu przekonują, że prezydent stoi po stronie koncernów naftowych i przeciw kierowcom. A to dla niego niefortunna pozycja. Zwłaszcza że najnowsze badanie CBOS wskazuje na szybką erozję społecznego poparcia dla głowy państwa (spadek o 5 pkt proc.). Wygląda więc, że może dojść do kompromisu, bo wysokie ceny paliw grożą wzrostem inflacji, czego rząd by nie chciał. Minister energii Miłosz Motyka zapowiedział, że wkrótce pojawi się nowa ustawa o podatku od zysków nadzwyczajnych. Taka, która nie wzbudzi zastrzeżeń prezydenta. (AG)

eprasa.pl 1a9930715e

Aferoodporny PiS

Przemysław Sadura

Socjolog, profesor UW,
kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej

Wakacje skończyły się definitywnie, trwa za to – a nawet rozkręca się w najlepsze – polityczny serial dotyczący afery Zondakrypto. Ujawnienie w Sejmie przez Donalda Tuska fragmentów zeznań w tej sprawie spowodowało, że wróciły pytania o to, czy i jak bardzo afera ta zaszkodzi prawicy. Medialne doniesienia i ujawnione dokumenty potwierdzają, że mamy do czynienia z poważną i wielowątkową aferą na styku nieuregulowanego sektora kryptowalut i prawicowego ekosystemu politycznego. W żaden jednak sposób nie wynika z tego, że PiS lub Konfederacja muszą się bać odpływu wyborców.

PiS już wielokrotnie udowadniał, że jest aferoodporny. W czasie jego ośmioletnich rządów afera goniła aferę, a polityka skandalu stała się codziennością. Każdy inny rząd upadłby kilka razy, a rządy Morawieckiego i Szydło trwały w najlepsze. W książce „Społeczeństwo populistów" pokazywaliśmy odpowiadający za to mechanizm. PiS dysponował dwoma różnymi elektoratami. Z jednej strony miał wyborców fanatycznych, gotowych iść w ogień za prezesem i kierownictwem partii. Wiedzę o świecie czerpali oni z mediów prawicowych oraz należących do bańki profili w mediach społecznościowych. Z założenia odrzucali możliwość uwikłania swoich przedstawicieli w nielegalne działania i nie wierzyli w informacje mówiące coś innego. Z drugiej strony PiS miał także liczny elektorat cyniczny. Ludzi, którzy mogli nie kochać prezesa, nie akceptować polityki partii, a nawet uważać jej rządy za szkodliwe dla Polski. Wyborcy ci mieli bardzo zróżnicowaną „dietę medialną" – bardziej niż wyborcy partii demokratycznych. Wiedzieli, co się dzieje, i nadal głosowali na PiS. Uważali bowiem, że rządy PiS przynoszą im osobiście korzyści. Pierwsi nie wierzyli w afery, drudzy niczego innego nie spodziewali się po partii, na którą głosowali.

Trwałość tego mechanizmu potwierdziły wybory prezydenckie. Ujawniane w mediach kolejne afery, w które zamieszany był Karol Nawrocki, nie tylko go nie osłabiały, ale też powodowały, że stawał się coraz silniejszy, a poparcie dla niego rosło. Podobnie może być teraz. Doniesienia o aferach nie wstrząsną ani elektoratem fanatycznym, ani cynicznym. Mogą odpadać ci, którzy wybierali PiS jako mniejsze zło, jednak nie zasilą oni elektoratów Tuska lub Czarzastego, mając do wyboru partie: Mentzena, Brauna bądź Morawieckiego. Jedynym sposobem, w jaki afera mogłaby trwale zniechęcić do głosowania na którąś z prawicowych partii, byłoby doprowadzenie do aresztowania w tej sprawie jej wysoko postawionych polityków. Możliwe, że wykreuje to ich na męczenników, ale tylko wśród wyborców fanatycznych. Cyniczni dojdą do wniosku, że taki polityk już im nie pomoże.

Krótko mówiąc: albo śledztwo dotyczące Zondakrypto doprowadzi do zatrzymania eksponowanych polityków i działaczy prawicy, albo nie będzie miało żadnego wpływu na wynik partii prawicowych. A koalicja rządowa, chcąc utrzymać się przy władzy, gdzie indziej będzie musiała dowodzić swojej skuteczności.

Obronne wypłaszczenie

Polskie wydatki na wojsko w przyszłym roku nieco spadną. Ubytek będzie nieznaczny i towarzyszyć mu będą przesunięcia, które sprawią, że ogólny bilans wyjść może na lekki plus. Jednak krzywa na wykresie przestała rosnąć i lekko opada. W projekcie budżetu zapisano, że w 2027 r. MON może wydać maksymalnie 198,1 mld zł, w tym 131,7 mld z budżetu, a resztę z pozabudżetowego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych (którego wpływy i wydatki są obarczone niepewnością i mogą być podliczone dopiero po upływie roku). Zarówno w kwocie nominalnej, jak i odsetku PKB Polska wyda na wojsko i zbrojenia o kilka miliardów (lub dziesiątych procenta) mniej niż w tym roku – choć ze wskaźnikiem 4,5 proc. PKB nadal jest w czołówce państw NATO i Europy.

Wypłaszczenie wydatków obronnych nie jest wielkim zaskoczeniem z punktu widzenia finansów państwa, przeżywających bodaj najgorsze chwile w tej dekadzie. Minister Andrzej Domański nie ukrywa, że budżet na 2027 r. jest jego najtrudniejszym – również dlatego, że to tzw. budżet wyborczy. Musi więc uwzględniać wrażliwość Polaków na jakiekolwiek, choćby drobne, cięcia w programach socjalnych, jak i wspierać sektorowe postulaty koalicjantów, bo tylko tak można w ogóle myśleć o utrzymaniu władzy. Obrona narodowa pozostaje priorytetem, ale dynamikę zwiększania nakładów na nią trzeba było przyhamować. Polska i tak przekroczyła już wymagany przez NATO pułap 3,5 proc. PKB wydatków militarnych, podczas gdy wiele krajów wciąż walczy, by wyjść wyraźnie ponad 2 proc. Co prawda prezydent Karol Nawrocki wzywał rząd, by – nawet w konstytucji – zapisać wydatki 5-procentowe, ale i ten warunek Polska spełnia, bo brakujące miejsca po przecinku uzupełnia z naddatkiem z budżetu służb mundurowych MSWiA oraz innych resortów.

Wysoki poziom wydatków byłoby trudniej utrzymać bez programu SAFE, który zapewnia istotne wpływy do FWSZ – a przy tym obniży koszty zbrojeniowego zadłużenia, gdy przyjdzie je spłacać. Z drugiej strony pozbawia jednak resort finansów bieżących wpływów z podatku VAT, co przy skali 180 mld stanowi ponad 40 mld zł, jakich budżet nie odzyska. Domański musiał też uwzględnić polityczne uzgodnienia, gwarantujące Ministerstwu Obrony spłatę zadłużenia Funduszu Wsparcia spoza pieniędzy MON. Te raty – za zaciągane przez rząd PiS pożyczki droższe od SAFE – to w przyszłym roku koszt 4,7 mld, więc gdyby je dodać, wyszłoby na to, że wojskowy budżet co prawda się wypłaszcza, ale wciąż idzie w górę. (MŚ)

© ARTSERVICE/PAP, WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9930715e

Rocznica w cieniu

Atak terrorystów na wieże World Trade Center w Nowym Jorku, 11 września 2001 r.
Po prawej: **dzisiejsza strefa Ground Zero, czyli miejsce po zawalonych wieżach WTC.**

25 lat temu, 11 września 2001 r., samoloty porwane przez terrorystów Osamy bin Ladena staranowały wieże World Trade Center w Nowym Jorku i Pentagon w Waszyngtonie, zabijając ok. 3 tys. Amerykanów. Po raz pierwszy od 189 lat, od wojny z Anglią, nieprzyjaciel wdarł się do amerykańskiej twierdzy na terytorium kontynentalnych USA, zadając dotkliwe straty. Wszyscy z wyjątkiem najmłodszych pamiętają, co robili, gdy dowiedzieli się o tragedii. Po ataku Zbigniew Brzeziński nazwał go jednym z najważniejszych wydarzeń w historii USA. Mówił, że nie należy przeceniać groźby islamskiego fundamentalizmu, ale przeczuwał, że atak Al-Kaidy będzie miał kolosalne następstwa.

Gdyby nie 9/11, nie doszłoby do amerykańskiej inwazji na Afganistan, a przede wszystkim na Irak. Obie wojny, kosztujące życie tysięcy amerykańskich żołnierzy i dziesiątki tysięcy cywilnych ofiar, nie zakończyły się dla Ameryki dobrze. W Afganistanie znowu rządzą talibowie, a podbój Iraku, zainicjowany pod fałszywymi pretekstami, fatalnie zraził do USA świat arabski i muzułmański, umacniając tam przekonanie o pazerności Wuja Sama zdecydowanego zagrabić ich ropę naftową. W USA obie niefortunne wojny zdyskredytowały autorytet rządzących od ponad półwiecza elit polityki międzynarodowej, które przekonywały Amerykanów o konieczności wspierania na świecie – choćby siłą – liberalnej demokracji. Fiasko tych dążeń na szeroko rozumianym Bliskim Wschodzie ułatwiło dojście do władzy prawicowych populistów pod sztandarem America First i wodzą Donalda Trumpa. W MAGA jest wielu straumatyzowanych weteranów tych wojen, powiększających statystyki narkomanii, chorób psychicznych i samobójstw.

Ogłoszona oficjalnie wojna z terrorem zaowocowała elektroniczną inwigilacją obywateli i sprzecznymi z konwencjami genewskimi ograniczeniami praw uwięzionych i podejrzewanych o terroryzm islamistów. Podważyło to autorytet USA jako modelowego państwa prawa i w połączeniu ze wspomnianymi wojnami obniżyło ich prestiż. Od 9/11 datuje się raptowny schyłek amerykańskiej *soft power*, co – obok awansu nowych światowych mocarstw – skutkuje słabnięciem pozycji USA na globalnej arenie.

W samych Stanach paranoja terrorystycznego zagrożenia przekształciła budynki rządowe, z Białym Domem i Kongresem na czele, w twierdze opasane murem. Obecnej administracji pomaga to w umacnianiu władzy prezydenta i ochronie przed krytykami. Najnowszy pomysł Trumpa (jeszcze niezrealizowany) to otoczenie Parku Lafayette'a w Waszyngtonie – z pomnikami francuskiego bohatera rewolucji amerykańskiej oraz Tadeusza Kościuszki – szczelnym ogrodzeniem, aby zapobiec organizowanym tam antyrządowym demonstracjom.

W 25. rocznicę 9/11 odbędą się tradycyjne, choć z okazji ćwierćwiecza bardziej uroczyste, obchody upamiętnienia tragedii. W Nowym Jorku w strefie Ground Zero, czyli miejscu zawalonych wież WTC, z corocznym odczytywaniem nazwisk 2983 ofiar ataku, modlitwami za ich dusze i projekcją świateł. Swą obecność zapowiedzieli wszyscy czterej żyjący byli prezydenci z żonami: Bill Clinton, George Bush, Barack Obama i Joe Biden. Nie będzie Donalda Trumpa, który pojawi się tylko na ceremonii przed Pentagonem. Zastąpi go wiceprezydent J.D. Vance. Prezydent chciał w Nowym Jorku przemawiać, ale organizatorzy uroczystości, National September 11 Memorial and Museum, od 2012 r. zabraniają wygłaszania na nich przemówień. Chodzi o skupienie się na żałobie. Biały Dom szuka teraz sposobów na przejęcie organizacji rocznicowych ceremonii przez rząd federalny. Wątpliwe, czy je znajdzie.

Rocznica nie uniknie jednak polityki. 9 i 10 września w Teksasie odbędzie się konwencja Partii Republikańskiej, która ma jej pomóc zapobiec przewidywanej klęsce w listopadowych wyborach połówkowych do Kongresu. Jej organizatorzy zapowiadają złożenie hołdu ofiarom 9/11, co zapewne przekształci się w festiwal patriotycznego wzmożenia, wymierzony w liberalno-lewicowych przeciwników Trumpa i całego prawicowego obozu.

W obozie demokratycznym są bowiem politycy będący szczególnie wygodnym celem. Pierwszy muzułmański i socjalistyczny burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani w 20. rocznicę 9/11 i w następnych czterech latach zamieszczał w sieciach społecznościowych tweety, w których wyrażał żal po ofiarach ataku, ale więcej miejsca poświęcał „setkom tysięcy tych, którzy zginęli w następujących po nim wojnach, oraz nieznanym milionom rannych i pozbawionym domów" (wpis z 2020 r.). Ton komentarzy zmienił dopiero w swej kampanii o nowojorski ratusz. Demokratyczny kandydat do Senatu w Michigan Abdul El-Sayed tweetował w 2020 r. na temat 9/11 w takim samym duchu co Mamdani. A wielu nowo wybranych w prawyborach kandydatów do Kongresu z rosnącego w siłę DSA, Demokratycznych Socjalistów Ameryki, nazywa atak sprzed 25 lat „nieuchronną konsekwencją" amerykańskiej polityki zagranicznej.

Część rodzin ofiar ataku sprzed 25 lat wezwało nawet, by zakazać Mamdaniemu udziału w rocznicowych uroczystościach. Niektóre zapowiedziały, że zbojkotują ceremonię, jeśli będzie na niej burmistrz. Poparła ich część Republikanów, którzy uważają, że demokratyczna lewica bagatelizuje tragedię 9/11, nie docenia groźby ze strony islamistów i sugeruje nawet, że należy ich zrozumieć. Konserwatywny „National Review" nie poparł jednak zakazu dla Mamdaniego, pisząc, że powinien uczestniczyć w ceremonii i modlić się wraz z innymi. Burmistrz zapowiedział, że będzie oczywiście obecny. A co ciekawe, wśród Nowojorczyków jest oceniany w sondażach znacznie wyżej niż Trump w całej populacji Amerykanów.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

© REX/EAST NEWS, DOSFOTOS/DESIGN PICS/EAST NEWS, FABRIZIO BENSCH/REUTERS/FORUM, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 1a9930715e

Jedwab wśród lodów

Chiny otworzyły nowy szlak handlowy w **Arktyce**. Kontenerowiec „Dubai Tower" chińskiego armatora Sea Legend ruszył w pierwszą regularną trasę żeglugową z Azji do Europy Północnej drogą morską. A konkretnie z chińskiego Ningbo do brytyjskiego Felixstowe, wzdłuż północnych wybrzeży Rosji. Taka podróż trwa ok. 20 dni, a więc dwa razy krócej niż klasyczną trasą przez Kanał Sueski, dodatkowo ostatnio skomplikowaną z powodu cieśniny Ormuz i ataków Huti na Morzu Czerwonym. Stałe rejsy potrwają do połowy października (póki warunki będą pozwalały na żeglugę bez pomocy lodołamaczy) i powrócą w sierpniu. Z roku na rok to okienko będzie się poszerzać: Arktyka odnotowała kolejny najgorętszy rok w historii pomiarów, z temperaturą wyższą o 1,6 st. C niż średnia z lat 1991–2020, i rekordową skalą znikania pokrywy lodowej. Północ nagrzewa się cztery razy szybciej niż reszta świata.

Na razie to ciągle pionierskie przecieranie szlaków i symbol chińskich ambicji, określanych z emfazą przez przewodniczącego Xi Jinpinga jako polarny jedwabny szlak. Kontroluje go Rosja, a pozwoleń na żeglugę udziela zarządzający infrastrukturą i flotą lodołamaczy państwowy Rosatom. Pekin, kupujący rosyjską ropę i dostarczający uzbrojenia, akceptuje te warunki, bo trzyma Moskwę w szachu. Większość rejsów w 2025 r. stanowiły dostawy rosyjskich surowców. Przemyka też tędy, rosnąca od trzech lat, uciekająca przed sankcjami flota cieni z rosyjską ropą. Z kolei kontenerowiec „Panstar Acro" pod banderą Korei Południowej, który ruszył w ślad za „Dubai Tower", wyznacza ambicje Seulu, aby stać się tu ważnym graczem w transporcie i logistyce.

Poczynania jednych i drugich śledzą Japonia i Indie. Większy tłok wśród lodów oznacza rosnące zagrożenie ekologiczne – najmniejszy wyciek paliwa w arktycznych warunkach oznaczałby katastrofę, a akcja ratunkowa może zająć tygodnie. Stanowiący szczególne zagrożenie ciężki olej opałowy został zakazany jako źródło napędu w 2024 r., ale kto to skontroluje?

Stany Zjednoczone, jak się wydaje, przespały gorączkę w Arktyce. Ameryka Trumpa reaguje po swojemu – groźbami wobec Grenlandii, ale i przyspieszonymi inwestycjami w sprzęt. Dołączyła do wyścigu tylko z jednym ciężkim lodołamaczem. Z zamówionych za 6,1 mld dol. 11 lodołamaczy 4 budowane będą w Finlandii, pozostałe – na bazie fińskiej technologii – w amerykańskich stoczniach. Czas oczekiwania ma skrócić zakup 32-letniej fińskiej jednostki „Fennica". Z dwóch strategicznych rozwiązań dotyczących własnego szlaku przez Arktykę główne zakłada współpracę z Kanadą. A ta, wraz z cłami i przemianowaniem przez Trumpa jeziora Ontario na Amerykańskie, osiągnęła akurat szczególnie lodowatą temperaturę. WP

AfD bierze Saksonię-Anhalt

W niedzielnych wyborach w tym wschodnioniemieckim landzie skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD) zdobyła niemal 44 proc. głosów, choć najlepsze sondaże dawały jej ledwie 40. Rządzący w Magdeburgu od 24 lat chadecy z CDU otrzymali zaledwie 17 proc. Kluczowy dla układu sił może się okazać wynik BSW, ugrupowania Sahry Wagenknecht, uciekinierki z Die Linke – 5,3 proc. AfD do bezwzględnej większości brakuje trzech mandatów. Te może dostarczyć Wagenknecht, ale raczej nie w ramach formalnej koalicji – wystarczy, że jej ludzie wstrzymają się od głosu przy wyborze nowego premiera landu, a potem będą wspierać AfD w kluczowych głosowaniach.

Owym premierem ma zostać 35-letni **Ulrich Siegmund** (na fot. w środku), twarz kampanii AfD, polityk zręczny, medialny, unikający kontrowersji. Przekaz oparł na *Ossi pride*, dumie z bycia „wschodnioniemcem", i nostalgii za tym, co było. Nieprzypadkowo na spotkania wyborcze dojeżdżał motocyklem marki Simson rodem z NRD.

Saksonia-Anhalt to land wyjątkowo doświadczony przez przemiany lat 90., które dziś skutkują m.in. katastrofą demograficzną. Siegmund obiecuje, że przywróci jej życie, m.in. ściągając z powrotem tych, którzy wyjechali. Ale AfD w Saksonii-Anhalt ma też twarz Hansa-Thomasa Tillschneidera, głównego ideologa partii, który ma słabość do III Rzeszy, jest fanem Ottona von Bismarcka i zapowiada wyrzucenie z landu wszystkich nielegalnych i część legalnych imigrantów. Do tych zapowiedzi trzeba podchodzić z dystansem, bo polityka imigracyjna nie leży w kompetencjach landu. Ale już rewolucja w programach nauczania jak najbardziej. A w jej ramach

AfD zapowiada „przywrócenie dumy z bycia Niemcem" oraz „wycięcie ideologii LGBT ze szkół".

Tak wyraźne zwycięstwo AfD w Saksonii-Anhalt zapowiada kolejne triumfy tej partii na poziomie landowym. Następne wybory odbędą się już 20 września w Meklemburgii-Pomorzu Przednim i Berlinie. W federalnej stolicy skrajna prawica wciąż nie ma szans, ale w tym pierwszym przypadku znów chodzi o zdegradowany społecznie i ekonomicznie wschodnioniemiecki land, który próbuje odnaleźć swoją *Ossi pride*. Będzie więc rosła presja na rząd federalny, któremu przewodzą chadecy i rekordowo niepopularny kanclerz Friedrich Merz, radykalny przeciwnik współpracy z AfD. Wybory ogólnoniemieckie raczej nie odbędą się przed 2029 r., ale jeśli skrajna prawica nadal będzie zwyciężać, w CDU do głosu mogą dojść zwolennicy wielkiej, prawicowej koalicji. ŁW

eprasa.pl 1a9930715e

Schabowy minus

Od września w szkolnych i przedszkolnych stołówkach ma się pojawiać więcej warzyw i roślin strączkowych, a mniej mięsa. Co wielu oburza i rodzi teorie spiskowe. Spór o kotleta to niejedyny zgrzyt na linii ministra Nowacka kontra świat.

JOANNA CIEŚLA

W kuchni Przedszkola nr 201 Misia Ursynka na warszawskim Ursynowie silnych wstrząsów społecznych nie czuć. Na stalowych regałach w spiżarni stoją słoje z ziołami, puszki pomidorów, butle oleju rzepakowego, oliwy z oliwek i worki soli z obniżoną zawartością sodu. – *Z powodu nowych przepisów musieliśmy wprowadzić tylko symboliczne zmiany, jeśli chodzi o zakupy – przede wszystkim dokupić nową sól* – relacjonuje dyrektorka przedszkola Anna Zabielska. Rozporządzenie zalecające, by zdrowiej karmić przedszkolaki i uczniów, weszło w życie od początku września, ale większość rekomendowanych w przepisach produktów, jak mówi dyrektorka, jest w jej kuchni od dawna. Stąd pewnie brak protestów. – *Sól, którą i tak należy ograniczyć, zastępujemy lubczykiem, papryką, bazylią, czosnkiem, oregano, tymiankiem. Staram się też przyzwyczajać dzieci do pestek: słonecznika, dyni, maku, sezamu* – dodaje Monika Zaręba, kierowniczka stołówki.

© ANNA KRAŚKO/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 1a9930715e

Do najnowszych zmian rodzice jeszcze nie mieli okazji się odnieść na forum szkół. Ale na pierwszych zebraniach może być goręcej niż na stołówkowych patelniach. Już w sierpniu nagłówki niektórych mediów głosiły, że „dzieci w szkołach i przedszkolach nie dostaną już krowiego mleka", „ze szkół zniknie znaczna część posiłków mięsnych".

Mleko się rozlało

Komentarze – zarówno te z trybuny sejmowej, jak i w mediach społecznościowych – sprowadzały dyskusje do coraz większych absurdów. Posłanka Maria Kurowska z PiS grzmiała, że przez obłąkańczą lewacką ideologię „zagrożona jest egzystencja naszych dzieci", mniej rozpoznawalni internetowi recenzenci wtórowali, że „150 lat zaborów, 6 okupacji nie zagłodziło Polaków, a zrobi to teraz polski rząd", że „niejedzenie mięsa prowadzi do spadku intelektu, stąd taka decyzja". Sugerowano, że ograniczenie mięsa to próba zamieniania dzieci w krowy (pisał tak znany psycholog, mąż wegetarianki), oburzano się wciskaniem ideologii i tym, że „krzyże nakazują ściągać, a chcą narzucać dietę i jaką kto ma mieć płeć", co nasuwało wniosek, że soczewica, soja i cieciorka mogą sprawić, iż chłopcy zaczną się zamieniać w dziewczynki i odwrotnie.

Rozporządzenie o żywieniu podpisała 16 lutego 2026 r. wiceministra zdrowia Katarzyna Kęcka. Co dokładnie jest w dokumencie?

Oprócz wspomnianej zasady, że minimum jeden obiad w tygodniu w szkołach i przedszkolach powinien być oparty na nasionach roślin strączkowych bez dodatku produktów odzwierzęcych (masła, mleka, jaj czy miodu), przynajmniej jeden obiad w tygodniu powinien być rybny, a dwa przygotowane na bazie świeżego mięsa. Pozostały piąty dzień nie został w rozporządzeniu opisany. Większość naszych rozmówców zakłada, że to przestrzeń na danie mączno-jajeczne, jak kluski leniwe, pierogi ruskie czy osławiony makaron z truskawkami.

Przepisy mówią też, że niewięcej niż dwa razy w tygodniu można podać w stołówkach coś smażonego, a co najmniej dwie zupy tygodniowo należy gotować na warzywach. W dni mięsne i rybne trzeba zapewnić alternatywne dania dla wegetarian.

Co jeszcze? W każdym posiłku ma być warzywo lub owoc. Należy mało słodzić – najwyżej 5 g cukru na 250 ml kompotu czy herbaty, a najlepiej oferować wodę. Wbrew nerwowym zapowiedziom wciąż można, a nawet należy, podawać dzieciom mleko, jogurty i koktajle, i to dwie porcje dziennie tam, gdzie dzieci jedzą trzy posiłki, jak w przedszkolach. Ale może to być zastąpione napojami roślinnymi.

„Zabieranie dzieciom mięska" trudno uznać za drastyczną zmianę, bo i do tej pory w wielu stołówkach co piątek jadło się rybę i raz w tygodniu pierogi lub coś w tym rodzaju, zostawały więc trzy obiadowe miejsca na kotlety i udka. Teraz będą dwa (i wciąż trzy zupy na mięsie).

O co chodzi w zmianie przepisów? O walkę z otyłością i nadwagą. Za dużo waży jedna trzecia polskich dzieci między siódmym a dziewiątym rokiem życia. Specjaliści od zdrowia publicznego od lat przekonują, że żywienie zbiorowe to jedyny kanał realnego wpływu na dziecięce jedzenie i dlatego warto podejmować wysiłek, by wprowadzać na stołówki to, co zdrowe.

Ale schody pojawiają się przy próbach ustalenia, do ilu osób ta praktyka ma szanse dotrzeć. Autorzy nowych przepisów uznali, że obejmą one 6,3 mln dzieci i nastolatków korzystających z 39 tys. szkół podstawowych i ponadpodstawowych, przedszkoli, burs itd. Nie określili jednak, ile z tych osób faktycznie je cokolwiek w placówkach ani nawet w ilu placówkach działają stołówki albo jest dostarczany catering.

Tradycyjny polski wegetarianizm

Podstawówki od 2022 r. mają obowiązek umożliwić uczniom zjedzenie gorącego posiłku oraz zapewnienie do tego miejsca, ale szkół średnich już to nie dotyczy. W 2019 r. rząd PiS uruchomił program „Posiłek w szkole i w domu", umożliwiający m.in. wsparcie inwestycji w szkolne kuchnie i jadalnie, a obecny rząd ten program kontynuuje. Ale przewidziane na niego kwoty uznać można za raczej dietetyczne. Na lata 2024–28 zaplanowano wydatki po 40 mln zł rocznie. Szkoła może otrzymać do 80 tys. zł na modernizację lub stworzenie kuchni i 25 tys. zł na jadalnię. W ostatnich latach z programu – głównie po to, żeby kupić nowe urządzenia i sprzęty – korzystało po ok. 600 szkół rocznie.

POLITYKA nie doczekała się od MEN odpowiedzi na pytanie o liczbę uczniów korzystających z co najmniej jednego posiłku organizowanego przez szkołę lub przedszkole. Z szacunków naszych rozmówców wynika, że skala zainteresowania placówkowym wiktem jest rozstrzelona. W przedszkolu przynajmniej teoretycznie jedzą wszystkie dzieci. W szkole – np. takiej jak licząca 120 uczniów Szkoła Podstawowa nr 1 w Cisnej na Podkarpaciu – na obiady jest zapisanych 90 proc. uczniów (płaci ▶

sprasa.pl 1a9930715e

▶ się po sześć złotych za posiłek). Na warszawskim Ursynowie, w SP nr 16 w klasach 1–6 z obiadów (po dziewięć złotych) korzysta ok. 80 proc. uczniów. Ale już w klasach starszych maksymalnie co trzeci.

Ciekawe, że w dyskusje o ofercie żywieniowej szkół z pasją angażują się także matki i ojcowie dzieci, które nie korzystają ze stołówek. Temat diet, a zwłaszcza diet dzieci, jest obok szczepionek jednym z najbardziej emocjonujących spośród wszystkich związanych ze zdrowiem. Choć przez lata zmieniają się szczegóły. Nie budzi już kontrowersji ograniczanie w dziecięcych posiłkach cukru, mimo że właśnie ten temat wydawał się solą debat jeszcze 10–11 lat temu. Rozporządzenie drożdżówkowe, którym rząd Donalda Tuska w 2015 r. próbował podnieść jakość oferty szkolnych sklepików, uznawano za zamach na wolność rodziców, ich prawo do wychowania w zgodzie z własnym światopoglądem i narażenie zdrowia dzieci przez zmuszanie ich do biegania po drożdżówki przez ulicę, do piekarni. Toteż następny, pisowski już, rząd mocno przepisy złagodził. Skutek był jeszcze taki, że rozporządzenie niemal do nogi wybiło szkolne sklepiki.

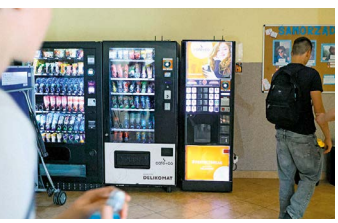

Według informacji z 2023 r. 62 proc. publicznych podstawówek (niecałe 8 tys. na 12 tys. wszystkich) miało własną kuchnię i stołówkę. W skali kraju karmienie dzieci w szkołach poprawia się, lecz powoli. W ubiegłym roku szkolnym kontrolerzy dopatrzyli się nieprawidłowości w 13 proc. skontrolowanych zakładów (w 2022/23 było ich 17 proc.). Czasem chodziło o braki i pomyłki w dokumentacji, często też jednak po prostu o bałagan i brud. Sporym ograniczeniem jest również wyposażenie kuchni. W efekcie danie, które dzieci jedzą chętnie – pizza – w szkolnych realiach jest niemożliwe do przygotowania.

Teraz walka toczy się przede wszystkim o mięso. A jednym z największych błędów taktycznych promotorów nowych zasad było nazwanie ich dietą planetarną. W ten sposób faktycznie określa się jadłospisy, które pozytywnie wpływają zarówno na zdrowie, jak i na stan planety i innych żyjących na niej gatunków. A założenie, że w codziennych wyborach warto uwzględniać także ich przyszłość, u licznych komentatorów wywołuje reakcje alergiczne: bo ziemia jest po to, żeby z niej korzystać, a „zwierzęta są po to, żeby je jeść".

Dlaczego Polacy w kwestii jedzenia zwierząt tak ostro idą na noże? Ta kwestia faktycznie wiąże się z ideologią, choć w mniej oczywisty sposób niż się zdaje. Współczesna polska rezygnacja z mięsa często ma odcień raczej lewicowy o tyle, że wielu wegetarian czy wegan motywuje swój wybór troską o prawa zwierząt jako grupy pozbawionej głosu. Nawiązywały do tego słynne w swoim czasie słowa Witolda Waszczykowskiego jako szefa MSZ w rządzie PiS, krytykujące wizję społeczeństwa złożonego „z wegetarian i cyklistów". Miałoby ono według polityka „niewiele wspólnego z tradycyjnymi polskimi wartościami".

Lecz wiązanie mięsożerności z religijnym tradycjonalizmem umiarkowanie się broni. Nie tylko z tego powodu, że w katolickim kalendarzu liturgicznym rozmaite posty przypadały na jedną trzecią roku. Także dlatego, że choć w dzisiejszych dyskusjach chętnie przywoływany jest cytat z Księgi Rodzaju „Czyńcie sobie ziemię poddaną" jako argument przemawiający za jedzeniem mięsa, sto lat temu zwracano uwagę na inne wersy – też z Księgi Rodzaju: „Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno po całej ziemi i wszelkie drzewo, którego owoc ma w sobie nasienie: dla was będą one pokarmem". – *Pierwsi nowożytni wegetarianie tłumaczyli to tak, że gdyby Bóg chciał, aby ludzie żywili się mięsem, dałby im je tak jak owoce i warzywa gotowe do spożycia, bez konieczności wykonywania skomplikowanych czynności – sprawiania, gotowania, a przede wszystkim zabijania* – tłumaczyła na łamach POLITYKI dr Natalia Mętrak-Ruda, kulturoznawczyni, autorka książki „Warzywa zjedz, mięso zostaw. Krótka historia wegetarianizmu".

Współcześnie, w ostatniej dekadzie pokoleniowy odwrót młodych ludzi od mięsa nasilił się, lecz z czasem wyhamował. A obecna wojna o kotlety może mieć też czysto techniczne uzasadnienie w warunkach silnej polaryzacji: każda decyzja władz, którą łatwo streścić w jednym zdaniu (np. „w szkołach będzie mniej mięsa"), jest skwapliwie wykorzystywana jako okazja do politycznego ataku.

Uber Eats na przerwie

Wobec Barbary Nowackiej łatwo wysuwać argument, że jej decyzje mają charakter lewicowy, także ze względu na jej polityczne korzenie. Ale wyzwania związane z tym, jak karmić dzieci tam, gdzie pod opieką systemu spędzają większość dnia, są realne i nie można ich sprowadzać w całości do oszołomskiej histerii. – *Nie martwię się żadnymi ideologiami, tylko tym, że dzieci w ogóle nie chcą jeść* – mówi dyrektor Ludwik Sobol ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Cisnej. – *Mają fobie żywieniowe, zaburzenia odżywiania, niektóre nawet nie wchodzą do stołówki, chociaż rodzice opłacają ich obiady. Inne jedzą tylko np. zupę pomidorową i pierogi.* Dyrektor ma obawę, że przez nowości na talerzu kolejna grupa dzieci ze stołówki się wykruszy. – *Kiedy jest coś, co im nie pasuje, nie ruszą tego i cały dzień siedzą głodne, bo do domu mają daleko. Albo biegną do Żabki za rogiem, która działa jak McDonald's.*

Kamil z Krakowa, ojciec ósmoklasisty i szóstoklasistki, opowiada o wiadomości, którą w ubiegłym roku rodzice dostali od dyrektora szkoły. – *Pisał z informacją, że nie będzie wpuszczał do szkoły kurierów z Uber Eats. Okazało się, że starsi uczniowie masowo zamawiali sobie na przerwach dostawy kebabów i pizzy.* Jak zaznacza Kamil, na terenie podstawówki jest kuchnia, pięć kucharek codziennie gotuje świeże obiady.

Monika Zaręba, która nadzoruje przygotowanie posiłków w sumie dla 700 osób, podlicza, że tylko z ich kuchni do „zlewki" tydzień w tydzień trafia 700 litrów jedzenia. – *Jeśli jakieś porcje pozostają niewydane, możemy zostawić je w szkole i chętni biorą sobie dokładki. Ale wszystko, co zostało wydane i niezjedzone, musimy wyrzucić, choćby dziecko nawet nie dotknęło dania widelcem. I niestety w zlewkach w większości ląduje to, co najzdrowsze – warzywa, zwłaszcza surowe.* A więc to, czego zgodnie z nowymi przepisami teraz ma być jeszcze więcej. I przyczyną raczej nie jest niesmaczne gotowanie czy osławione „niedoprawienie" potraw. Szkolno-przedszkolną ursynowską kuchnię chwalą goście przyjeżdżający na imprezy sportowe, dobrze też jest oceniana w opiniach o przedszkolu na Google. Chodzi o to, że konkurencja jest zbyt silna. Tu też za rogiem czają się Żabka i piekarnie z drożdżówkami.

To fakt, że stołówki są jedyną przestrzenią, poprzez którą państwo może wpływać na to, co dzieci dostają do jedzenia. Ale na to,

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9930715e

co faktycznie jedzą, ten wpływ pozostanie słaby tak długo, jak długo państwo będzie się zgadzać, by przy sklepowych kasach podtykać dzieciom hot dogi, hamburgery i frytki. Tak długo, jak długo będziemy im wyświetlać reklamy chipsów i ciastek i jak długo rodzice nie będą wiedzieli, czym je karmić.

Brzemię ministry

Swoją drogą, błędne przypisywanie autorstwa pomysłu zmian w stołówkowych jadłospisach Barbarze Nowackiej nie pomaga ani nowym jadłospisom, ani polityczce. W odniesieniu do szefowej MEN uruchomił się rodzaj negatywnej synergii. Kojarzone z nią rozwiązania budzą sprzeciw często nawet wtedy, gdy nie są szczególnie kontrowersyjne.

Co zastanawia o tyle, że w 2024 r. jej wejście do resortu edukacji w miejsce żegnanego z ulgą Przemysława Czarnka z PiS przyjęto z sympatią i nadzieją. Otrzymała kredyt zaufania. A nauczyciele w pierwszych miesiącach jej władzy otrzymali niewidziane od lat, tysiączłotowe podwyżki. Tyle że wraz z przelewami na konta do pedagogów dotarły informacje, że będą musieli znacznie ograniczyć prace domowe zadawane uczniom w podstawówkach. I to był pierwszy wyraźny zgrzyt.

Co ciekawe, powstał w następstwie pomysłu nie Nowackiej, ale premiera Donalda Tuska zainspirowanego rozmową z 14-letnim uczniem na wyborczym wiecu. – *Ciągłe przypominanie o tamtych podwyżkach z czasem zaczęło też irytować nauczycieli. Zwłaszcza że rząd Koalicji Obywatelskiej przyjął podobną do PiS taktykę takiego prezentowania nowych kwot, by robiły wrażenie większych, niż rzeczywiście były. A faktyczny skutek tych podwyżek był taki, że np. początkujący nauczyciel nie zarabiał już mniej niż pensja minimalna, a ciut powyżej tego progu* – zauważa Anna Schmidt-Fic z nauczycielskiego ruchu „Protest z wykrzyknikiem". To już zaczęło obciążać wizerunek Barbary Nowackiej. Tak jak teraz to właśnie ją obciąża brak perspektyw na obiecane przez Donalda Tuska powiązanie pensji nauczycielskich z krajową średnią.

Marek Pleśniar, dyrektor Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty, dodaje, że w szkołach nie lubi się mikrozarządzania. – *Nikt nie kwestionuje prawa władz do wyznaczania kierunku zmian w oświacie, ale nauczycieli irytuje publiczne okazywanie braku zaufania do nich jako specjalistów, wchodzenie ministra czy wiceministrów w rolę „doradców metodycznych", nauczanie, jak mają pracować na lekcji czy zadawać prace do domu. Te niezręczności owocują komentarzami, że przecież większość kierownictwa MEN nigdy nie uczyła w szkole.*

Liberalna lewica, naturalne polityczne zaplecze Barbary Nowackiej, straciła do niej część serca w ubiegłym roku, po rezygnacji z wprowadzenia do szkół obowiązkowej edukacji zdrowotnej. Kolejna porcja sympatii odpadła w ostatnich miesiącach, gdy EZ do szkół ostatecznie wprowadzono, ale tematy związane z seksem umieszczono w absurdalnym module nieobowiązkowym. Co znów nie było wolą ministry, tylko wypadkową podejścia koalicjantów. Słabiej pamiętane jest Nowackiej ograniczenie liczby lekcji religii z dwóch do jednej tygodniowo. Tylko Kościół i prawica doskonale to pamiętają. Z tego też powodu podsycają emocje wokół potknięć Nowackiej.

Oświata to wbrew pozorom resort w zarządzaniu bardzo trudny, w dzisiejszych czasach politycznie bardzo wrażliwy i wymagający dużych umiejętności dyplomatycznych. Barbara Nowacka, według relacji tych, którzy częściej się z nią spotykają, w bezpośrednim kontakcie zwykle jest miła i zaangażowana. Jednak w jej publicznych wypowiedziach często pojawiają się nuty arogancji i rozmaite niezręczności, jak niedawne nazwanie nauczycieli boomerami. A zastępczyni ministry, Katarzyna Lubnauer, dokłada dodatkowe piksele do złożonego obrazu resortu w licznych, a przy tym nie zawsze udanych internetowych rolkach.

Trudno więc jednoznacznie rozstrzygnąć, czy faktycznie Barbara Nowacka jest obciążeniem dla rządu, czy zbiera cięgi za rządowych współpracowników.

Można natomiast przewidywać, że w oświatowym kotle w tym sezonie będzie bulgotać, burzyć się i kipieć. I że nie będzie łatwo ani ministrze, ani nauczycielom i dyrektorom szkół przeprowadzającym kolejne zmiany. Bo przecież już za rok czekają nas wybory.

JOANNA CIEŚLA

REKLAMA

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" - SANATORIUM W CIECHOCINKU

Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
11.09–27.09 oraz 27.09 - 25.10 - 20.12.2026
W ramach pobytu:
• 15 lub 20 zabiegów leczniczych
• diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
• basen solankowy
• basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

NOWOŚĆ! ONKO REHAB 27.09 ORAZ 25.10 ZADZWOŃ I SPRAWDŹ

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
11.09–27.09 oraz 27.09 - 25.10. - 20.12.26
W pakiecie:
• opieka dietetyka i analiza składu ciała
• indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
• 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
• ćwiczenia grupowe, FIT Park
• basen, sauny, łaźnie, grota solna
• konsultacje i badania lekarskie

Zeskanuj mnie

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ
* możliwa dopłata

Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2026, Turnus Noworoczny 27.12.2026 - 03.01.2027

54 416 70 00 rezerwacja@podtezniami.pl ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 1a9930715e

Poseł PiS Bartłomiej Wróblewski: – Pana adwokat broni Krala! Premier Donald Tusk: – Co to jest? Znacie go?

Jesień z aferą

Afera Zondacrypto raczej nie wywróci sceny politycznej, ale u progu nowego sezonu może pomóc rządzącej koalicji odzyskać inicjatywę, pogłębiając dodatkowo stan chaosu po prawej stronie.

RAFAŁ KALUKIN

Od miesięcy nasza polityka żywi się już niemal wyłącznie aferami, a jedyne, co się zmieniało, to strony boiska. Na początku lata to obóz rządzący znalazł się w głębokim kryzysie po ujawnieniu szczegółów kariery partyjnego arywisty w lekarskim fartuchu, Dawida Kacprzyka, co okazało się zaledwie fragmentem patologicznego mechanizmu zarządzania Szpitalem Południowym w Warszawie. A niedługo potem doszły kolejne historie z pomocą dla powodzian, mieszkaniami wiceministra Ireneusza Rasia oraz „marką polską".

I kiedy wydawało się, że strona koalicyjno-rządowa już całkiem dała się wkręcić w fatalną spiralę, pod koniec wakacji doszło do raptownego zwrotu akcji. Pójście na współpracę z prokuraturą szefa Zondacrypto Przemysława Krala skutkuje lawiną kolejnych sensacyjnych doniesień, co odwróciło dynamikę polityczną o 180 stopni. Dzisiaj to prawica znajduje się w tarapatach, być może największych od lat. Zwłaszcza że sprawa jest rozwojowa i trudno przewidywać, co jeszcze wydostanie się z otwierającej się puszki Pandory.

Od początku zwracał uwagę wysoki stopień koordynacji w zarządzaniu aferą. Biorąc pod uwagę już moment jej uruchomienia – z pewnością nieprzypadkowy, gdyż końcówka lata to w kalendarzu

© ALBERT ZAWADA/PAP

eprasa.pl 1a9930715e

politycznym okres wrażliwy. Kończą się urlopowe turnusy i wraca proza życia, a wraz z tym szerokie zainteresowanie sprawami publicznymi. Która strona narzuci w tym czasie własne tematy i zdoła pociągnąć je dalej, wygra lepszą pozycję startową przed wyborami.

Wycieki z prokuratorskiego śledztwa w sprawie upadłej giełdy trafiły tego samego dnia do obu największych portali informacyjnych i dotyczyły osobnych wątków sprawy (czyli niedoszłej transakcji w TV Republika oraz wyprawy na Ibizę posła PiS Michała Moskala). To nie za wiele, żeby rozproszyć społeczną uwagę, ale zarazem dość, żeby przytłoczyć przeciwnika, wywołać w nim efekt osaczenia.

Równolegle rozbiegli się po mediach politycy KO, którym „intuicja podpowiadała", że na tym nie koniec, zaraz wypadną z szuflady jakieś „taśmy", ruszą aresztowania i wtedy już na pewno niemal cała opozycja zapłonie. Taka orkiestracja przekazu siłą rzeczy musiała się kojarzyć z działaniami poprzedniej władzy PiS, która potrafiła manipulować społecznymi nastrojami z niespotykaną dotąd biegłością, używając do tego upolitycznionej prokuratury i mediów.

Odtąd stało się to politycznym standardem, z którego coraz chętniej korzysta również rządzący obecnie obóz, mający przecież na sztandarach odbudowanie demokratycznych reguł. Co zapewne powinno wywołać jakąś ogólniejszą refleksję na temat granicy stosowania takich metod, chociaż wątpliwości ograniczyły się do dwuznacznej roli Romana Giertycha – pełnomocnika skruszonego przestępcy i zarazem jednego z dyrygentów nabierającej rozpędu afery.

Ale chyba już większość z nas na dobre oswoiła się z myślą, że w dzisiejszej polityce liczą się przede wszystkim siła i sprawność. O czym bardzo lubi zresztą przypominać premier Donald Tusk, ostatnio na spotkaniu z młodzieżą podczas Campusu Polska Przyszłości. Dając do zrozumienia, że nie należy ulegać sentymentom, skoro nagroda za grę *fair play* jest co najwyżej symboliczna i nie liczy się w ogólnym bilansie.

Po wycięciu etycznych rozterek nie pozostaje nic innego jak skupić się na sprawności prowadzonej akcji. Czy toczy się ona wedle rozpisanego na kolejne fazy scenariusza? A może to jednak mimo wszystko takie „kopnięcie na aferę", żeby narobić szumu i liczyć na bliżej niesprecyzowane korzyści?

Raczej mamy do czynienia z pierwszą opcją. Po spektakularnej uwerturze nastąpił ciąg dalszy. Niemal od razu doszło do zatrzymania prezesa PKOl Radosława Piesiewicza, a później kolejnych osób z przestępczego półświatka oraz znanego z mediów inwestora. Wreszcie do akcji wkroczył w ostatni piątek sam Tusk, który w Sejmie podzielił się wiedzą nabytą z zeznań Krala, który rzekomo próbował wykupić sobie bezkarność u Zbigniewa Ziobry za niebagatelne 2 mln zł. I znów wrócił dylemat, bo przecież epoka takich spektakli miała bezpowrotnie przeminąć wraz z końcem rządów PiS.

Tymczasem koalicja mogła się wreszcie pochwalić „sprawczością", dociskając opozycję do muru. Sprawa Zondacrypto niemal bez reszty zdominowała życie polityczne w ostatnich dwóch tygodniach, co samo w sobie jest już sporym osiągnięciem. Przegrana w sejmowym głosowaniu nad obaleniem prezydenckiego weta ustawy regulującej rynek kryptowalut była rzeczą jasną do przewidzenia. W istocie obóz rządzący znajdował się w sytuacji *win-win*, bo zarówno pójście opozycji w zaparte i głosowanie za wetem, jak i mało prawdopodobne ugięcie się pod presją dawało się politycznie wykorzystać. A wystąpienie Tuska dodatkowo ten komfort podniosło.

Kiedy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, sprawa wciąż się rozwijała i trudno było przewidywać, co jeszcze może się wydarzyć. A jakie mogą być polityczne skutki afery?

Wyczekujących *gamechangera* czeka zapewne zawód. To nie będzie nowa afera Rywina bądź podsłuchowa z ich niszczycielskim potencjałem. Nie tyle z powodu mniejszego kalibru, ile ogólnej kalibracji. Po prostu zmienił nam się od tamtego czasu społeczny wzorzec: historie aferalne od razu po ujawnieniu wpadają w osobne przegródki, w których kształtują się krańcowo odmienne oceny i konkluzje, co w znacznej mierze betonuje postawy niektórych grup.

I nie inaczej stało się z doniesieniami w sprawie Zondacrypto. Chociaż ujawnione fakty jednoznacznie wskazywały na powiązania przestępczego biznesu ze środowiskami prawicowymi, w przekazach samej prawicy została ona zdefiniowana jako „afera Tuska". I nawet jeśli uszyte grubym ściegiem uzasadnienia wyglądały niedorzecznie, pierwsze pomiary nastrojów w internecie pokazały, że w obrębie prawicowych baniek to się generalnie sprawdziło.

Niemniej warto mieć świadomość, że opinie w internecie nigdy nie są w pełni miarodajne, gdyż kreują je przede wszystkim zdeterminowani. Tymczasem właściwym celem rażenia w tego rodzaju sprawach jest morale bardziej zdystansowanego wyborcy PiS, który ma prawo nabrać wątpliwości co do kondycji swoich przedstawicieli, co może prowadzić do osłabienia lojalności. Ale na efekt sondażowy trzeba oczywiście poczekać, jakkolwiek raczej nie należy się spodziewać wielkich wahnięć.

Podobnie było zresztą z aferą w Szpitalu Południowym z początku lata, która zmniejszyła notowania Koalicji Obywatelskiej o kilka punktów, niemniej ostatnio jej słupki znów odbiły nieco w górę. Wszystko mieściło się zatem w marginesie wakacyjnego falowania, tymczasem ogólna konstrukcja sceny pozostaje bardzo stabilna. Jedyną siłą, która realnie w tym okresie straciła, jest Prawo i Sprawiedliwość. Ale to akurat przede wszystkim skutek frondy środowiska Mateusza Morawieckiego.

Pomimo ogólnej impregnacji nie należy jednak bagatelizować afery kryptowalutowej, chociaż jej wpływ będzie zapewne subtelniejszy.

Narzucając korzystny dla siebie temat, rządząca koalicja odzyskała inicjatywę. To ona dostarcza dzisiaj politycznego paliwa, dyktując opozycji swoje warunki. Sprawa Zondacrypto jest oczywiście wielowątkowa i przez to dosyć skomplikowana, pomijając nawet ogólne zawiłości obiegu kryptowalutowego. Ale ma to swoje dobre i złe strony.

Z jednej – przeciętnemu konsumentowi newsów zapewne trudno jest ogarnąć całość, wyciągając daleko idące wnioski. Tym bardziej że prawicowe uwikłania to tylko jedna z warstw opowieści o piramidzie finansowej, której klienci stracili w najlepszym razie setki milionów złotych. Ale jednocześnie dzięki tej złożoności poszczególne fragmenty mogą się stawać osobnymi historiami, co pozwala podtrzymywać zainteresowanie opinii publicznej.

Tych wątków już jest sporo i co jakiś czas dochodzą nowe: transfery finansowe ▶

eprasa.pl 1a9930715e

▶ do środowisk prawicowych z PiS i Konfederacji, lobbing na rzecz deregulacji rynku kryptoaktywów, negocjacje w sprawie sprzedaży akcji TV Republika, korumpowanie prezesa PKOl. Pod koniec ubiegłego tygodnia pojawił się w przestrzeni publicznej trop sugerujący postępy w rozwikłaniu zagadki zniknięcia założyciela giełdy Sylwestra Suszka, najpewniej zamordowanego. I zapewne zostanie on w najbliższym czasie rozwinięty.

Wszystko to razem tworzy gęstą sieć, która sparaliżowała PiS. Podejmowane próby rozluźnienia jej i zmiany tematu jak na razie okazują się nieudane. Jeżeli zgłoszony przez Przemysława Czarnka na początek roku szkolnego postulat skokowego podniesienia wysokości wyprawki szkolnej gdziekolwiek się przebił, to już bardziej za sprawą reakcji Sławomira Mentzena, który zgasił świeczkę ironiczną uwagą, że takie obietnice „to chyba w koalicji z Razem i Lewicą".

W politycznej wojnie pozycyjnej, w której chodzi przede wszystkim o uzyskiwanie chwilowych przewag, przedłużająca się narracyjna niemożność rodzi zwykle dotkliwe konsekwencje. Pytanie tylko, jak długo rządzącej koalicji uda się jeszcze eksploatować aferalne wątki i czy posiada kolejne ukryte karty. Śledztwo toczy się jednak wartko, więc nie można tego wykluczyć.

Krążą zresztą spekulacje o kolejnych zatrzymaniach, jak również o odkrytych przypadkach ukrywania majątków przez niektórych polityków prawicy, którzy mieli „zapomnieć" wpisać do oświadczeń majątkowych oszczędności lokowane w kryptowalutach. Ile w tym prawdy, trudno ocenić, bo równie dobrze może chodzić jedynie o urabianie klimatu. Za poprzedniej władzy takie wrzutki zazwyczaj zapowiadały coś konkretnego, ale obecna ma skłonność do pustego podbijania bębenka, co na koniec obracało się zazwyczaj przeciwko niej. Ale może wreszcie po tylu latach kiepskich doświadczeń nauczyła się prawidłowo zarządzać oczekiwaniami.

Przede wszystkim jednak afera Zondacrypto pogłębia chaos na prawicy, wzmacniając dotychczasowe antagonizmy. Co może się w przyszłości odbić na jej zdolnościach koalicyjnych. Zdążyły się już ujawnić dwa niezależne od siebie źródła politycznego napięcia, które zapewne prędko nie wygasną.

GALERIA POLITYKI

MAX SKORWIDER

Pierwsze z nich to rywalizacja PiS z dopiero okopującym się na scenie Rozwojem Plus. Wszystko wskazuje, że środowisko Morawieckiego nie miało bliższych związków z biznesami Przemysława Krala, a przynajmniej nic o tym nie wiadomo. Były premier natychmiast wykorzystał więc okazję, żeby zaatakować bezpośredniego konkurenta, opowiadając się za powołaniem sejmowej komisji śledczej. Na obecnym etapie, kiedy toczy się prokuratorskie śledztwo, nie ma to oczywiście merytorycznego uzasadnienia. „Rozwojowcy" chcą jednak pokazać, że mają czyste ręce, co ich odróżnia od gnijącej prawicy Kaczyńskiego.

Ten odpowiedział z kolei pomysłem powołania komisji „apolitycznej", złożonej wyłącznie z ekspertów. Ogólnie dziwacznym i szczególnie mało przekonującym w ustach prezesa PiS, który przecież do tej pory wręcz programowo nie dawał wiary w apolityczność ekspertów. Najwyraźniej Kaczyński poczuł się jednak niepewnie po otwarciu prawicowego frontu, na którym nie wystarczy już produkować sztucznej mgły opowieściami o „aferze Tuska".

Prezes nawet starał się łagodzić konflikty na prawej flance. Sugerował, że z Morawieckim mógłby się jeszcze dogadać i przyjąć go na swoje listy, odcinając jedynie najbliższe otoczenie byłego premiera, jego rzekome złe duchy, z Michałem Dworczykiem na czele. Tyle że był to ruch mało zręczny, gdyż nie bardzo wiadomo, dlaczego gołosłowna deklaracja miałaby skłonić Morawieckiego do osłabienia presji, natomiast szeregi PiS miały prawo zaniepokoić się perspektywą konkurencji w rywalizacji o miejsca na listach wyborczych. Tymczasem sondażowe słupki coraz częściej spadają poniżej poziomu 20 proc. i nie widać sensownego pomysłu na ich ponowne wzmocnienie.

Morawiecki bez wątpienia wyczekuje więc z niecierpliwością kolejnych wycieków z toczącego się śledztwa, a najlepiej działających zazwyczaj na wyobraźnię nagrań, którymi Kral miał się podobno asekurować. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek już zresztą oficjalnie potwierdził ich istnienie, chociaż nie wiadomo, czy bohaterami są politycy. Ale jeśli ktoś bezpośrednio mógłby na tym skorzystać, to byłaby właśnie formacja Morawieckiego, najbardziej dzisiaj predestynowana do przejmowania wyborców PiS.

Jednocześnie pojawiły się kolejne napięcia w Konfederacji. Liczący na przyszłą koalicję z PiS lider narodowców Krzysztof Bosak do tej pory nie przesadzał z atakami na formację Kaczyńskiego, ale już po pierwszych doniesieniach na temat Zondacrypto ostro skrytykował związki prawicy z Kralem, podważając wersję o „aferze Tuska".

Przy okazji obiektem otwartej krytyki Bosaka został też jego klubowy kolega Przemysław Wipler, należący do frakcji Nowej Nadziei Sławomira Mentzena.

eprasa.pl 1a9930715e

Czyli kolejny z listy odwiedzających Krala w jego rezydencji w Monako, a następnie obdarowany hojną dotacją. Początkowo Wiplera miało chronić to, że bezpośrednio nie brał udziału w pracach nad ustawą regulującą rynek kryptowalut. Później wyszło jednak na jaw, że politykowi Konfederacji również zdarzyło się lobbować z trybuny sejmowej za korzystnymi dla Zondacrypto rozwiązaniami.

Mentzen wcale zresztą nie bronił jakoś specjalnie gorąco swojego partyjnego towarzysza, a kiedyś nawet politycznego mentora. A ponieważ rękę ma raczej twardą, można się spodziewać rychłego zrzucenia Wiplera z politycznych sanek. Mimo wszystko doszło jednak do kolejnego zgrzytu w relacjach Mentzena z Bosakiem, którzy ciągną coraz bardziej w różne strony i można odnieść wrażenie, że dzisiaj już tylko kryzys w PiS pomaga im wspólnie trwać w tym politycznym związku. Jego przyszłość pozostaje jednak niepewna.

W ogólnym prawicowym rozgardiaszu słychać głosy, że bez interwencji Karola Nawrockiego już nie uda się przed wyborami posprzątać bałaganu. Tusk konsekwentnie próbuje jednak wiązać prezydenta z aferą, podsyłając mu kolejne wersje ustawy regulującej rynek kryptoaktywów. I pewnie nie zrezygnuje z czwartego podejścia, choćby po to, żeby podtrzymać zainteresowanie tematem.

A do tego doszły jeszcze ujawnione przez premiera zeznania Krala, który rzekomo miał opłacać się Ziobrze również za możliwość załatwienia w przyszłości ewentualnego ułaskawienia. I chociaż nie można wykluczyć, że próbujący ratować skórę przestępca nieco koloryzuje swoje opowieści pod oczekiwania Giertycha, dla nadal sklejonego z PiS Nawrockiego takie rewelacje mogą być kłopotliwe.

Dla rządzącej większości to dobra okazja, żeby złapać oddech i ponownie ustawić szyki. Wraz z końcem lata odżyły polityczne ambicje Szymona Hołowni, który zasygnalizował chęć odzyskania przywództwa w swojej partii, a w dalszej kolejności, być może powrotu do rządu. Zamiast Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz (chociaż raczej w innym resorcie), o czym publicznie nie wspomniał, ale gniewna reakcja tracącej poparcie również w swoim środowisku obecnej szefowej Polski 2050 nie pozostawiła cienia wątpliwości, że zbierają się nad nią ciemne chmury.

Premier z pewnością będzie sprzyjał takiej podmiance, nawet jeśli z Hołownią też mu się wcześniej nie układało. Z szefową Ministerstwa Funduszy nikt już jednak w koalicji nie chce współpracować. I nie chodzi tylko o jej ustawiczne kontestacje polityki rządu, które zresztą nie niosą się jakoś specjalnie szeroko. Większym problemem jest utrzymujący się stan rozbicia dawnej Trzeciej Drogi na trzy części, z których żadna nie ma widoków na samodzielne przetrwanie. Wśród dawnych partnerów rośnie więc świadomość, że należałoby to jakoś z powrotem poskładać, co z nieustępliwą Pełczyńską-Nałęcz na pokładzie nie wydaje się możliwe. Powrót Hołowni byłby więc zapewne początkiem jakiejś formy reintegracji. Niekoniecznie po to, by wystawiać raz jeszcze wspólne listy, tylko żeby zwiększyć swoją siłę w rozmowach z Koalicją Obywatelską.

Na stole pozostaje jeszcze wariant jednej listy całej koalicji, łącznie z Lewicą. Potencjalnie korzystny przy pogłębiającym się rozbiciu na prawicy, chociaż na razie jedynie teoretyczny. Czas na przymiarki nadejdzie najwcześniej na początku przyszłego roku, jeżeli oczywiście do tej pory nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, co zachwieje polityczną logiką. A wydarzyć się może wiele, chociażby w związku z coraz bardziej niepewną sytuacją międzynarodową, ale też warto pamiętać o bardziej prozaicznych kwestiach bytowych, szczególnie w związku z cenami energii w sezonie grzewczym.

Tymczasem Tusk wyraźnie stawia dzisiaj na mobilizację twardej bazy, która ostatnimi czasy coraz bardziej popadała w apatię. Teraz odżywa dzięki głośnej aferze, a z pewnością kibicuje również zapowiadanym porządkom w Trybunale Konstytucyjnym, co ma być kolejnym dowodem na odzyskaną „sprawczość" koalicji. W kuluarach mówi się nawet, że kolejnym etapem planu będzie jakaś forma odkręcenia wyroku zakazującego aborcji, chociaż chyba nikt nie wie, jaka ścieżka miałaby do tego prowadzić. Tuskowi ma jednak zależeć na symbolicznej chociażby realizacji najważniejszej obietnicy z 2023 r.

Jesień zapowiada się zatem dla koalicji ofensywnie i rozkręcona afera Zondacrypto to ledwie pierwszy punkt politycznego planu. A w jakim stopniu zostanie on zrealizowany, od tego zależeć będzie powodzenie kolejnych.

RAFAŁ KALUKIN

REKLAMA

UNIWERSYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH

Studiuj podyplomowo

Praktyczna wiedza, realne możliwości
Rekrutacja 2026/2027

Sprawdź ofertę
i aplikuj

eprasa.pl 1a9930715e

Prezydenckie rezydencje

Spotkanie prezydenta Nawrockiego z młodymi ludźmi w Juracie przypomniało, jakimi włościami dysponuje głowa państwa i jak z nich korzysta. Różnie z tym u różnych prezydentów bywało.

ANNA DĄBROWSKA

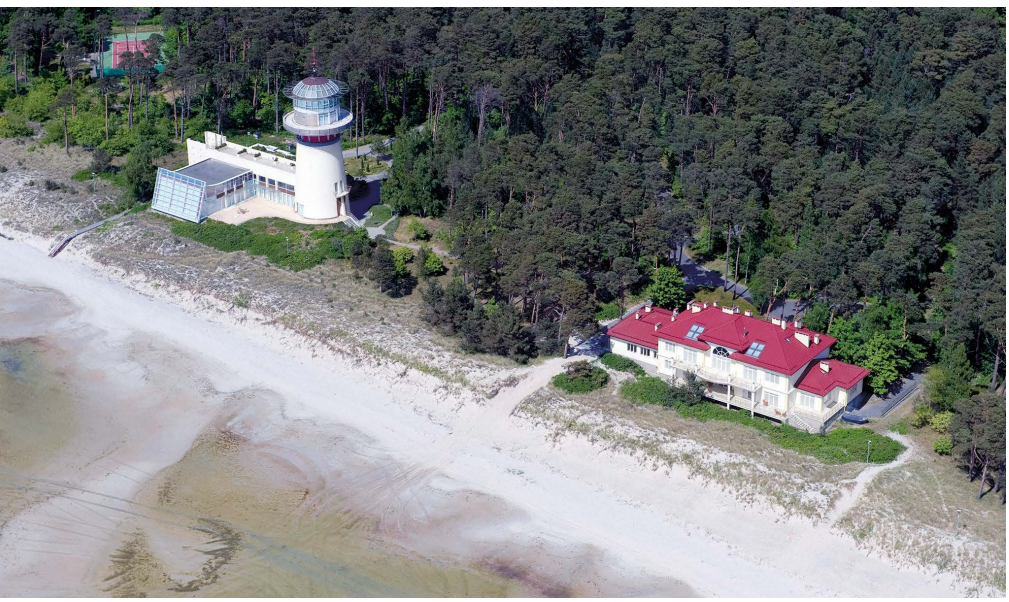

Prezydencka rezydencja w Juracie. Są tu m.in. basen, kort tenisowy i wieża widokowa.
Poniżej: **zamek w Wiśle. Górny jest do dyspozycji pierwszej pary, w Dolnym każdy może wynająć pokój.**

Krzysztof Stanowski, szef Kanału Zero, przechadzając się z Karolem Nawrockim po prezydenckiej rezydencji w Juracie, komentował: „To jest naprawdę ogromne! Tamto molo to też jest pana prezydenta? To znaczy narodu polskiego, nasze". Na to prezydent: „I to, i to, i tamto. Tak, to prawda. Wyobraża sobie pan redaktor, że prezydenci Lech Kaczyński, Andrzej Duda albo Karol Nawrocki stworzyliby taki ośrodek? (...) Ja nie wiem, czy to nie boli części opinii publicznej, że w ogóle tu przebywam". Zaznaczył przy tym, że nie bywa zbyt często w Juracie. I dodał, że „Tamci prezydenci mogli więcej. A dzisiaj – skoro ten ośrodek powstał – dlaczego nie otworzyć go dla ludzi, dla młodzieży, dla intelektualistów?".

Po raz kolejny Karol Nawrocki wpisuje się w dobrze znaną narrację o „wyklętej" prawicy, której naród rzekomo wybacza mniej niż jej politycznym przeciwnikom i odmawia przywilejów. Nawrocki daje do zrozumienia, co ma się spodobać elektoratowi, że dla niego są w zasadzie zbędne. „Moje potrzeby są naprawdę skromne..." – tłumaczył Stanowskiemu. Ale jeśli już poprzednicy takie rezydencje pobudowali, to prezydent dziękuje Lechowi Wałęsie i Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, ale to dopiero on, Nawrocki odda je narodowi. „Może być też otwarte do debat intelektualnych, takich jak ta dzisiejsza, czy do spotkań młodzieży". Dwa tygodnie przed młodzieżowym zjazdem Nawrocki zaprosił do Juraty cenione przez siebie grono, z którym spotyka się regularnie raz na kwartał. Wśród nich właśnie Krzysztofa Stanowskiego, który nagrał tę rozmowę.

W ostatni weekend sierpnia w rezydencji w Juracie odbyło się dwudniowe wydarzenie pod nazwą Przyszłość.pl. Były panelowe dyskusje, prelekcje, bloki rekreacyjno-sportowe. Był też występ Skolima. Głównym punktem programu była blisko półtoragodzinna sesja Q&A, podczas której uczestnicy mieli okazję bezpośrednio przepytać głowę państwa. To „otwieranie rezydencji na ludzi" sprowadza się jednak w praktyce do zorganizowania ściśle przefiltrowanej imprezy, która głównie ma budować polityczną przyszłość Karola

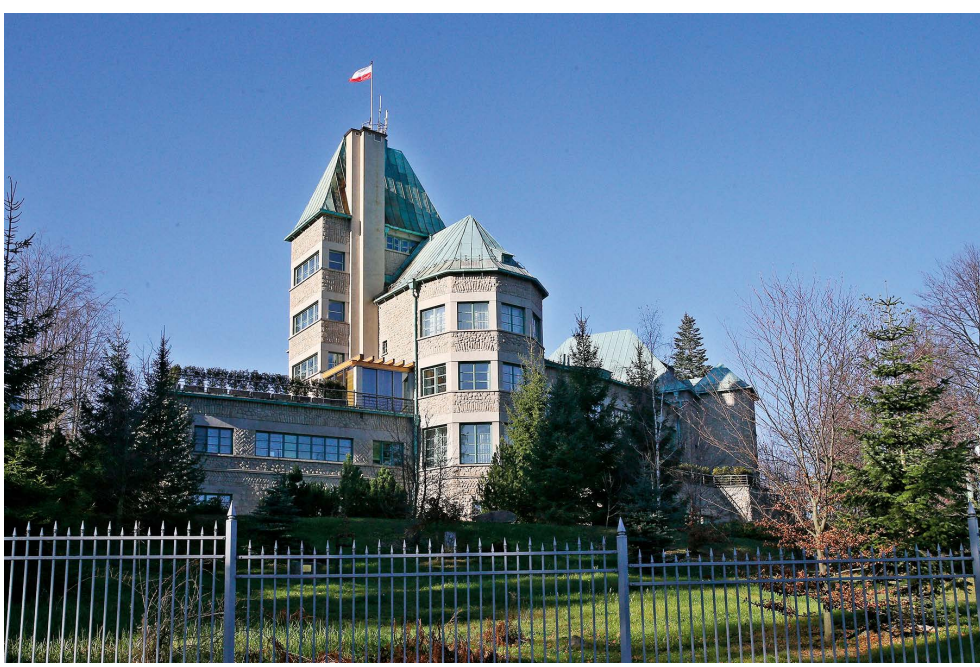

eprasa.pl 1a9930715e

Nawrockiego. Prezydent na kręconym z ręki filmiku zapraszał osoby w wieku 18–26 lat, jak dodawał w rozmowie ze Stanowskim, to spotkanie „formacyjne", ale „to nie jest wydarzenie polityczne w żadnym zakresie". Podobno zgłosiło się ponad 2 tys. chętnych, czyli w końcu nie tak wielu, ale przyjechać mogło ośmiuset – ze względów bezpieczeństwa. Jak informował rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz, selekcja uczestników odbyła się na podstawie analizy formularzy, w których aplikujący podawali informacje na temat swoich zainteresowań i aktywności.

Siłownia, skuter i meleks

Nasz rozmówca z PiS ocenia, że prezydent tym nieformalnym spotkaniem na plaży w Juracie przy rezydencji „robi sobie fejm wśród młodych". – *Zbiera wszystkich od tych, co są za PiS, tych, co im bliżej do Morawieckiego czy Mentzena, a nawet pojawił się tam ktoś, kto przyznał, że rok temu głosował na Trzaskowskiego, a dziś jest za Nawrockim. Dla poszarpanej prawicy Karol staje się dla tych młodych jakimś wspólnym punktem odniesienia. Sprytnie to rozgrywa, myśląc o patronacie dla całego obozu po prawej stronie.* Dodaje, że to politycy PiS byli w Juracie z Nawrockim obecni, bo przecież najważniejsi w Kancelarii do dziś należą do tej partii. Nawrocki już zapowiedział, że kolejne spotkania będą, ale nie w Juracie. „To ograniczenie do 800 osób, ono jest obiektywne, bo odnosi się do bezpieczeństwa, daje mi takie poczucie, że druga edycja powinna odbyć się w miejscu, w którym spotkamy się w dwa albo trzy tysiące osób w przyszłym roku". Jeden z naszych rozmówców uważa, że Karol Nawrocki teraz chętniej i częściej będzie pojawiać się z rodziną w Juracie. – *Pamięta, jak tabloidy publikowały zdjęcia Dudy na skuterze, jak bawi się w rezydencji, a nie korzysta z niej do celów polityki dyplomatycznej. Karol pokazał, że otworzył te hektary dla narodu, bo on jest dla niego najważniejszy, więc nikt nie może mieć mu za złe, że wypoczywa tu także z rodziną* – opowiada poseł PiS.

Podczas oprowadzania po rezydencji w Juracie, które prezydent zaoferował Krzysztofowi Stanowskiemu, dowiedzieliśmy się, że to właśnie tu oddaje się pasji jeździeckiej, którą długo w sobie nosił. Na spacerze z szefem Zero wyjawił: „Tak, tu się ścigamy. Tu jest cała długa trasa, więc ten wyścig zawsze przysparza wiele emocji. Konie niechętnie wchodzą do wody, ale potrafią też pójść w galop wodą, więc naprawdę pod tym względem to jest miejsce stworzone do tego typu aktywności". Dodał, że bywa, iż ściga się z funkcjonariuszami SOP. Przyznał, że jest też siłownia i czasami wsiądzie na skuter wodny. I choć prezydenci nie mogą siadać za kółkiem, ze względów bezpieczeństwa, to w Juracie Nawrocki prowadzi meleksa – „więc nie odrywam się od praktyki jeżdżenia samochodem".

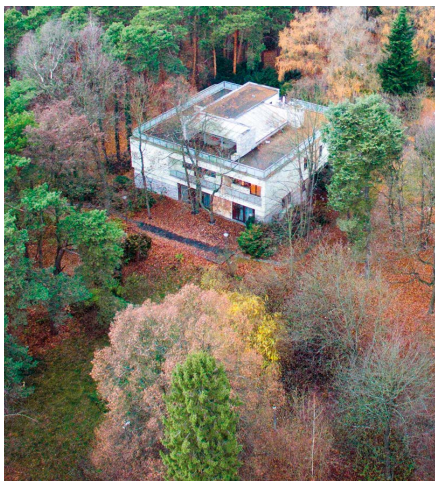

400-metrowa willa prezydencka w podwarszawskim Klarysewie

Nawrocki zastrzega, że dość rzadko bywa w Juracie, „to nie jest tak, że spędzam tutaj wakacje. Zresztą prezydent, jak pan redaktor i państwo wiedzą, nie ma wakacji, cały czas jest w pracy. Ale gdy tutaj jestem, staram się korzystać raczej z natury". Formalnie prezydentowi nie przysługuje urlop wypoczynkowy. Ale nie oznacza to, że z urlopu nie korzysta, po prostu sam organizuje sobie czas pracy i wolne. Przyznaje, że „walorem tego miejsca jest to, że mogę spędzić czas z rodziną (...) Ja mam nadzieję, że już wszyscy widzowie – Polki, Polacy – widzą, że trudno mnie zamknąć w złotej klatce. Ani żyrandole nie robią na mnie wielkiego wrażenia, ani nawet najpiękniejsze ośrodki. Jestem stworzony chyba do czegoś zupełnie innego".

Korty w odstawce

W kampanii prezydenckiej w 2005 r. kandydat Donald Tusk mówił, że „nadchodzi czas końca cesarstwa i dworskiego ceremoniału. Całą sieć letnich i zimowych rezydencji głowy państwa trzeba po prostu zlikwidować". Kontrkandydat Lech Kaczyński zapowiedzi Tuska uznał za populistyczne. „Urząd prezydenta musi cechować pewien prestiż" mówił, określając jednocześnie styl Aleksandra Kwaśniewskiego jako zbyt dworski. Utrzymywane z pieniędzy podatników rezydencje głowy państwa doskonale nadają się do prowadzenia dyskretnych negocjacji politycznych oraz podejmowania zagranicznych delegacji. Pierwszy wpadł na ten pomysł Aleksander Kwaśniewski. W latach 60. XX w. w sosnowym lesie w pobliżu Juraty, na terenie należącym obecnie do gminy Hel, wybudowano pawilony, które następnie przekształcono w Ośrodek Wypoczynkowy Urzędu Rady Ministrów „Mewa". Nie cieszył się wielkim powodzeniem, popadł w ruinę. Latem 1989 r. został przejęty przez Kancelarię Prezydenta, a Aleksander Kwaśniewski w drugiej połowie lat 90. przeprowadził gruntowną modernizację i rozbudowę kompleksu, do której bez wstydu można zaprosić głowy innych państw.

Kwaśniewski był popularnym prezydentem, liczył się w polityce, więc Polacy przymykali oko na te kosztowne remonty. Zbudował centrum konferencyjne, kort tenisowy, a na życzenie prezydentowej także 35-metrową wieżę widokową, przypominającą latarnię morską, z basenem i salą kominkową. Ten kort tenisowy, który – jak zauważył Stanowski – od dawna nie jest używany i ma zwiniętą siatkę, Nawrocki też skomentował: „To była pasja, jak wiemy, pana prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Ja nie podzielam akurat tej pasji pana prezydenta, ale korty tenisowe są rzeczywiście wszędzie. Nie gram, jesteśmy nieco inni, ale korty są". Ktoś z otoczenia Nawrockiego śmieje się, że to w stylu Karola: – *On gra na swojaka, który idzie na siłkę, na mecz piłkarski i umie się bić, bo trenuje boks. Tenis to sport dla tak zwanych elit, z którymi on nie chce się utożsamiać.*

Na kilkudziesięciu ogrodzonych i strzeżonych hektarach otoczonych sosnowym lasem jedna willa jest na wyłączność prezydenta, niedaleko kolejna dla gości najwyższych rangą i jeszcze jedna z kilkoma stumetrowymi apartamentami. W tej reprezentacyjnej rezydencji małżeństwo Kwaśniewskich gościło m.in. Javiera Solanę, a Václav Havel spędził tam z małżonką dwa tygodnie. Do Mewy bardzo przekonał się też Lech Kaczyński, który tak jak poprzednik uczynił z niej miejsce do uprawiania dyplomacji. To tu na nieoficjalne rozmowy przyjechali kanclerz Angela Merkel i prezydent USA George W. Bush z małżonką. W pierwszej kadencji wypominano Andrzejowi Dudzie, że korzysta ▶

© KACPER KOWALSKI/FORUM, MONKPRESS/EAST NEWS, LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

eprasa.pl 1a9930715e

▶ z rezydencji głównie w celach wypoczynkowych. Z willi korzystała kiedyś Beata Szydło, była tu też znajoma Dudów Joanna Lemańska, sędzia Sądu Najwyższego z partnerem. W 2018 r. wpadli też do prezydenta piłkarze naszej narodowej reprezentacji. Dudowie spędzali w Juracie całe tygodnie, nawet ustawy do podpisania dowożone były przez kierowców, a potem na stronie Kancelarii wrzucane były przy nich archiwalne zdjęcia Dudy siedzącego z długopisem przy biurku. Bywały jednak tu za jego prezydentury głowy państw, np. w lutym 2021 r. prezydenci Grupy Wyszehradzkiej. Latem, rok później, Andrzej Duda spotkał się w rezydencji na Helu z prezydentem Litwy. Pod koniec czerwca tego roku do Juraty na nieformalny szczyt prezydentów regionu Europy Środkowo-Wschodniej na zaproszenie Karola Nawrockiego przyjechali prezydenci Litwy, Łotwy, Estonii i Rumunii.

Format klarysewski

W czerwcu 2026 r. Karol Nawrocki na Kongresie Młodzieżowych Rad pierwszy raz powiedział publicznie o spotkaniach w „formacie klarysewskim". Czterystumetrowa willa w dwuhektarowym ogrodzie w podwarszawskim Klarysewie też należy do prezydenckich rezydencji. Mieszkał w niej Edward Gierek, a w 1998 r. ówczesny szef Kancelarii Prezydenta Ryszard Kalisz przejął ją od rządu. Rzadko bywał w niej prezydent Lech Kaczyński, a prezydent Bronisław Komorowski mówił, że trzeba się jej pozbyć. Nawrocki mówi, że ma w niej spotkania „zupełnie niepubliczne, nie są komunikowane opinii publicznej. Bierze w nich udział ok. 20 osób, przez 4 godziny trwa żywa, zupełnie niepolityczna dyskusja z wielu perspektyw". Dodawał, że są tam artyści, intelektualiści, profesorowie, ludzie zajmujący się geopolityką z całej Polski. Niedawno o tych spotkaniach pisał „Newsweek".

W przemówieniu w rocznicę zaprzysiężenia na prezydenta Nawrocki znów wspomniał o Klarysewie, że „spotyka się z bardzo pięknymi umysłami, które mówią także o przyszłości Polski". Cytował też w swojej rocznicowej przemowie 6 sierpnia prof. Wawrzyńca Rymkiewicza, który do Klarysewa przyjeżdża. Listę gości ustalają głównie profesorowie Andrzej Nowak i Piotr Gliński, ale oczywiście prezydent też może kogoś doprosić. Poza wymienionymi stałymi bywalcami są też: pisarz Antoni Libera, prawicowy publicysta Bronisław Wildstein, Marcin Giełżak, który współtworzy podkast „Dwie lewe ręce", i miejski działacz Jan Śpiewak czy Czesław Bielecki, architekt od lat związany z PiS.

Więcej o tych spotkaniach, już niejako zwolniony z tajemnicy, skoro o tym „klarysewskim formacie" zaczęło być głośno, opowiedział kilka dni temu w PRZEkanale na YouTube dziennikarz Piotr Gursztyn. Dotychczas odbyły się cztery takie spotkania, dwa w rezydencji w Klarysewie, jedno w Juracie i jedno w Belwederze. Gursztyn wśród uczestników spotkań wymienił też, choć nie z nazwiska – znanego pediatrę dziecięcego, profesora psychiatrii, księdza profesora prawa kanonicznego. Na pierwszym spotkaniu referat wygłosił Wawrzyniec Rymkiewicz. Mówił o polskiej *soft power*, czyli metodach wpływania przez Polskę na opinię światową. Ostatnio wystąpienie miał Rafał Ziemkiewicz na temat „Polska w roku 2050" i kreślił wizję wielkiej Polski, co według Gursztyna było zbyt optymistyczne. Drugi referat na tym samym spotkaniu wygłosił Jan Śpiewak. Przedstawił Polskę wyniszczoną kryzysem klimatycznym, zdezorganizowaną i kontrolowaną przez deweloperów i oligarchów, z optymistycznym akcentem buntu ludzi zwracających się ku demokracji.

Prezydent przez kilka godzin wsłuchiwał się w referaty, dyskusję i jako jedyny robił notatki. Po jednym ze spotkań miał zapisać nawet 13 stron. Na koniec spotkania Nawrocki dokonał podsumowania. „Nie to, że ocenia, że się z kimś zgadza czy nie, ale do czego mu to się przyda, że to są jakieś myśli, które go szczególnie zainteresowały" – relacjonuje Piotr Gursztyn. Ważny polityk PiS przyznaje trochę złośliwie, że w 2008 r., kiedy prezydenturę sprawował Lech Kaczyński, to w willi w Klarysewie zaszył się jego brat Jarosław. – *Prezes pisał tam program PiS, a widać Karol musi się najpierw sporo nauczyć i notować, co mają do powiedzenia inni* – mówi nasz rozmówca.

Śmigłowcem do Promnika

Karol Nawrocki bywa też w oddalonej o 70 km od Warszawy rezydencji Promnik, w Rudzie Tarnowskiej niedaleko Łaskarzewa, do której w 20 minut dolatuje śmigłowcem. Na pewno spędził tam pierwsze dni tego roku, bo lokalne media donosiły, że przy tej okazji pojawił się na mszy w pobliskiej parafii. Dawniej gościli tu Wojciech Jaruzelski i Lech Wałęsa. W drugiej kadencji Andrzeja Dudy wykonano tu liczne prace budowlane za 2,6 mln zł, które miały podnieść bezpieczeństwo, chodziło o ogrodzenie i drogi inspekcyjne. To otoczona gęstym lasem posiadłość z basenem, siłownią i kortem tenisowym. Świetność przywrócił jej Aleksander Kwaśniewski. Nie ma o niej słowa na stronie kancelarii, a współpracownicy prezydenta, jak tłumaczą, ze względów bezpieczeństwa też niewiele o niej mówią. Kiedy Dudzie wyszedł pozytywny test na covid, para prezydencka właśnie w Promniku zaszyła się na kwarantannie.

Na południu Polski prezydent ma do dyspozycji zamek w Wiśle, ale rzadko tu bywa. Oficjalnie latem była tu Marta Nawrocka, by spotkać się z polską młodzieżą z Litwy, która przez tydzień spędzała tu wakacje. Ta modernistyczna rezydencja zaprojektowana przez Adolfa Szyszko-Bohusza z lat 30. XX w. pełni podwójną funkcję. Jest zarówno miejscem odpoczynku, jak i atrakcją turystyczną. Lech Kaczyński odgrażał się podczas swojej kampanii prezydenckiej, że skończy z tym bizancjum i pozbędzie się zameczku na Zadnim Groniu w Wiśle. Kiedy wygrał wybory, zmienił zdanie, bo – jak przyznał – wcześniej nie wiedział, że był darem ludu śląskiego dla prezydenta Ignacego Mościckiego, a „takie dary trudno oddać". Na szczęście dla Andrzeja Dudy, który znany z zamiłowania do nart spędzał tu wiele zimowych tygodni.

Zameczek był oczkiem w głowie Aleksandra Kwaśniewskiego, który nie przejmując się tym, co piszą na ten temat tabloidy, nie szczędził pieniędzy na jego remont. Kancelaria wydała wtedy ok. 30 mln zł. Kwaśniewscy korzystali z jego uroków niespełna rok, uroczyście otwierali zamek po remoncie wiosną 2005 r., a jesienią skończyli drugą kadencję. „Jest bowiem szczególnie ważne, że zamek w Wiśle mający być rezydencją prezydentów Rzeczypospolitej służyć będzie – jako Narodowy Zespół Zabytkowy – całemu narodowi" – mówił podczas otwarcia zamku. Górny Zamek w Wiśle jest do dyspozycji pierwszej pary, ale już w Dolnym każdy może wynająć pokój, a w Gajówce nawet urządzić wesele. W prezydenckiej kaplicy można też wziąć ślub czy ochrzcić potomka.

Nie jest więc tak, jak twierdzi Karol Nawrocki, że to on wreszcie otwiera rezydencje prezydenckie dla narodu, ale wiadomo, że obecny prezydent lubi być wyjątkowy.

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl 1a9930715e

Cząsteczka szczęścia

Kiedy komuś zostają miesiące życia, jest gotów na wszystko. Terapia eksperymentalna to leczenie ostatniej szansy. Nawet jeśli okaże się nieskuteczne, to pomoże nauce i kolejnym pacjentom.

PAWEŁ WALEWSKI

Anna Sieracka ma 58 lat i przez większość zawodowego życia uczyła matematyki. Dziś, zamiast liczyć całki, zlicza własne parametry krwi. Pięć lat temu przeszła operację i chemioterapię z powodu raka macicy. Po czterech latach względnego spokoju nastąpiła wznowa w brzuchu i płucach. Standardowa chemia w gdyńskim Redłowie zadziałała na osiem miesięcy, a kolejne terapie tabletkowe okazały się nieefektywne – tomograf z lutego 2026 r. nie pozostawił złudzeń: choroba postępowała.

Wtedy po raz pierwszy usłyszała o Ośrodku Badań Klinicznych Wczesnych Faz w Gdańsku. – *Nie miałam nad czym się zastanawiać. To dla mnie jedyna szansa* – wyznaje z typowo ścisłym, zadaniowym podejściem do życia. Pierwszym warunkiem udziału w testach cząsteczki – nienazywanej jeszcze formalnie lekiem, bo niewprowadzonej nigdzie na świecie do terapii – było dostarczenie bloczku z biopsji. Usłyszała, że badany specyfik pasuje do jej profilu idealnie. Ale po kilku dniach od radosnej nowiny o rozpoczęciu leczenia zablokowano rekrutację do programu. Wróciła do Redłowa, przyjęła kolejną, bezużyteczną chemię, by w czerwcu, na polecenie swojej lekarki, zadzwonić do Gdańska ponownie.

„To chyba musi być u pani już na cito" – usłyszała w słuchawce, na co odparła z właściwą sobie pragmatyką: „Nawet na bardzo cito". Znalazło się miejsce, ale wejście do programu przypominało próbę sforsowania twierdzy. Badanie miało swoje kryteria, a jednym z nich był odpowiedni poziom hemoglobiny – u Anny zdecydowanie za niski, więc musiała najpierw podciągnąć wyniki żelazem. Pierwszy wlew nieznanego leku przyjęła w połowie lipca, po czym znów opadła z sił, co było efektem ubocznym dawki uderzeniowej. Teraz czeka na kolejną.

Czy to brzmi jak cudowna terapia ostatniej szansy? Anna nie ukrywa, że bywa to uciążliwe – trzeba przyjeżdżać w wyznaczonych dniach, oddawać krew, spędzać godziny w ośrodku, po wlewie pozostawać na obserwacji. – *Rodzina mnie wspiera, przecież ratuję swoje życie* – opowiada. – *Znajomi pytali, czy się nie boję, ale nie mam specjalnie wyboru. Poza tym na kimś trzeba to przetestować.*

Przeczytała dokumentację badania od deski do deski, podpisała wszystkie zgody. Miała pytania, dostała odpowiedzi. Badanie kliniczne nie jest obietnicą, że lek okaże się skuteczny. Jest sposobem sprawdzenia, czy działa, u kogo i czy nie zaszkodzi. ▶

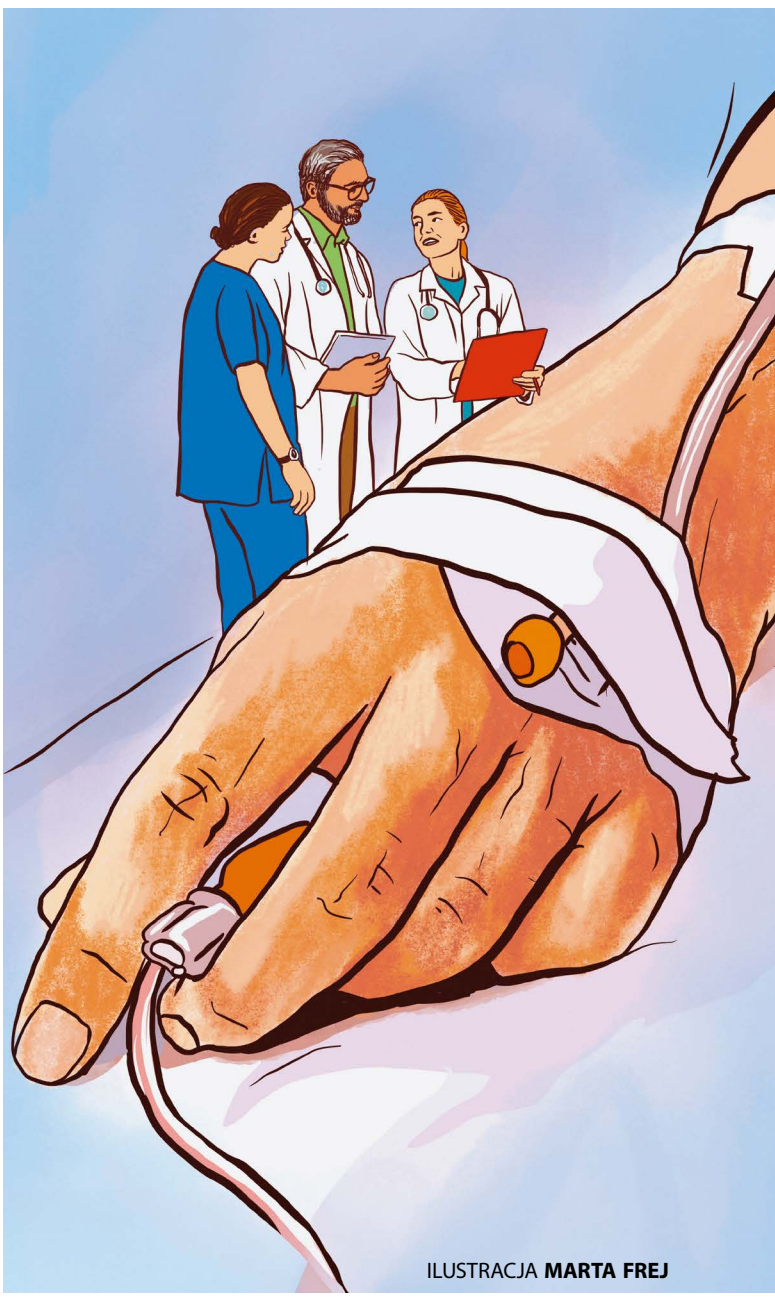

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 1a9930715e

▶ Cała współczesna medycyna stoi na tym mało romantycznym założeniu: zanim nowa terapia stanie się standardem, trzeba ją poddać próbie. Najlepiej takiej, w której nie da się pomylić nadziei z dowodem.

Nadzieja, która ma swoje procedury

Z perspektywy koordynatorki badań klinicznych mgr farm. Aleksandry Rewińskiej, jednej z czterech zatrudnionych w Centrum Wsparcia Badań Klinicznych UCK Ośrodku Wczesnych Faz w Gdańsku, historia Anny jest codziennością. Pełniąc funkcję łącznika między pacjentem, zespołem lekarskim a sponsorem badania (zazwyczaj zagraniczną firmą farmaceutyczną, finansującą ocenę skuteczności i bezpieczeństwa nowego leku), obserwuje pacjentów trafiających tu w sytuacji całkowitego wyczerpania dostępnych terapii i z rokowaniami liczonymi w miesiącach.

Nawet połowa zgłaszających się zostaje wykluczona już na etapie analizy dokumentacji medycznej z uwagi na rygorystyczne kryteria w protokołach badawczych. Kolejna grupa nie spełnia warunków po ocenie parametrów laboratoryjnych, których wartości wykraczają poza dopuszczalne zakresy. Ale decyzja odmowna nie oznacza automatycznie zamknięcia drogi do udziału w terapii eksperymentalnej. – *Jeśli w danym momencie nie dysponujemy niczym odpowiadającym profilowi pacjenta, jego dokumentację archiwizujemy, bo może się okazać, że w kolejnych miesiącach uruchomimy program spełniający kryteria kwalifikacji. Albo podobne badanie będzie prowadzone w innym ośrodku w Polsce* – wyjaśnia Aleksandra Rewińska.

Czym właściwie są te tajemnicze badania wczesnej fazy? W odróżnieniu od zaawansowanej fazy II i III, gdzie testuje się leki o w miarę znanym profilu i skuteczności, badania fazy wczesnej dotyczą cząsteczek będących na samym początku rozwoju terapii (patrz ramka). Najważniejsze, co trzeba sprawdzić, to bezpieczeństwo: jak organizm reaguje na nową substancję, jaka dawka jest tolerowana, jak lek się wchłania, metabolizuje i wydala. W onkologii ta faza ma jednak szczególną cechę – badana cząsteczka trafia do pacjentów z chorobą nowotworową, a nie do zdrowych ochotników. Dlatego od początku jest tu również pytanie o możliwą aktywność przeciwnowotworową. I nie ma miejsca na placebo – pacjent zawsze otrzyma substancję leczniczą, bo etycznie nie do obrony byłoby pozbawienie go kuracji.

– *Badania wczesnych faz z uwagi na ich innowacyjny charakter wymagają restrykcyjnych kryteriów. Nieraz spośród pięciu chorych do udziału przyjmujemy tylko jednego. Im późniejszy etap, tym większa liczba możliwych uczestników, bo o leku wiadomo już znacznie więcej* – tłumaczy Rewińska. W jednym badaniu bierze udział 20 osób, w innym tylko jedna. Mieli już także w Gdańsku „First in Human", czyli podanie nowatorskiej terapii u pierwszego pacjenta na świecie.

Jak wyjaśnia prof. Rafał Dziadziuszko, szef tutejszego ośrodka, wczesna faza wymaga precyzji: pobrania kilkunastu probówek krwi w ściśle wyznaczonych oknach czasowych i natychmiastowego raportowania każdego zdarzenia niepożądanego. To z kolei wymusza wojskową dyscyplinę, bo o każdej porze dnia i nocy trzeba monitorować stan pacjenta.

W Polsce długo brakowało miejsc, w których można było takie badania prowadzić na najwyższym poziomie. A początki nie były usłane różami. Prof. Piotr Rutkowski z Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie wspomina, że gdy w 2017 r. powstawał tu pierwszy w kraju publiczny ośrodek wczesnych faz w leczeniu raka, nie istniała jeszcze Agencja Badań Medycznych, radzono więc sobie grantami z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju oraz partnerstwem publiczno-prywatnym z jedną z firm farmaceutycznych. Potrzebny był nie tylko sprzęt. Musieli nauczyć się, jak taki ośrodek zorganizować. Jego zespół podglądał więc światowe standardy, tworząc od podstaw nie tylko procedury, ale też infrastrukturę – oddzielne serwerownie, lodówki niskotemperaturowe do przechowywania próbek, minilaboratoria. – *Jeśli w badaniu III fazy pacjentowi pobiera się 4–5 probówek krwi, to w badaniu fazy wczesnej nawet 15* – informuje prof. Rutkowski. Do tego dochodzi monitorowanie stężenia substancji w organizmie, nieraz z dokładnością do pięciu minut po podaniu leku. W Gdańsku jest podobnie (placówka działa od czerwca 2019 r.). Prof. Dziadziuszko: – *Tego nie można robić przy okazji, więc na zwykłym oddziale, gdzie dwie pielęgniarki opiekują się 30 chorymi, byłoby to niewykonalne.*

W gdańskim ośrodku 50 prowadzonych równolegle badań obsługuje 13 osób: oddzielni lekarze, pielęgniarki, koordynatorzy oraz bioinformatycy. To jednak nie jest supermarket z lekami, do którego wystarczy wejść, powiedzieć: „poproszę coś na raka" i odebrać numerek.

Nadzieja, która przeciera szlaki

Ryszard Deja ma 72 lata i mieszka w Lipuszu na Pomorzu. Na raka płuca zachorował po 50 latach palenia dwóch paczek papierosów dziennie. – *Nie ma czym się chwalić* – spuszcza głowę. Cztery lata temu wycięto mu płat prawego płuca. Przez pewien czas był spokój. Potem pojawiła się wznowa i lekarze zaproponowali udział w badaniu klinicznym. – *Nie wiedziałem, o co chodzi, ale chciałem po prostu tego raka z siebie wyrzucić* – wspomina. Nie miał w domu ludzi, którzy straszyliby go, że to groźny eksperyment.

Za to miał motywację. Wstawał o czwartej rano, by tłuc się pociągami przez Kościerzynę i Wejherowo do Gdańska na kolejne kroplówki. I tak przez pół roku. Pierwsze badanie dało mu dodatkowe trzy lata życia w dobrej formie. Kiedy choroba niedawno posunęła się naprzód, z optymizmem wszedł w kolejne, by wyrwać śmierci następne lata, mimo że w tym czasie pochował żonę zmarłą na hemofilię. Prof. Rafał Dziadziuszko mówi wprost: – *Pan Ryszard bardzo skorzystał z naszego leczenia. Jest dziś w sytuacji, w której większość chorych z podobnym zaawansowaniem niestety już nie żyje.*

Bo celem nie jest zagwarantowanie każdemu wyleczenia, zwłaszcza w przypadku rozsianej choroby. Najistotniejszym rezultatem okazuje się opóźnienie jej postępu, nawet o dwa–trzy lata. – *Dla osoby z zaawansowanym rakiem ten dodatkowy czas w komforcie to często jest bardzo dużo* – sumuje profesor. Aleksandra Rewińska spotyka tu pacjentów, którym prognozowano jedynie kilkanaście tygodni życia, a dzięki testowanym terapiom pozostają pod opieką już piąty rok.

Owo testowanie to nie jest medyczna wolnoamerykanka, jak wciąż lubi to portretować internet, gdzie pacjenci w badaniach klinicznych rzekomo funkcjonują jako króliki doświadczalne. Badacze nie cierpią tego określenia, ale mierzą się z nieufnością podszytą dezinformacją oraz – jak ironicznie dodają – „doradcami, lepiej lub mniej fachowymi", którzy potrafią zniechęcić chorego do skorzystania z innowacji. – *To bardzo mylące* – oponuje

eprasa.pl 1a9930715e

Zanim lek stanie się lekiem

Polska ze swoim zapleczem badawczym zajmuje szóste miejsce w Europie. Rocznie odbywa się u nas mniej więcej pół tysiąca nowych badań klinicznych, najczęstsze są w: onkologii (36 proc.), kardiologii (13 proc.) i neurologii (10 proc.). W 2024 r. przyjęto 579 wniosków, w 2025 – 663. Ale zazwyczaj są to badania II i III fazy, bo te wczesne, najbardziej wymagające, stanowią zaledwie 13 proc. Zapewniły one dostęp do terapii dla 27 tys. pacjentów, których koszt ponosiły firmy farmaceutyczne, a nie NFZ.

Badanie kliniczne to kontrolowany eksperyment z udziałem ludzi, którego celem jest odpowiedź na pytania dotyczące bezpieczeństwa i skuteczności terapii. Zanim nowa cząsteczka trafi do człowieka, przechodzi **badania przedkliniczne**. Potem są kolejne fazy. W **fazie I** sprawdza się, jak organizm reaguje na nową substancję, jaka dawka jest tolerowana, jak lek się wchłania, metabolizuje i wydala. W **fazie II** – czy terapia działa w określonym wskazaniu i w jakiej grupie chorych. W **fazie III** terapia jest testowana na większej liczbie pacjentów. Wyniki tych badań mają później zasadnicze znaczenie dla rejestracji leku. W **fazie IV** – po rejestracji leku – można obserwować jego działanie oraz bezpieczeństwo na ogromnej populacji.

prof. Rutkowski. – *Uczestniczą w eksperymencie, owszem. Tyle że podlega on prawu, kontroli, protokołowi, ocenie komisji bioetycznej i nadzorowi regulatorów. Udział jest dobrowolny, a zgoda to nie cyrograf. Można się wycofać na każdym etapie.*

Prof. Dziadziuszko: – *Świadoma zgoda to jest proces, a nie samo podpisanie dokumentu. Lekarz ma obowiązek wyjaśnić nie tylko potencjalne korzyści i ryzyko, ale również dostępne alternatywy.*

Nikt nie udaje, że nowa cząsteczka jest już sprawdzonym lekiem. Może zadziałać albo nie. Może też zaszkodzić. Pacjent musi to usłyszeć podczas rozmowy przed podpisaniem dokumentów. Wielu wybiera wtedy standardowe leczenie i tę decyzję trzeba uszanować. – *Partnerska dyskusja jest podstawą* – podkreślają moi rozmówcy. A czy z prostym człowiekiem z Lipusza rozmawia się inaczej o ryzyku niż z intelektualistą? – *Niekoniecznie łatwiej* – prof. Dziadziuszko kategorycznie zaprzecza. – *Nie ma reguły, która mówiłaby, że pacjent wykształcony będzie lepiej przygotowany do udziału w badaniu. Może nie zadzwonić pod numer dyżurny, gdy dostanie w nocy gorączki, a Ryszard z Lipusza zadzwoni od razu.*

Dlatego trzeba mu po prostu powiedzieć: jeśli coś poważnego się dzieje, proszę chwycić za telefon, który działa przez całą dobę. Medycyna staje się coraz bardziej skomplikowana, ale rozmowa z pacjentem wcale nie musi taka być. I właśnie tu zaczyna się zmiana myślenia o badaniach klinicznych. Przez lata w Polsce traktowano je trochę jak boczną ścieżkę: najpierw wszystko, co oferuje standard, a dopiero gdy on przestaje działać, pytanie o eksperyment. Prof. Rutkowski uważa, że w onkologii powinno być odwrotnie. – *Lekarz ma na początku leczenia sprawdzić, czy dla pacjenta istnieje odpowiednie badanie kliniczne, które może być dla niego lepsze* – argumentuje. Co nie oznacza, że każdemu należy proponować eksperymentalny lek – ale badanie kliniczne powinno być traktowane jako jedna z normalnych możliwości leczenia, a nie jako piwnica medycyny, do której schodzi się dopiero wtedy, gdy zgasło światło. – *Dawniej udział w tych wczesnych fazach był bardziej altruistyczny* – mówi prof. Rutkowski. – *Chodziło przede wszystkim o to, żeby się dowiedzieć, czy nowa cząsteczka jest wystarczająco bezpieczna i czy warto ją rozwijać. Dziś znacznie lepsze badania przedkliniczne, diagnostyka molekularna i coraz precyzyjniejsze dobieranie pacjentów sprawiają, że mniej więcej co czwarty uczestnik badania I fazy odnosi korzyść.*

To nie oznacza, że tylu zostaje wyleczonych. Ale jeśli alternatywą jest brak skutecznego leczenia, różnica pomiędzy „nie ma żadnej możliwości" a „jest 25 proc. szansy na korzyść" nie brzmi wcale iluzorycznie.

Nadzieja, którą więzi biurokracja

Do niedawna lekarz, który chciał prowadzić nowatorskie badania, był pozostawiony samemu sobie niczym Don Kichot. Nie dość, że na jego barki spadał trud znalezienia ochotników, to jeszcze musiał się nauczyć administracji, prawa, kontraktowania i całej reszty. Obecnie sytuacja się zmienia, bo przy dużych szpitalach klinicznych i uczelniach powstają Centra Wsparcia Badań Klinicznych. W Warszawskim Uniwersytecie Medycznym taki ośrodek otwarto w czerwcu i przejął obowiązki, które wcześniej spadały na badaczy: podpisywanie umów ze sponsorami, tworzenie kosztorysów, wsparcie rekrutacji, całą koordynację pracy. To wszystko po to, jak jest już u onkologów w Gdańsku i w Narodowym Instytucie Onkologii – żeby lekarze zajmowali się tylko pacjentami, a nie musieli być jednocześnie księgowymi, prawnikami i specjalistami od pisania formularzy.

Umowy podpisywane ze szpitalami są poufne, ale oszczędności dla publicznego systemu ochrony zdrowia idą nawet w setki milionów złotych dzięki przekazywaniu bezpłatnych leków, urządzeń medycznych i innych darowizn na rzecz ośrodków, które prowadzą badania.

Mimo to Europa traci udział w tym rynku na rzecz USA i Chin, a głównym problemem są sztywne regulacje i biurokracja, które miały ujednolicić unijny system, ale potrafią również opóźniać rekrutację (np. rejestracja dla polskiego pacjenta potrafi utknąć na biurkach w Bułgarii). – *Hiszpania czy Dania zrozumiały ten absurd i ułatwiły procedury na poziomie krajowym, dając obywatelom szybszy dostęp do darmowych, przedpremierowych kuracji* – wskazuje prof. Rutkowski. I twierdzi, że nasz system jest wciąż zbyt wolny – dziś negocjacje ze szpitalami przeciągają się nieraz do dwóch–trzech lat, a powinny trwać maksymalnie dwa miesiące.

Paradoks polega na tym, że bezpieczeństwo wymaga regulacji, ale ich nadmiar może ograniczyć dostęp do innowacji. To nie jest argument za deregulacją. Raczej za tym, żeby procedura była równie inteligentna jak medycyna, którą ma chronić. Ostatecznie badania kliniczne nie są ani cudowną terapią, ani poligonem, na którym firmy mogą dowolnie eksperymentować z ludźmi – są jednym z najbardziej rygorystycznie kontrolowanych sposobów sprawdzania, czy medyczna obietnica ma pokrycie w rzeczywistości. Czasami kończy się porażką. Czasami lek znika, bo nie działa albo jest zbyt toksyczny (a to również jest wiedza, której potrzebujemy). Lecz w tym miejscu kończy się mit o eksperymencie na człowieku, a zaczyna prawdziwy sens badań klinicznych: nie obietnica, że nauka zna odpowiedź, lecz uczciwa próba jej znalezienia.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 1a9930715e

Mowa końcowa

Rozmowa z dr Magdaleną Grabowską, lingwistką, o tym, co język, jakim rozmawiamy o wierze, Bogu, Kościele i apostazji, może nam powiedzieć o współczesnej religijności w Polsce.

JOANNA PODGÓRSKA: **– Czy, obok twardych danych statystycznych, język może być jedną z miar sekularyzacji?**

MAGDALENA GRABOWSKA: – W pytaniu zawiera się słowo „miara", które sugeruje badania ilościowe, a moje badania są przede wszystkim jakościowe, skupione na pokazywaniu mechanizmów i typów narracji, nie na skali zjawiska. Ale to prawda, że język pokazuje, co wiara znaczy dziś dla człowieka. Coraz częściej obserwuję, że nie mówi się już o samej wierze, ale raczej o Kościele czy katolickim wychowaniu. Język osobistego doświadczenia zostaje zastąpiony językiem dystansu. Religijne słowa są w nim nadal obecne, ale bardziej jako metafory, żarty, cytaty, element obyczaju czy po prostu sporów politycznych. Dlatego język pozwala zobaczyć coś, czego nie wychwycą pytania o to,

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 1a9930715e

jaki procent Polaków nadal chodzi do kościoła. Poprzez jego badanie możemy zobaczyć, czy religia nadal jest żywym narzędziem interpretowania świata, czy już tylko odziedziczonym kodem kulturowym.

Czym więc jest dziś w Polsce?

Raczej odziedziczonym kodem. I to coraz bardziej martwym. Co nie znaczy, że zniknęły środowiska, dla których wiara jest rzeczą najistotniejszą.

Pani pierwsza praca naukowa, związana z religią, dotyczyła biblijnych metafor. Kiedyś jedna z katechetek pracujących z młodzieżą powiedziała mi, że dla nich Pismo Święte powinno się przetłumaczyć na nowo. Te wszystkie „azaliż", „zaprawdę powiadam wam" są dla nich kompletnie niezrozumiałe. A czy metafory biblijne są dziś nadal czytelne?

Biblia była dla mnie punktem odniesienia do tego, by badać osobiste doświadczenia ludzi związane z wiarą i Bogiem. Dostęp do nowszych tłumaczeń Pisma Świętego pozwala je zrozumieć na elementarnym poziomie. Nie w tym problem. Jak pokazują badania, dla młodego pokolenia metafory, które przynosi Biblia – obrazy winnicy, pasterza, ofiary czy baranka – to są pojęcia puste. Te metafory mogą przybliżać znaczenia religijne jedynie ludziom głęboko wierzącym.

Takie doświadczenia też pani miała, będąc uczestniczką nurtów ewangelicznych. Weszła tam pani jako uczestniczka, a wyszła jako badaczka. Jak to się stało?

Nie ukrywam, że pierwotnie byłam aktywną uczestniczką życia we wspólnotach ewangelicznych; głównie baptystycznych, ale miałam też doświadczenia z zielonoświątkowcami, wspólnotą bardziej charyzmatyczną. Byłam już wówczas pracownicą naukową i stąd ten mój dystans badawczy i krytycyzm. Zaczęłam obserwować mechanizmy, które wydawały mi się dziwne, ale też ciekawe i warte zgłębienia. Ta podwójna perspektywa miała tę zaletę, że mogłam poznać funkcjonowanie tych wspólnot od środka, zrozumieć, jak ich członkowie myślą, poznać esencję tego, jak przeżywają wiarę. Ale coraz częściej stawałam z boku jako obserwator zewnętrzny. I doszłam do punktu, kiedy zaczęłam na to patrzeć jako na pewną narrację.

Narrację?

Tak, bo język, a zwłaszcza gotowe formuły w nim wypracowane, stanowi spoiwo wspólnoty i buduje granice między nią a światem zewnętrznym. Oszczędza wyjaśnień i daje poczucie, że jest się wśród ludzi, którzy rozumieją świat podobnie. To język hermetyczny, pełen zwrotów typu: „oddać życie Jezusowi", „narodzić się na nowo", „Bóg położył mi to na sercu", „dawać świadectwo, chodzić z Bogiem". Ktoś z zewnątrz mógłby zachodzić w głowę, o czym ci ludzie mówią. A dla tych wspólnot „świadectwo" jest słowem kluczowym, bo jeśli ktoś chce się nazywać chrześcijaninem w wydaniu ewangelicznym, musi doświadczyć nawrócenia, przeżyć wewnętrzną przemianę, opowiedzieć o tym przed wspólnotą i przyjąć chrzest jako dorosła, świadoma osoba.

Twierdzi pani, że poprzez badanie języka różnych odłamów chrześcijaństwa można zobaczyć różnice między tym, czym jest wiara dla nurtów ewangelicznych, a czym dla tradycyjnego katolicyzmu. Jakie to różnice?

W nurtach ewangelikalnych mówienie ma kluczową funkcję. Wiara jest osobistą decyzją i biograficznym przełomem. Świadectwo jest dowodem, że człowiek przeszedł przemianę. W tradycyjnym katolicyzmie mamy liturgię pełną gestów i znaków niewerbalnych; nie ma tu miejsca na dowolność czy osobiste wypowiedzi. Bycie wierzącym oznacza udział w praktykach religijnych, przyjmowanie sakramentów, utrzymywanie tradycji i ciągłość relacji z instytucją Kościoła. Ale to nie są szczelnie oddzielone światy. W Kościele katolickim mamy charyzmatyczne ruchy, takie jak oazy czy Odnowę w Duchu Świętym, które przejmują mechanizmy i cechy języka ewangelikalnego.

Odnowa w Duchu Świętym czy nurty ewangelikalne to hermetyczne środowiska dla wtajemniczonych. Ale czy tradycyjny, radykalny katolicyzm, obecny w debacie publicznej, też nie wykształcił własnego dialektu? Wszystkie te „szturmy modlitewne", „ubogacanie", „dzieci nienarodzone"…

Tak. Tylko że to jest język negatywny: język konfliktu nacechowany ideologicznie. Takie zwroty, jak „szturm modlitewny" czy „dziecko nienarodzone", zawierają a priori pewną interpretację rzeczywistości. „Dziecko nienarodzone" to nie jest neutralny zamiennik terminu medycznego, wiemy, jaki światopogląd za nim stoi. Taki język wytwarza granicę i uniemożliwia jakąkolwiek dyskusję czy osiągnięcie porozumienia.

Pani ostatni przystanek naukowy to apostaci. Co w apostazji może zainteresować lingwistkę?

Mnie jest trudno wiernie wytrwać w czystej lingwistyce. Zawsze próbowałam ją łączyć z socjologią, kulturoznawstwem czy antropologią. Apostazja to z jednej strony akt prawnokanoniczny, a z drugiej wydarzenie biograficzne dla konkretnego człowieka. Ale jest to także akt mowy, bo apostata musi złożyć oświadczenie, wytłumaczyć, dlaczego chce wystąpić ze wspólnoty. Wypowiedź ta nie służy jedynie przekazaniu informacji o jego przekonaniach, lecz ma charakter sprawczy: poprzez jej złożenie apostata wyraża świadomą i jednoznaczną wolę opuszczenia wspólnoty. Akt mowy staje się więc zarazem działaniem, które – po spełnieniu wymaganych warunków proceduralnych – prowadzi do zmiany jego statusu w obrębie wspólnoty.

Musi więc dokonać refleksji nad swoim życiem. Określić, kim był kiedyś, a kim jest teraz, w co wierzy, w co nie wierzy. Apostazja przypomina rytuał przejścia. Jest momentem progowym. Idąc do parafii, często doświadcza się tego przejścia w sposób bardzo emocjonalny. Przeprowadziłam kilkadziesiąt wywiadów z członkami facebookowej grupy „Apostazja 2020" i w ich wypowiedziach te emocje są bardzo widoczne. Z jednej strony to złość, rozczarowanie, z drugiej – radość i ulga, że wchodzi się w nowy etap życia.

Podczas tych badań stworzyła pani listę motywów, które stoją za apostazją. Jakie one są?

Wyróżniłam ich sześć, choć lista pewnie mogłaby być bardziej rozbudowana, i roboczo podzieliłam na wewnętrzne i zewnętrzne. Wśród wewnętrznych są motywy emocjonalne właśnie, intelektualno-duchowe i moralne. Wątek emocjonalny wybrzmiewał szczególnie w wypowiedziach kobiet. Często wskazywały jakiś punkt w życiu – potraktowanie przez duchownego, przemoc słowną czy wręcz fizyczną – który zaważył na tej decyzji. Ja te rozmowy prowadziłam świeżo po czarnych protestach, gdy złość na Kościół była emocją dominującą. Silne emocje były obecne także wśród osób, za których decyzją stała identyfikacja ze środowiskiem LGBT. Wśród motywów intelektualno-duchowych najczęściej wymieniana była niewiara i czysto formalna przynależność do Kościoła. A wśród moralnych – odraza do instytucji, która nie spełnia elementarnych standardów etycznych. Motywy zewnętrzne podzieliłam na społeczne, polityczne i instytucjonalne. Społeczne to przede wszystkim niezgoda na to, by Kościół ingerował w życie ludzi, narzucał im normy, których sam nie ▶

eprasa.pl 1a9930715e

▶ przestrzega. Apostazja w tym kontekście traktowana jest jako społeczny manifest, ma wymiar emancypacyjny. Polityczne są oczywiste – zbyt bliskie związki Kościoła ze światem władzy i ingerowanie, choćby w prawodawstwo. Instytucjonalne – rozczarowanie działaniami i zaniechaniami Kościoła, postrzeganie go jako instytucji zepsutej i niemoralnej.

Mówiła pani, że w wypowiedziach kobiet było więcej emocji, odniesień do postaw kleru. Czy byłoby nadużyciem stwierdzenie, że kobiety odchodzą od Kościoła, a mężczyźni od wiary?

Myślę, że by było. Raczej chodzi o to, że kobiety mocniej i bardziej bezpośrednio odczuwają konsekwencje kościelnego języka, regulacji dotyczących cielesności, ról płciowych. Część kobiet, odchodząc od Kościoła, zachowuje wiarę czy to z powodów kulturowych, czy osobistych, natomiast jest to zdecydowana mniejszość.

Składając akt apostazji, pani rozmówcy spotykali proboszczów aroganckich, pogardliwych, agresywnych. Jeden z nich usłyszał od księdza: „Odszczekaj to". Kościół reaguje na apostazję przemocą językową?

Myślę, że można tak powiedzieć. Analizowałam dokumenty kościelne i artykuły w konserwatywnych mediach. Kościół oczywiście ma prawo opisywać apostazję z perspektywy doktryny. Problem w tym, że mówiąc o apostatach, używa określeń dehumanizujących. Redukuje człowieka do etykiety: zdrajca, odstępca, zagubiony, wojujący ateista. Media konserwatywne rzadko zajmują się zjawiskiem apostazji. Wolą udawać, że go nie ma. Gdy zebrałam artykuły na ten temat z ostatnich lat, dysproporcja była uderzająca. W mediach liberalno-lewicowych było ich 34, a w konserwatywnych jedynie 5. Ale o znaczących tytułach, np. „Groźna choroba apostazji" („Do Rzeczy") czy „Dlaczego apostazja to poważne przestępstwo" („Polonia Christiana"). Wyłania się z nich obraz oblężonej twierdzy. Apostazja opisywana jest jako atak na Kościół, rezultat manipulacji mediów czy moralny defekt jednostki. Ten język zdecydowanie odwraca uwagę czytelnika od zarzutów wobec Kościoła. Gdy Dawid Podsiadło, Organek czy Margaret publicznie oświadczyli, że odchodzą z Kościoła, prawicowi publicyści zaczęli opisywać apostatów jako ofiary mody. Media lewicowo-liberalne traktują zjawisko apostazji o wiele szerzej, próbują wskazywać jego przyczyny.

Czy ten lewicowo-liberalny dyskurs medialny i opisywany przez panią dyskurs prywatny są ze sobą powiązane?

Powiedziałabym, że funkcjonują jako sprzężenie zwrotne. Media dostarczają ram. Normalizują zjawisko apostazji, opisując je jako wyraz społecznego buntu, obywatelskiego sprzeciwu, przejaw wolności i emancypacji. Z kolei jednostki, korzystając z tych ram, opowiadają o własnych doświadczeniach. A media wykorzystują te opowieści, uwiarygadniając swój przekaz.

„Moda" na formalną apostazję minęła, zastąpiona przez apostazję mentalną, czyli kompletną obojętność wobec Kościoła?

Ja bym apostazji nawet w cudzysłowie nie nazwała modą, choć wiem, że stereotypowo tak jest łatwiej określać to zjawisko. Ale ten termin sugeruje powierzchowność, a ja nigdy nie spotkałam się z przypadkiem, by była to powierzchowna decyzja. Zawsze poprzedzona była przemyśleniami, refleksją; czasem proces dochodzenia do decyzji trwał wiele lat. A jaka jest dziś skala apostazji? Nie mamy danych. Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego już ich nie rejestruje. Zaprzestał publikowania informacji po badaniach z 2010 r., z których wynika, że apostazji było niewiele ponad tysiąc. To zupełnie niewiarygodne liczby. Są inicjatywy oddolne, np. mapa apostazji czy portal apostazja.eu, ale to wszystko dane nieformalne. Grupa „Apostazja 2020" na Facebooku liczy ponad 22 tys. osób, ale też nie ma pewności, czy wszyscy jej członkowie dokonali apostazji. A co do apostazji mentalnej, to jest łatwiejszy mechanizm, bo nie wymaga angażowania się w procedurę. Dokonuje się deinstytucjonalizacja religii. Ludzie się dystansują, obojętnieją. Myślę, że rzetelne badanie religijności nie powinno się ograniczać do deklaracji wiary czy obecności na mszy, ale też dotyczyć tego, jak ludzie rzeczywiście budują sens i przeżywają wartości religijne w codziennym życiu. W tym sensie apostazja mentalna cały czas się dzieje, ale jest mniej medialna. Ludzie po prostu nie potrzebują już religii, bo codzienność dostarcza im innych okazji, by doświadczać duchowości, zastępując to, co kiedyś oferował Kościół.

Widać tę przemianę w języku?

Tak, choć nie robiłam szczegółowych badań wśród ludzi, którzy nie deklarują się jako apostaci, ale są niewierzący i nie chodzą do kościoła. Myślę, że tę obojętność widać w braku pewnego języka, jego zaniku. Coraz mniej osób ma za sobą szkolną katechezę, uczestnictwo w lekcjach religii nie jest już masowe, podobnie jak uczestnictwo w nabożeństwach. Język liturgii staje się coraz bardziej hermetyczny. Nie uczestnicząc w życiu Kościoła, ludzie nie słyszą jego języka. I staje się on językiem obcym.

Pisała pani, że dalszym polem badań może być wpływ nowych mediów na proces apostazji. Próbowała się już pani temu przyglądać?

Podczas badań miałam kontakt z osobami, które funkcjonują w mediach społecznościowych poprzez grupę „Apostazja 2020". Pytałam uczestników, jak i dlaczego trafili do tej grupy. Mówili o warstwie informacyjnej – jak wygląda procedura, jak krok po kroku ją wypełnić – ale grupa daje im też wsparcie i poczucie wspólnoty. Czasem jest to pomoc bardzo konkretna, np. towarzyszenie podczas aktu apostazji osobom, które mają obawy przed spotkaniem z proboszczem. Grupa pełni również funkcję mobilizacyjną – skoro tyle osób jest tam aktywnych i ma już apostazję za sobą, człowiek myśli: inni zrobili to przede mną, ja też mogę. W 2025 r. na łamach „Przeglądu Socjologicznego" ukazał się artykuł Jędrzeja Olejniczaka i Marcina Deutschmanna „Analiza dyskursów internetowych na temat apostazji", w którym stawiają tezę, że ta grupa wytwarza kontrdyskurs podważający symboliczną władzę Kościoła. I ja, i oni przyglądaliśmy się zjawisku apostazji na Facebooku. A czy coś się dzieje w tej kwestii na Instagramie czy TikToku? Jeszcze tego nie badałam. Ale myślę, że warto będzie się temu przyjrzeć. Przecież dziś media społecznościowe to potęga: można powiedzieć świat równoległy.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

Dr Magdalena Grabowska
– językoznawczyni, adiunkt w Instytucie Lingwistyki Stosowanej na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Gdańskiego. Specjalizuje się w badaniu dyskursu religijnego. Autorka książek: „Odchodząc od wierzeń: analiza narracyjna dyskursu o apostazji" oraz „Apostazja z Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce w przestrzeni publicznej i prywatnej".

© UNIWERSYTET GDAŃSKI

eprasa.pl 1a9930715e

Czerwono na zielonym

Wokół największych polskich miast powstają lasy społeczne. Mają zapewnić wytchnienie mieszczuchom i przyrodzie. Chyba że przyszłe rządy wyrąbią ten pomysł.

JĘDRZEJ WINIECKI

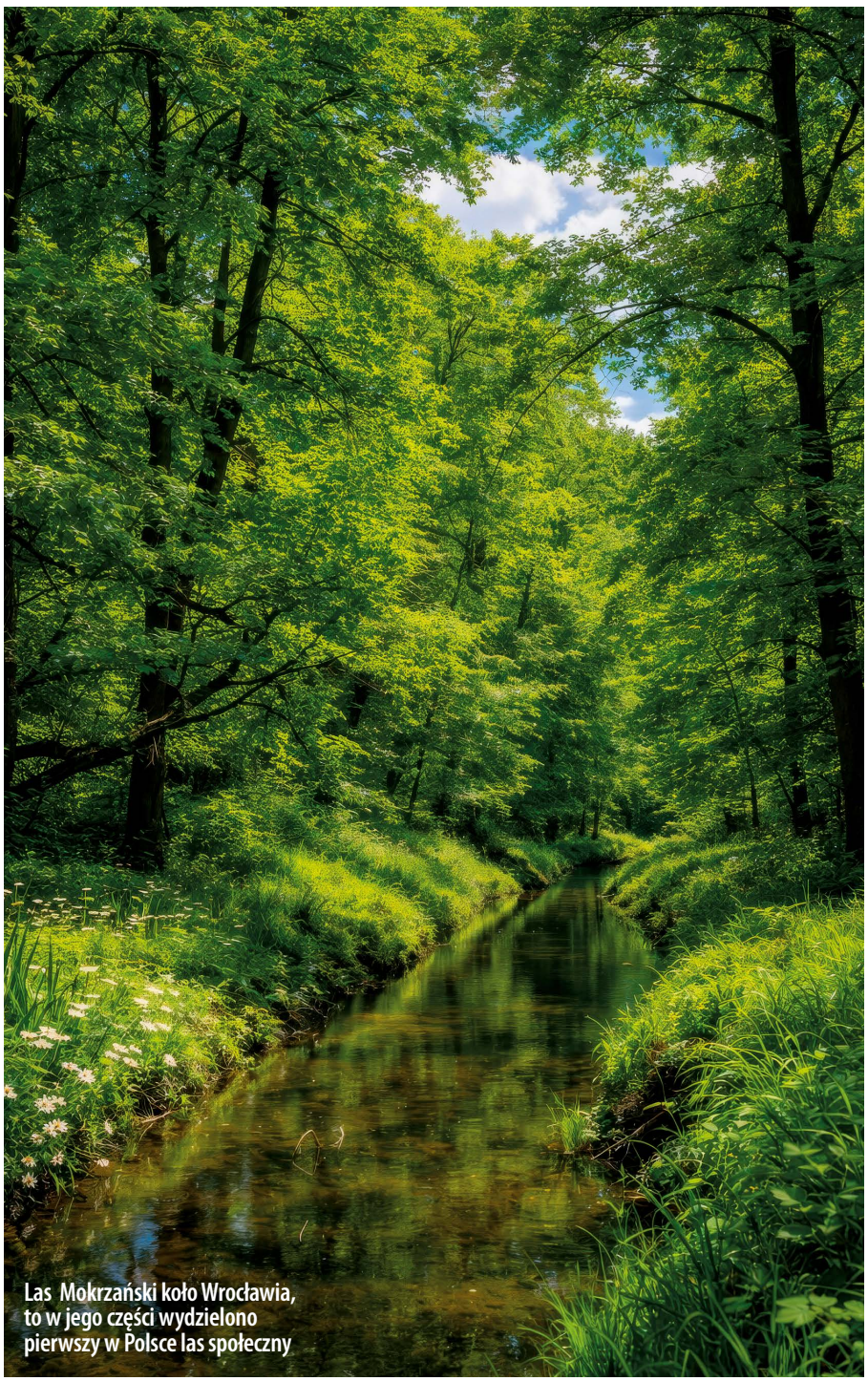

Las Mokrzański koło Wrocławia, to w jego części wydzielono pierwszy w Polsce las społeczny

© TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA WYBORCZA

Jako pierwszy w wakacje uspołeczniony został las pod Wrocławiem. Symboliczna zmiana – bo zalesionych obszarów ani nie przybyło, ani nie ubyło – sprowadziła się do nadania nowego szyldu. Ale też nowych zasad wyrębu na 11 tys. ha wokół miasta. W przypadku stolicy Dolnego Śląska idzie o miejsca pod wieloma względami wyjątkowe, głównie w dolinie Odry i jej dopływów. – *Dziesiąta część pozostanie w ogóle bez wycinki. Na całym obszarze nie będzie rębni zupełnych, czyli dużych otwartych przestrzeni wyciętych do ściółki* – wylicza wrocławski przyrodnik Paweł Kisiel. Chronione będzie również to, co szczególnie zachwyca. – *Najbardziej wartościowe są fragmenty zdominowane przez ponadstuletnie dęby i jesiony, które często wyrosły spontanicznie. Zachowały bliską naturalnej strukturę* – dodaje Paweł Kisiel.

Wie, o czym mówi, bo brał udział w negocjacjach o każdy hektar. W jednym z podwrocławskich nadleśnictw rozmowy trwały do drugiej w nocy. Pozostałe 10 aglomeracji na swoje lasy społeczne jeszcze będzie musiało poczekać, bo Lasy Państwowe najwyraźniej uznały, że najlepszym sposobem na oczekiwaną społecznie zmianę jest jeszcze więcej tego samego.

Rysowanie ostoi

To nowy rozdział – z entuzjazmem ogłosiło Ministerstwo Klimatu i Środowiska. – *Chodzi o lasy, które w kluczowych miejscach wokół miast uwzględniają nie tylko potrzeby gospodarki czy konsekwencje zmiany klimatu, lecz także wzmacniają oczekiwania lokalnych mieszkańców* – objaśnia Piotr Drygas z podległego ministerstwu Instytutu Ochrony Środowiska, koordynującego proces wyznaczania. Wartością jest więc nie tylko sam kontakt z dziką i zróżnicowaną przyrodą, lecz również danie mieszczuchom szansy na bieganie nie po asfalcie, zbieranie ▶

eprasa.pl 1a9930715e

▶ grzybów bez konieczności wielogodzinnej wyprawy czy stworzenie miejsca na bezpieczny wypad na rowerze bez strachu o potrącenie.

Kielce, stolica województwa świętokrzyskiego, swoich uspołecznionych lasów powinny się doczekać wczesną jesienią. Pozostali są jeszcze głęboko w lesie. Do 9 września okolice Katowic próbowały wypełnić tzw. geoankietę. Każdy „interesariusz", czyli kto poczuwał się do bliskości z podkatowickimi lasami, na specjalnie przygotowanej mapie rysował lub zaznaczał, gdzie wchodzi w kontakt z przyrodą. Miejsca, które lubi lub uważa za ostoję „gatunków grzybów, roślin i zwierząt", albo ważne dla ochrony „wody, gleby lub zapobiegania powodziom i suszy" czy mające znaczenie dla lokalnej tożsamości, historii, religii bądź kultury. W ten sposób próbowano zarysować przyszły kształt lasu dla Katowiczan.

Podobne ćwiczenie wykonywały Bielsko-Biała, Warszawa, Bydgoszcz i Toruń. W dalszej kolejności będą Trójmiasto, Kraków, Łódź, Poznań i Szczecin. Później przyjdzie jeszcze czas na lokalne spotkania konsultacyjne. – *Finał przewidujemy na styczeń. I mówimy o pilotażu, bo w przyszłości o takie lasy będą mogły się też starać mniejsze miejscowości* – objaśnia Piotr Drygas. W obecnej rundzie w grze pod 11 aglomeracjami znalazło się w sumie ponad 158 tys. ha. Wydaje się, że szmat ziemi, ale prawda jest taka, że to zaledwie ok. 2,2 proc. lasów należących do Skarbu Państwa, a zarządzanych przez Lasy Państwowe. I choć zielone płuca dla obciążonych smogiem miast wydają się świetnym pomysłem, wygląda na to, że w Polsce nawet drzewa mają barwy polityczne.

Powołanie lasów podwrocławskich w swoim stylu przywitała Telewizja Republika. Zasugerowała, że totalitarna Korea Północna była szybsza i rząd skorzystał z rozwiązań zaproponowanych przez tamtejszego satrapę Kim Dzong Una. Głos zabrał także Krzysztof Stanowski z Kanału Zero: „Utworzyli las społeczny. Można iść i miło spędzić czas, można przejechać się rowerem. Ponadto taki las oczyszcza powietrze i gromadzi wodę. Gratulacje. Ja bym jeszcze pomyślał nad pierwszą plażą społeczną nad Bałtykiem, gdzie będzie można usiąść na piasku i obserwować fale". Obruszona minister Paulina Hennig-Kloska ripostowała, że na „Naśmiewanie się z postulatu wielu Polek i Polaków, którzy lasy użytkowane dotychczas głównie gospodarczo, chcą mieć bardziej dla siebie, żaden prawdziwy dziennikarz by sobie nie pozwolił".

Były wiceminister klimatu i środowiska, główny konserwator przyrody Mikołaj Dorożała i zastępca dyrektora Robert Szlachetka podczas „otwarcia" lasu społecznego

Wkurzenie na zawłaszczenie

Lasy społeczne mają wiele matek i wielu ojców. Strona bawiona przez Republikę i uwodzona przez Stanowskiego woli nie pamiętać, że wśród nich znalazł się ziobrysta Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych z czasów Zjednoczonej Prawicy (dziś z zarzutami związanymi m.in. z fikcyjnym, jak twierdzi prokuratura, zatrudnieniem obecnego posła PiS Dariusza Mateckiego). W 2022 r. Kubica ogłosił, że Lasy Państwowe „otwierają się na potrzeby społeczne" i proponują, by tam, gdzie wypoczywa wiele osób, modyfikować działania gospodarcze w toku konsultacji ze społeczeństwem.

Rozwiązanie wydawało się zręczne. I o tyle konieczne, że Kubica usiłował gasić pożar wzniecony przez jego partię i w Lasach, i w lesie. Interesowały go nie tyle „potrzeby społeczne", ile masowe ogólnopolskie wkurzenie na zawłaszczenie Lasów Państwowych i ich zasobów, także finansowych, najpierw przez PiS, a później przez ekipę Zbigniewa Ziobry. Polacy zapamiętali, że w pandemii zostali na chwilę od lasów odcięci. A jak już ich tam z powrotem wpuszczono, to z przerażeniem dostrzegli skalę wycinek. W unaocznieniu skali zjawiska pomogła mapa wycinek przygotowana przez fundację Lasy i Obywatele, pokazująca czerwono na zielonym, w ilu miejscach rok w rok odbywają się cięcia. W covidzie rozstrojony nerwowo Polak próbował szukać ukojenia w leśnych ostępach. Tyle że często zamiast na ostępy trafiał na ich porąbane szczątki.

Stąd mobilizacja dyrektora Kubicy i próba spuszczenia nieco powietrza z coraz mocniej napompowanego balonu. Sięgnięto po doświadczenia z Wrocławia, gdzie społecznicy od ponad dekady zabiegali z sukcesami o ograniczenie cięć w Lesie Mokrzańskim, ponad 500-hektarowym i największym leżącym w granicach miasta. Wzorowany na wrocławskim dorobku wentyl na niewiele się zdał, bo na ostatniej prostej przed wyborami z 2023 r. lasy stały się kwestią już tak polityczną, że pierwszy raz w historii prawdziwie istotną wyborczo. Na tyle, że ówczesna opozycja poszła pod wielokrotnie powtarzanym hasłem ograniczenia wyrębu. Po zwycięstwie w pkt 9 umowy koalicyjnej zobowiązała się do zdecydowanych działań na rzecz poprawy poziomu ochrony polskich lasów. Zawarła też przyrzeczenie, że 20 proc.

eprasa.pl 1a9930715e

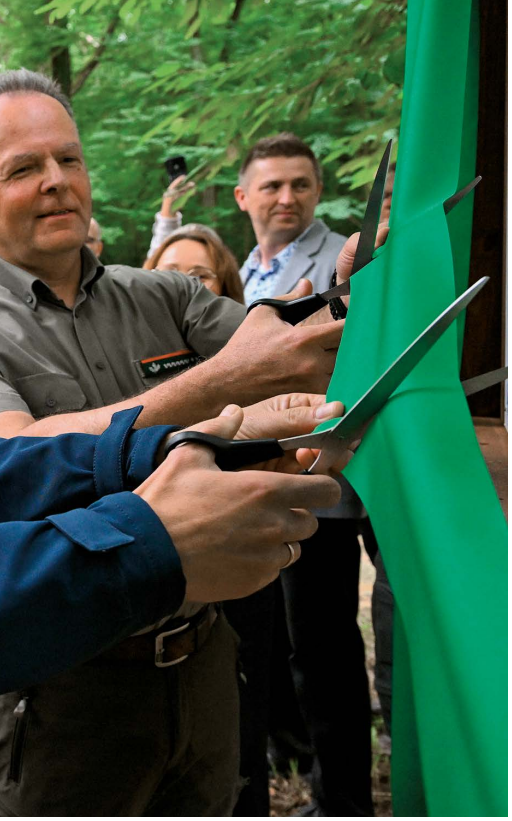

regionalnego Lasów Państwowych we Wrocławiu

© MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

„najcenniejszych obszarów leśnych zostanie wyłączone z wycinki".

Drzewa jak buraki

Tworzenie lasów społecznych jest próbą wywiązania się z wciąż obowiązującej koalicyjnej obietnicy. Pole manewru ministrze Paulinie Hennig-Klosce ograniczyło m.in. to, że KO zarezerwowała sobie prawo do wskazywania dyrektora generalnego Lasów Państwowych, kontrolującego hierarchiczną machinę z 25 tys. pracowników, która na ile może, dystansuje się od koncepcji ministerstwa. Trudno się dziwić, że z wyłączeniami idzie raczej opornie.

A z lasami społecznymi nielepiej. – *Jeden z poprzednich szefów regionalnej dyrekcji Lasów objaśnił nam, że leśnik patrzy na las jak na zagon buraków, z którego zbiór prowadzi się raz na sto lat. Nie sądziliśmy, że można sprowadzić las do pola uprawnego* – przyznaje Robert Suligowski, wrocławski radny i aktywista zabiegający o ochronę lasów. Tyle że aktywiści również mieli własną wizję lasu. I potrafili budować presję. Wrocław z okolicami to milion mieszkańców na niespecjalnie zalesionym terenie. Do tego tamtejsi społecznicy i przyrodnicy świetnie znali swoje lasy i doskonale wiedzieli, o co walczą. Potrafili też zrezygnować z części najdalej idących oczekiwań i skłonić leśników do kompromisu.

W innych przypadkach zejście z toru kolizyjnego nie było już takie łatwe. Po posadzeniu przy jednym stole społeczników, ludzi nauki, leśników i przedsiębiorców żyjących z lasu, okazało się, że oczekiwania jednych i drugich są skrajnie odmienne. Na tyle rozbieżne, że mimo obecności zewnętrznych mediatorów trudne do pogodzenia. – *W Trójmieście wyznaczyliśmy obszary. Nie udało nam się jednak ustalić, jaka gospodarka powinna być tam prowadzona* – przyznaje Aleksandra Gosk, zaangażowana w negocjacje przewodnicząca sopockiej rady miejskiej.

Diabeł jak zawsze tkwi w szczegółach. I tu konieczne jest objaśnienie. Lasy w Polsce podzielone są na kilka milionów działek. Te nie mają prostych kształtów, bo odwzorowują jakieś w miarę jednolite cechy występujące w terenie, np. skład gatunkowy drzew, rodzaj zagospodarowania itd. Małe wydzielenia mają kilkaset metrów kwadratowych, duże – kilkadziesiąt tysięcy. Ministerstwo zdecydowało, że w ramach jednego lasu społecznego każde wydzielenie dostanie swój scenariusz, uzależniony od tego, ile osób z niego korzysta i jakie jest jego znaczenie przyrodnicze. Brzmi rozsądnie. Ale do czasu. Każdy z tych scenariuszy ma różną skalę rewolucyjności. Najmniej rewolucyjny jest scenariusz nr 4: „leśnictwo tradycyjne zmodyfikowane prospołecznie". Ten wariant z perspektywy Lasów Państwowych jest optymalny, bo właściwie oznacza brak zmian w dotychczasowym podejściu. Natomiast według ministerstwa scenariusz nr 4 oznacza pewną poprawę parametrów wizualno-przyrodniczych, bo w takim wydzieleniu pozostanie więcej drzew do naturalnego rozkładu, a drwale będą się tam pojawiać rzadziej niż w podobnym miejscu bez społecznego szyldu.

Wytrych z haczyka

Scenariusz nr 3 to „leśnictwo stabilizacyjne". Tutaj też byłyby cięcia, ale związane z przebudową drzewostanu, wymuszoną naprawą dawnych błędów leśników. Ich skutek to choćby łany zamierającej sosny. Eksperci z zasłużonego dla obrony natury Klubu Przyrodników nie widzą szczególnych kontrowersji. Zauważają, że przewrotnie jest to niezgodne z funkcją społeczną, ale w dłuższej perspektywie „niekiedy naprawdę potrzebne". Haczyk tkwi w tym, że ministerstwo i Lasy różnie kwalifikują obszary do stabilizowania. Ministerstwo ma wąskie, a Lasy szerokie rozumienie, obejmujące fragmenty „zagrożone zmianami klimatu", co – konkluduje KP – umożliwia zaliczenie do tej kategorii każdego starszego drzewostanu. Tu haczyk zamienia się w wytrych, bo starsze drzewa mają to do siebie, że chorują i wreszcie umierają, a pod wpływem perturbacji klimatycznych robią to sporo szybciej niż dawniej. A jak zamrą na większej przestrzeni, to dojdzie do „rozpadu drzewostanu", sytuacji niechcianej z punktu widzenia produkcji drewna. Wniosek praktyczny? Trzeba ciąć, zanim zamrą, i posadzić coś, co dożyje dorosłości i da się przerobić na deski.

Obiecująco brzmiące „leśnictwo bliskie naturze" to scenariusz nr 2. Tutaj ministerstwo optuje za tzw. modelem lasu ciągłego. Co konkretnie oznacza, że drwale wchodzą co 10 lat i z danego wydzielenia zabierają do 10 proc. „miąższości", czyli objętości stojących drzew. W wersji Lasów ten sam scenariusz sprowadza się do „dowolnej gospodarki preferującej rębnie przerębowe, stopniowe lub częściowe". Innymi słowy: jak przyjdzie czas na cięcie drzew w wydzieleniu, to zabiera się od 30 do 50 proc. miąższości i wraca za 10 lat.

No i scenariusz gwiazdorski, nr 1, „procesy naturalne", które i Lasy, i ministerstwo uznają za wyłączenie wydzielenia z pozyskania drewna. I tu jest rozdźwięk, bo w ujęciu leśników gwiazdorski scenariusz przysługiwałby jedynie leśnym gwiazdom, czyli rezerwatom przyrody, starolasom (nowa kategoria lasów wiekowych i cennych przyrodniczo, wzięta z regulacji unijnych), niektórym siedliskom bagiennym oraz „siedliskom przyrodniczym we właściwym stanie zachowania". A tych praktycznie nie ma, o co zresztą zadbała gospodarka leśna.

W efekcie o lasach społecznych rozmawia się z perspektywy tradycyjnej logiki, zgodnie z huraoptymistycznym założeniem, że da się w tych samych miejscach godzić produkcję drewna, ochronę przyrody i potrzeby obywateli. Mimo że funkcje te z definicji są w kolizji, przechył idzie w stronę gospodarki. Jest jeszcze obawa, że bez zmian ustawowych, niemożliwych ze względu na prezydenta, przyjmowane obecnie rozwiązania okażą się nietrwałe. I jeśli następcy będą chcieli, to je odkręcą. Albo, mówiąc bardziej obrazowo, wyrąbią.

JĘDRZEJ WINIECKI

eprasa.pl 1a9930715e

Tak wygląda sprawca zabójstwa nauczycielki z Łodzi – portret stworzony z wykorzystaniem genealogii genetycznej

Śledztwa śladem przodków

Wykrycie i zatrzymanie po 15 latach sprawcy zabójstwa 13-letniej Izy udało się dzięki nowym możliwościom nauki – genealogii genetycznej. W śledczych wstąpiły nowe nadzieje, a na sprawców niewykrytych jeszcze zbrodni padł blady strach.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Wieczorem 23 sierpnia 2011 r. 13-letnia Iza Strzałkowska z Gdyni wyszła z domu odprowadzić koleżankę na przystanek. Miała wrócić o godz. 20.30 i wyprowadzić psa. Ale nie wróciła. Około godz. 22.40 szukająca jej mama odnalazła w zaroślach nieopodal domu na wpół rozebrane ciało córki. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci było uduszenie poprzez silny ucisk szyi.

Szef Pracowni Biologii i Genetyki Sądowej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, prof. dr hab. Ryszard Pawłowski, wspomina, jak lampami ze światłem ultrafioletowym uważnie oświetlali podczas sekcji ciało dziewczynki, szukając niewidocznych gołym okiem płynów ustrojowych i śladów organicznych mogących należeć do sprawcy. Tak znaleźli ślady spermy na brzuchu. Skrupulatnie wszystko zebrali, wyizolowali DNA i zabezpieczyli w ten sposób, by mogło być przechowywane przez długie lata.

Jak mówi prof. Pawłowski, już w 1995 r. opracował procedury, by wyizolowane DNA mogło być długo przechowywane. – *Wiedziałem, że na pewno pojawią się nowe możliwości i wraz z rozwojem nauki moc dowodu na podstawie DNA będzie dużo, dużo mocniejsza. To, co kiedyś nie dawało możliwości identyfikacji, w tej chwili staje się możliwe* – mówi. Zaczynał, gdy grasował „Skorpion", który gwałcił i mordował kobiety na Wybrzeżu pod koniec lat 70. Wtedy z badania nasienia można było ustalić tylko grupę krwi. – *Dziś na podstawie DNA możemy ustalić wygląd, kolor oczu, włosów, wiek, wzrost,*

eprasa.pl 1a9930715e

z jakiego regionu pochodzi, czy jest to osoba szczupła czy otyła, czy jest nałogowym palaczem, zażywa narkotyki. Trwają badania mające pozwolić na identyfikację morfologii twarzy. Możemy określić rodzaj tkanki, czy jest to krew, ślina lub nasienie, co jest ważne dla ustalenia związku danej osoby z przestępstwem – dodaje profesor.

Co więcej, DNA można dziś zebrać z kurzu z miejsca zbrodni, i to nawet dwa lata po zdarzeniu. Dobry technik potrafi zebrać je z filtrów z klimatyzacji. – *Najnowsze badania pokazują, że można z powietrza zebranego z pomieszczenia, gdzie dokonano zbrodni, określić profil DNA osoby, która przebywała tam co najmniej osiem minut. Znam sprawę, w której zidentyfikowano sprawcę na podstawie śladu, który pozostawił, uciekając po piasku na plaży. Pobrano warstwę piasku, który miał kontakt ze stopą, i na tej podstawie zidentyfikowano sprawcę. Tak czułe są w tej chwili metody identyfikacji DNA* – zachwala prof. Pawłowski, który jest pasjonatem tej dziedziny nauki.

Szukanie DNA

W śledztwie w sprawie zabójstwa i gwałtu 13-latki wyizolowanie DNA nie pchnęło sprawy do przodu, bo zebranego materiału nie dało się powiązać z żadnym innym zgromadzonym w bazach dostępnych organom ścigania. Przebadanie prawie tysiąca mężczyzn z okolicy też nic nie dało. Z powodu niewykrycia sprawcy śledztwo zostało umorzone. Zebrany materiał nie trafił jednak ad acta, tylko do Archiwum X, specjalnej jednostki śledczej, która bada niewykryte sprawy sprzed lat. Gdańskie Archiwum X jest bodaj największe w kraju, pracuje w nim czterech doświadczonych policjantów. – *Oni przy współpracy z funkcjonariuszami operacyjnymi weryfikują każdą przekazaną informację, ustalają, czy ma ona wartość dowodową, prowadzą własne ustalenia. W sprawie Izy przez te wszystkie lata czynności były podejmowane bardzo intensywnie* – mówi mł. insp. Katarzyna Śliwska, naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku, której podlega tamtejsze Archiwum X.

Ale przełomu nie było. Sześć lat temu, w ramach nieformalnego Archiwum X, bo w prokuraturze nie ma takich komórek, sprawę zaczął badać również prokurator dr Michał Gabriel-Węglowski. Jak mówi, zbrodnia wydarzyła się niedaleko jego domu, sam ma dzieci i zabójstwo Izy bardzo go poruszyło. Rozłożył cały materiał śledztwa na czynniki pierwsze, szukając jakiegoś zagubionego tropu. Ale nic takiego nie było. Również w prokuraturze sprawa utknęła w martwym punkcie. Aż w 2022 r. na konferencji dla prowadzących śledztwa w ramach Archiwum X usłyszał o nowej metodzie mogącej pomóc w wykryciu sprawcy.

Chodzi o wykorzystanie genealogii genetycznej, a konkretnie komercyjnych baz genetycznych. To rozwijający się rynek usług pomagających szukać przodków. W Izraelu jest np. baza MyHeritage, największa na świecie, która ma ponad 100 mln użytkowników, bazę 10 mln przesłanych do badań próbek DNA. Posiada również 62 mln drzew genealogicznych i ponad 38 mld dokumentów. Tyle że nie dopuszcza do swojego zbioru organów ścigania. Podobnie zresztą jak amerykańska baza AncestryDNA, która ma ponad 27 mln użytkowników.

Jakiś czas temu w tej twierdzy nastąpił jednak wyłom. W USA dwie bazy DNA zaczęły udostępniać swoje zasoby do wykrywania najpoważniejszych przestępstw. Ale też z zastrzeżeniem, że tylko tych osób, które wyraziły zgodę na bycie porównywanym w sprawach kryminalnych. Stosowny dokument podpisuje się lub nie równocześnie z przekazywaniem swojego DNA do badań. Co ciekawe, niezgadzających się jest w jednej bazie 10 proc., w drugiej 30 proc., więc mniejszość. Na tle konkurentów nie są to duże bazy. Family Tree DNA udostępnia obecnie 2 mln profili DNA. Podobnie jak druga – GEDMatch PRO. Pomimo że są małe, to – jak podaje genealożka Marta Sobota – do grudnia 2024 r. metodą genealogii genetycznej rozwiązano już ponad 1,3 tys. spraw.

Pierwszą w 2018 r. I już ona wywołała sensację. Chodziło o niezidentyfikowanego przez wiele lat seryjnego mordercę, który od 1976 r. przez 10 lat dokonał w Kalifornii kilkunastu sadystycznych morderstw, kilkudziesięciu gwałtów, porwań i wielu innych przestępstw. Wszystko zaczęło się od tego, że w 2018 r. emerytowany detektyw przekazał próbkę DNA zebraną z miejsca zbrodni do internetowej bazy genealogicznej GEDmatch. Tam, porównując DNA, znaleziono bliskich kuzynów poszukiwanego sprawcy, dlatego też analiza genealogiczna trwała krótko, bo kilka miesięcy.

Sprawcą okazał się Joseph James De Angelo, były policjant, potem kierowca, mąż i ojciec. Był totalnie zaskoczony w chwili aresztowania. Miał wtedy 72 lata. Przyznał się do 13 morderstw, kilkunastu gwałtów i porwań, dzięki temu uniknął kary śmierci. W 2020 r. został skazany na dożywocie. Z kolei w Szwecji dzięki genealogii genetycznej po 16 latach rozwiązano sprawę podwójnego zabójstwa w Linköping. Tam chłopiec został zaatakowany nożem w drodze do szkoły. Zginęła również kobieta, która próbowała interweniować. Na podstawie odnalezionych w bazie DNA krewnych zbudowano drzewo genealogiczne, doprowadziło ono w 2020 r. do dwóch braci, z których jeden od razu przyznał się do zbrodni. Na podstawie tej historii powstał serial kryminalny „Przełom".

Polskie śledztwa

W Polsce pierwsi po tę metodę poszukiwania sprawcy zabójstwa sięgnęli śledczy z Łodzi w sprawie zabójstwa w łódzkim Parku na Zdrowiu. W grudniu 2020 r. 57-letnia kobieta, nauczycielka, wyszła wieczorem na spacer z psem, kilkanaście minut później znaleziono błąkającego się samotnie psa. Wszczęto poszukania właścicielki. Następnego dnia rano odnaleziono jej ciało przysypane stertą liści.

Udało się ustalić DNA sprawcy, ale nie pasowało do żadnego profilu w policyjnej bazie. Nic też nie dały badania prawie tysiąca mężczyzn z okolicy. W śledztwie przesłuchano 1,5 tys. osób, sprowadzono specjalnego psa, który po bardzo długim czasie potrafi złapać trop – i nic. Nawet motyw, zabójstwo na tle seksualnym, nie był pewny. Wtedy prokurator Krzysztof Chojnacki podjął decyzję, by poszukać sprawcy z wykorzystaniem śledczej genealogii genetycznej (FIGG, skrót od Forensic Investigative Genetic Genealogy), bo tak w światowej kryminalistyce nazywa się tę metodę. Wgranie profilu DNA do bazy kosztuje 1–1,5 tys. dol.

Tyle że w Ameryce nie jest łatwo znaleźć współczesnych krewnych z Polski. Jak mówi genealożka Marta Sobota, w najmniejszych bazach DNA często otrzymuje się dopasowania z krewnymi spokrewnionymi pięć–sześć pokoleń wstecz. To 120–150 lat. Dlatego, żeby dotrzeć do czasów współczesnych, śledztwa genealogiczne potrafią trwać bardzo długo. – *To koronkowa praca, bo żeby dojść do współczesności, musimy, korzystając* ▶

© STUDIO POLITYKI/A/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a9930715e

▶ *z ogólnodostępnych źródeł, jak księgi parafialne, akta urzędowe, spisy ludności, budować całe drzewa genealogiczne wielu osób we wszystkich liniach* – mówi Marta Sobota, która zajmuje się zawodowo szukaniem przodków.

Tu trzeba na odwrót. Przedstawia to obrazowo: – *Sześć pokoleń wstecz to jest 64 przodków, trzeba ustalić ich wszystkich, potem – co się z nimi wszystkimi stało. To są setki osób, a musimy znaleźć wszystkich potomków. Jeżeli jakaś część rodziny gdzieś się przeprowadziła, nie udaje się ustalić dokąd, albo zaginęła czyjaś metryka czy archiwum spłonęło, przecież była wojna, zmieniały się granice, to cała ta praca nie da wyniku* – mówi genealożka.

I tak się właśnie stało w sprawie zabójstwa kobiety w łódzkim parku. Nie udało się zbudować całego drzewa. Ale amerykańska firma Parabon na podstawie tego DNA odtworzyła prawdopodobny wygląd sprawcy. Łódzka policja opublikowała jego wizerunek, wyznaczając 70 tys. zł nagrody temu, kto go rozpozna. I czeka.

Gdy śledztwo w sprawie śmierci Izy Strzałkowskiej utknęło, gdański prokurator dr Michał Gabriel-Węglowski też sięgnął po tę metodę. I gdańskie Archiwum X wgrało profil DNA do baz dostępnych dla organów ścigania. Wyniki pokazały pokrewieństwo z setkami osób, ale kluczowe okazały się cztery, spokrewnione ze sprawcą na poziomie między 30 a 63 centymorganami. To jednostka określająca ilość wspólnego DNA. Dla porównania pokrewieństwo matka–dziecko wynosi 3,5 tys. centymorganów. – *Te liczby wskazują na dalekie pokrewieństwo: pięć–sześć pokoleń wstecz. Biegli pracowali na bardzo dalekich pokrewieństwach* – mówi prokurator dr Gabriel-Węglowski, który powołał do tej sprawy jako biegłą ad hoc Martę Sobotę, ona dobrała sobie do pomocy trzyosobowy zespół: Annę Kwokę-Lachcik, dr Katarzynę Hibel i Mariusza Dąbrowskiego. Analiza trwała od października 2024 r. do czerwca 2026 r. W drzewach genealogicznych, które stworzyli, było prawie 10 tys. osób. Na końcu zostały trzy osoby, potem jedna.

Mamy go

– *W połowie czerwca przyszła wiadomość: „prawdopodobnie mamy go". Nie działaliśmy w pośpiechu, przygotowywałem obszerną dokumentację niezbędną do zatrzymania. Trzeba było przygotować Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie i Uniwersytet Medyczny w Gdańsku, żeby mieć dwie niezależne ekspertyzy dotyczące weryfikacji zgodności DNA osoby podejrzewanej z materiałem pobranym z ciała ofiary* – mówi prokurator dr Gabriel-Węglowski.

Bo ustalenia genealogów to nie dowód, wymagają potwierdzenia. Trzeba było też przygotować dobrze udokumentowany i uzasadniony wniosek o areszt (liczył 24 strony). Na 21 lipca 2026 r. zaplanowano zatrzymanie. – *Zależało nam, żeby zatrzymali go ci policjanci z Archiwum X, którzy pracowali nad sprawą. Oczywiście nie tylko oni, w taką realizację zaangażowanych jest wiele osób. Bardzo ważne było też, aby fakt zatrzymania utrzymać w tajemnicy, zanim powiadomimy tatę Izy, bo mama już nie żyje* – mówi mł. insp. Katarzyna Śliwska.

21 lipca 2026 r. policjanci czekali od świtu pod blokiem, gdzie mieszkał wytypowany sprawca zabójstwa Izy – Michał S. Niedaleko domu, gdzie mieszkała zabita dziewczyna. Gdy wyszedł rano do pracy, niosąc jednocześnie worek ze śmieciami do wyrzucenia, policjanci rzucili go na ziemię, obezwładnili i skuli kajdankami. Od razu przyznał się do zabójstwa. Powiedział: „Wiedziałem, że po mnie przyjdziecie".

Na 100 procent

Prokurator dr Michał Gabriel-Węglowski przyznaje, że był zdumiony tym, kto okazał się sprawcą. Ta osoba nigdy nie pojawiła się w aktach. – *Byłem zaskoczony, że sprawca jest wysoko usytuowanym społecznie człowiekiem. Wyższe studia, rodzina, dzieci, nienotowany kryminalnie, stąd jego DNA nie było w policyjnej bazie* – mówi.

Szybko ustalono, że w momencie zabójstwa Michał S. studiował agrochemię na Uniwersytecie Gdańskim, ale w tamtym czasie miał zajęcia w Bydgoszczy. Przyjeżdżał co jakiś czas do domu, do rodziców, po zabójstwie już znacznie rzadziej. Po zbrodni prowadził ustabilizowane życie. Żona, dwójka dzieci, teraz w wieku przedszkolnym. Miesiąc po zabójstwie, jak wynika z dat, zamieścił na stronie w internecie swoje zdjęcie z zawodów w bieganiu. Śmiejący się do obiektywu, prężący ciało chudy chłopak. Choć teraz jego znajomi mówią, że był małomówny, w typie odludka, to i tak z niedowierzaniem kręcą głową, że zabił. Religijny, zamieszczał zdjęcia ze spotkania młodzieży katolickiej na Polach Lednickich.

Na przesłuchaniu przyznał się do zabójstwa dziewczynki. Jego adwokat przekazał, że Michał S. wyraził skruchę i żal. – *Jest duża satysfakcja z zatrzymania podejrzanego w sprawie zabójstwa, nad którym pracowało się 15 lat. Ta sprawa pokazała, że warto w te dawne niewyjaśnione sprawy i w policjantów, którzy chcą się nimi zajmować, inwestować, bo to przynosi właśnie takie efekty* – mówi mł. insp. Katarzyna Śliwska.

Do prokuratora dr. Michała Gabriela-Węglowskiego z gratulacjami zadzwonił prokurator krajowy Dariusz Korneluk. Choć on sam zaznacza, że na ten sukces złożyła się zespołowa praca plus, jak określił to prokurator: – *Mądrość prof. Ryszarda Pawłowskiego i jego współpracowników z Gdańska, prekursora genetyki sądowej w Polsce.*

Bójcie się nie tylko Boga

Wygląda na to, że wiatr zawiał śledczym w żagle. Jak mówi prokurator Gabriel-Węglowski: – *Być może największym sukcesem tej sprawy jest to, że wciąż nieustaleni sprawcy ciężkich przestępstw mają się czego bać.* Koordynator śledztw Archiwum X, prokurator Zbigniew Niemczyk, już ustala listę najpilniejszych śledztw, żeby zdążyć przed przedawnieniem. W województwie gdańskim niewykrytych sprawców zabójstw jest 120.

Jak szacuje prokurator dr Gabriel-Węglowski, w całym kraju zabójstw, w których nie ustalono sprawców, a w których karalność przestępstw się nie przedawniła, jest ok. 1,2 tys. Wiele z tych spraw ponownie ruszyło z miejsca. Genealożka Marta Sobota już pracuje przy innej kryminalnej sprawie, ale nie może zdradzić szczegółów.

Prof. Ryszard Pawłowski na pytanie, ile ma w laboratorium zmagazynowanych izolatów DNA pobranych z miejsc zbrodni, odpowiada po chwili zastanowienia. – *Na pewno jest tam ponad sto pudełek, pudełko ma 64 próbki. No to tak myślę, że pewnie ok. 8–9 tys. izolatów DNA* – mówi. I dodaje: – *Są to ślady z całej Polski, a to z tego powodu, i tu się pochwalę, że byliśmy pierwszym laboratorium w Polsce, które wprowadziło technikę profilowania DNA techniką PCR, i początkowo spływały do nas materiały z całej Polski.* Zawartość tej bazy to koszmar najkoszmarniejszych morderców.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl 1a9930715e

Negocjacje na krawędzi

Piotr Zdybał, negocjator policyjny, o tym, jak się rozmawia ze zdesperowanymi ludźmi i ratuje ich przed samobójstwem. I co w tej pracy daje największą satysfakcję.

FILIP ZAGOŃCZYK: **– Co właściwie robi negocjator?**

PIOTR ZDYBAŁ: – Przekonuje ludzi w kryzysie, że ich dramatyczna decyzja o samobójstwie, wysadzeniu budynku w powietrze czy przetrzymywaniu zakładników nie jest jedynym wyjściem z sytuacji.

Dużo jest w Polsce tak dramatycznych zdarzeń? ▶

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

▶To zależy od regionu. Na Śląsku, gdzie przez lata służyłem, negocjatorzy mają dużo pracy. Mówimy o około stu zdarzeniach rocznie, co oznacza, że zespół negocjacyjny powoływany jest mniej więcej raz na trzy dni. Podejmujemy zdecydowanie najwięcej interwencji w kraju. Wynika to ze specyfiki województwa. Mamy tu duże zagęszczenie miast i niezwykłą mieszankę charakterów ludzkich. Swoiste śląskie multi-kulti. Górale z Żywiecczyzny mentalnie są zupełnie różni od ludzi z Częstochowy, a ci z kolei różnią się zasadniczo od Ślązaków czy Zagłębiaków. W niewielkim województwie jest cała masa problemów społecznych. To nieuchronnie prowadzi do napięć. Jako policjanci z tego regionu mamy więc bogate doświadczenie zebrane „w boju" i chętnie dzielimy się nim z naszymi kolegami z innych województw.

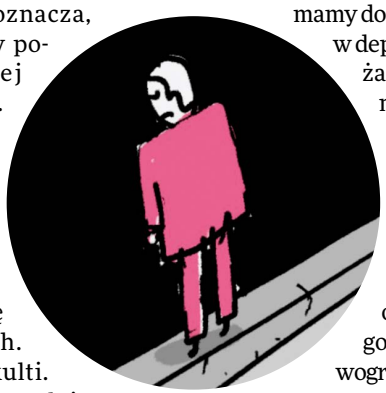

Do jakich zdarzeń dochodzi najczęściej?

Prym wiodą próby samobójcze. Polska pod tym względem jest w czołówce europejskiej. Prawdziwą plagą są kryzysy psychiczne, a dostęp do leczenia jest ciągle niewystarczający. Niska jest także świadomość społeczna. Ludzie często nie przyznają się do problemów psychicznych i duszą w sobie emocje. To prowadzi do ogromnych dramatów i groźnych zdarzeń, którym my jako negocjatorzy staramy się zapobiegać.

Z jakimi sytuacjami spotkał się pan podczas pracy?

Była ich cała masa. Zwykle pracujemy w zespołach negocjacyjnych, zupełnie inaczej, niż jest to przedstawiane w filmach sensacyjnych. Wiele lat temu prowadziłem np. negocjacje z człowiekiem, który chciał popełnić samobójstwo poprzez spowodowanie wypadku samochodowego. Rozmawialiśmy kilka godzin i przez cały ten czas on zapowiadał: „Za chwilę wjadę w ciężarówkę albo uderzę w drzewo". Udało nam się go w końcu przekonać, żeby zjechał na stację benzynową, i tam prowadziliśmy już rozmowę twarzą w twarz.

Z jakich powodów ludzie najczęściej próbują się targnąć na swoje życie?

Często są to po prostu osoby chore, przy czym mam tu na myśli choroby zarówno psychiczne, jak i fizyczne. Czasami ktoś chce skończyć ze sobą, bo choruje na nowotwór i nie jest w stanie znieść stresu lub bólu, jaki się z tym wiąże. Innym razem mamy do czynienia z człowiekiem w depresji, który nie widzi już żadnego innego rozwiązania. Wśród samobójców są też tacy, którzy popełnili przestępstwa, i odbierając sobie życie, chcą uciec przed odpowiedzialnością karną. Dużą grupę stanowią także osoby, które straciły kogoś bliskiego albo popadły w ogromne problemy finansowe.

Czy wchodzi pan na dach, jeśli wiadomo, że jest tam człowiek z bronią w ręku?

Praca negocjatora policyjnego związana jest z ryzykiem zawodowym, które niestety musimy podejmować jak każdy policjant w służbie. Wielokrotnie znajdowałem się w bliskiej odległości od człowieka, który trzymał nóż, nabity pistolet, a nawet granat. Gdyby go użył, nie miałbym żadnych szans na przeżycie. Są to trudne i niebezpieczne sytuacje, a mimo wszystko bardzo ważne jest, żeby człowiek w kryzysie zauważył we mnie kogoś, kto jest zainteresowany jego historią i bardzo chce mu pomóc.

Kto w takim razie może zostać negocjatorem policyjnym i jakimi cechami powinien być obdarzony?

Muszą to być ludzie z ogromną empatią i inteligencją emocjonalną. Powinni szybko kojarzyć fakty i reagować na zmieniającą się sytuację. Muszą wierzyć w to, co robią, i potrafić rozmawiać z ludźmi, zwłaszcza w sytuacjach wysokiego napięcia. W Polsce zawód negocjatora nie jest zajęciem etatowym. To trudna i niebezpieczna praca. Negocjatorem może zostać policjant, który ma za sobą trzy lata służby. Pierwszym etapem rekrutacji jest rozmowa z wojewódzkim koordynatorem negocjatorów. Następnie kandydat przechodzi testy psychologiczne, po których kierowany jest na kurs w dwóch wytypowanych ośrodkach szkolenia policji w Polsce. Bardzo ważne, żeby bliscy kandydata oraz jego przełożeni zdawali sobie sprawę z przyszłych potencjalnych wyrzeczeń i niebezpieczeństw, które czekają go jako negocjatora policyjnego. Daje to duże wsparcie emocjonalne w przyszłości.

Czy wśród ludzi podejmujących dramatyczne decyzje można wyróżnić jakieś typy psychiczne? Czy zachowują się w charakterystyczny sposób?

Myślę, że sklasyfikowanie ich jest możliwe. Pierwszy typ to ludzie w głębokiej depresji. Czasami daje się to zauważyć na pierwszy rzut oka. Głowa spuszczona, ramiona w dole, cała postawa wyraża apatię i brak nadziei. Wyglądają, jakby myślami byli już gdzie indziej.

Drugi jest kompletnie odmienny. To ludzie agresywni, obrzucający policjantów wyzwiskami, grożący, że zrobią krzywdę sobie lub innym. Ci są nastawieni bardzo konfrontacyjnie. Pamiętam, jak negocjowałem z mężczyzną, który groził, że zastrzeli swoją żonę i popełni samobójstwo. W pewnym momencie negocjacji padł strzał, ale po chwili pan się uspokoił i powiedział do mnie: „Wiesz, Piotrek, tak naprawdę to nie chciałem cię zabić. Przepraszam".

Trzeci typ ludzi jest moim zdaniem najbardziej nieprzewidywalny. To osoby, które przed śmiercią chcą, żeby im opowiadać kawały i żartują. Są nienaturalnie pobudzone, tak że człowiek zadaje sobie pytanie, czy przyjęły jakieś środki, czy też mamy do czynienia z zaburzeniem psychicznym. Pamiętam sytuację, jak jeden ze sprawców groził, że wysadzi w powietrze całą kamienicę. Ewakuowaliśmy ludzi, wstrzymaliśmy ruch tramwajów w najbliższej okolicy. Pan tymczasem zapraszał nas do wejścia do jego domu, w którym trzymał butle z gazem. Oczywiście nie skorzystaliśmy, ale po kilku godzinach rozmowy udało nam się go przekonać do wyjścia na zewnątrz. Zauważyłem, że był nienaturalnie pobudzony. Mówił, że jesteśmy niesamowici, że czuł się, jakby był w filmie. Widać było, że jest w stanie euforii.

Jak na takie sytuacje reagują przypadkowi widzowie?

Niestety często brakuje im empatii. Wielokrotnie słyszałem komentarze: „Jak chce umrzeć, to zostawcie go w spokoju. Jednego debila mniej". Jednak zapytani, czy gdyby w tej sytuacji znajdowali się ich brat czy siostra, też miałbym ich zostawić w spokoju, odpowiadają: „Nie, nie, ich należałoby uratować". Kieruję się prostą zasadą: moim celem jest ratowanie ludzkiego życia. Nie patrzę na to, co ten człowiek zrobił złego czy dobrego. Nie jestem Bogiem, żeby go oceniać.

Czy jako negocjator posługuje się pan kłamstwem, żeby osiągnąć cel?

Osobiście nigdy tego nie robię, ponieważ wiem, że na kłamstwie bardzo łatwo jest człowieka przyłapać. Negocjacje

eprasa.pl 1a9930715e

trwają często wiele godzin i jeśli skłamałbym na początku, a w szóstej czy ósmej godzinie przeżyłbym moment zawahania, rozmówca wyczułby to natychmiast i straciłbym całą wiarygodność.

Zresztą ludzi trzeba traktować poważnie. Są przecież świadomi, że będą odpowiadać za swoje czyny. Ten, który trzymał granat, zapytał mnie, co się stanie, jeżeli zdecyduje się go odłożyć. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że policjanci po tym, co zrobił, będą chcieli z nim porozmawiać. „Wiem" – westchnął, ale mimo to negocjacje zakończyły się sukcesem. Muszą się opierać na wzajemnym zaufaniu.

Pamiętam, jak rozmawiałem z człowiekiem zabarykadowanym w mieszkaniu z nożem w ręku. Po wielu godzinach rozmowy, podczas której używałem często zwrotu „zaufaj mi", zdecydował się wyjść. Ale zwykłe wyjście wydawało mu się mało efektowne. Chciał, żebym założył mu kajdanki. Odpowiedziałem, że nie powinien mieć kajdanek, ale jeśli sam chce je sobie założyć, to mogę mu je dać, bo boję się do niego podchodzić, dopóki ma nóż. Odpowiedział: „Piotrek, zaufaj mi. Nie zrobię ci krzywdy". Zrozumiałem, jak wielką moc mają słowa „zaufaj mi", i cała sytuacja skończyła się szczęśliwie.

Innym razem siedziałem z człowiekiem na słupie wysokiego napięcia. Był bardzo uzależniony od nikotyny, a na górę nie wziął ze sobą papierosów. Ewidentnie więc zakładał, że sytuacja nie potrwa długo. Naprawdę chciał skończyć ze sobą. Po negocjacjach trwających całą dobę zapytał nagle: „To co, schodzimy?". To pokazuje, że w naszej służbie niczego nie możemy zakładać z góry. Musimy się kierować intuicją i próbować jak najlepiej zrozumieć drugiego człowieka.

Czy zdarza się, że spotyka pan tych samych ludzi kilkukrotnie? Czy powtarzają swoje próby?

Czasami tak. To mit, że człowiek, który zapowiadał samobójstwo pięć razy i nie skoczył, nie skoczy i za szóstym. Część służb po kilkukrotnym zdarzeniu z tą samą osobą chcącą popełnić samobójstwo uważa, że ona tego nie zrobi. To bardzo mylne, o czym kilkukrotnie się przekonałem. To typowa ludzka reakcja, bo zdarzenia, które się powtarzają, usypiają naszą czujność. Czterech na pięciu samobójców chciało, aby inni widzieli, jak umierają. Czasem relacjonują swoje próby w internecie, na różnych czatach czy w roomach. Widzowie głosują, jak i kiedy ma dojść do samobójstwa. To, co opisuję, jest straszne, ale niestety taka jest smutna rzeczywistość. Do takich publicznych prób należała historia mężczyzny, który chcąc wyskoczyć przez okno, wszedł do mieszkania obcej kobiety. Pani chodziła po mieszkaniu w bieliźnie, nie reagując na potencjalnego samobójcę. Pomoc wezwali inni ludzie. Zapytana, czemu nie zareagowała na próbę samobójczą we własnym mieszkaniu, odpowiedziała: „Ja tego człowieka nie znam".

Co sprawia, że negocjacje kończą się sukcesem? Dlaczego ludzie decydują się zejść z dachu czy zostawić nóż?

Dzieje się tak, gdy uda się ich przekonać, że sytuacja, w jakiej się znaleźli, nie jest ostateczna, że mogą z niej wyjść, dać sobie jeszcze szansę. Historie, z jakimi miałem do czynienia, były bardzo różne. Czasami nagromadzenie tragicznych zdarzeń było tak duże, że można by nimi obdzielić kilkanaście osób. Innym razem chodziło o rzeczy naprawdę przyziemne, które wielu ludziom ze stabilnymi emocjami wydawałyby się błahe. Ale dla kogoś na krawędzi życia te problemy są zawsze ogromne. Ta praca nauczyła mnie, żeby nie oceniać i nie porównywać ludzkich historii.

Czy negocjatora obowiązuje tajemnica zawodowa?

Oczywiście, że są rzeczy, o których nie wolno mi mówić. Wszystkie historie, o jakich panu opowiedziałem, są prawdziwe. Zrobiłem to jednak tak, żeby żaden z bohaterów nie został zidentyfikowany ani nie rozpoznał siebie. Chodzi nie tylko o prawo, ale przede wszystkim o zasady. Gdybym ujawnił jakąś tajemnicę, czułbym się okropnie. Tak jakbym zdradził człowieka, który mi zaufał i powierzył swoje życie. Byłoby to i nieetyczne, i nieprofesjonalne.

Zdarzały się panu porażki?

Niestety tak. Był to np. przypadek człowieka chorującego na schizofrenię, który twierdził, że musi skoczyć, bo założył się z kolegami o piwo, że to zrobi. Nie wiem, czy ci koledzy naprawdę istnieli. Być może tylko w jego głowie. Po paru godzinach powiedział, że on mnie bardzo przeprasza, ale musi wygrać ten zakład.

Jak pan sobie poradził ze stresem?

Pomagają rozmowy z innymi negocjatorami, którzy wiedzą, co przeżywasz. Niezastąpiona jest pomoc rodziny. Korzystamy także ze wsparcia psychologów policyjnych. Mimo to zdarzają się historie, które nawet doświadczonych policjantów rozbijają emocjonalnie. Tak było podczas pogrzebu 13-letniej dziewczynki, która zmarła kilka dni wcześniej we własnym domu. Prokurator odstąpił początkowo od sekcji zwłok, ale po kilku dniach zmienił zdanie i domagał się wydania ciała. Ojciec stał z nożem i mówił, że nie odda swojego dziecka. Nie pozwoli go pokroić. Jestem przekonany, że ten mężczyzna nie miał złych zamiarów. Przeżywał potworny dramat, a my, policjanci, musieliśmy negocjować z nim o zwłoki. W końcu odłożył nóż i. płacząc, oddał dziecko. Cel, który mieliśmy osiągnąć, przyjeżdżając na negocjacje, został więc osiągnięty, ale jako ludzie po tej sytuacji byliśmy kompletnie rozbici. Milczeliśmy w drodze powrotnej, bo co tutaj można było powiedzieć?

Każdy negocjator ma własne sposoby na rozładowanie emocji po trudnych zdarzeniach. Kiedyś robiłem to, uprawiając sporty ekstremalne, ale z czasem zrozumiałem, że nie tędy droga. Trzeba po prostu nauczyć się mówić o emocjach. Najgorsze, co mógłbym zrobić, to dusić je w sobie. To byłoby niebezpieczne dla mojej psychiki. Jednocześnie dobrze jest mieć kogoś, kogo „obdarzymy" naszymi emocjami, a jemu nie będzie z nimi zbyt ciężko.

Czy zdarzyło się, że w codziennym życiu spotkał pan kogoś, komu wcześniej pomógł?

Tylko raz, ale to był piękny moment. Robiłem zakupy w sklepie i uśmiechnęła się do mnie dziewczyna. W pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, skąd ją znam. Ona jednak powiedziała: „Bardzo panu dziękuję. Gdyby nie pan, nie byłoby mnie tutaj. Od tamtego czasu zmieniłam pracę, chłopaka, mieszkanie i jestem dziś szczęśliwa". Przypomniałem sobie historię, o którą chodziło, i choć nie mogę jej opowiedzieć do końca ze względu na dobro zainteresowanej, to poczułem wtedy gigantyczną radość. Jak nigdy wcześniej dotarło do mnie, że to, co robię, ma wielki sens, bo pomagam ludziom ocalić to, co najważniejsze. Życie.

ROZMAWIAŁ FILIP ZAGOŃCZYK

Piotr Zdybał – nadkomisarz w stanie spoczynku, negocjator policyjny z 27-letnim doświadczeniem, były koordynator ds. negocjacji policyjnych na Śląsku.

© CASS

eprasa.pl 1a9930715e

Nie tędy droga

Jest w Bolesławiu droga, którą trudno pomylić z jakąkolwiek inną. Nowoczesna, równa jak stół, ze znakami i barierami. Tyle że pod wodą, stąd zamiast obwodnicy stała się Podwodnicą.

ZBIGNIEW BOREK

Jan Dołhań: – *Miała być obwodnica, a jest śmiech na całą Polskę*. Naprzeciwko jego domu jest zjazd na obwodnicę, ale zamknięty: betonowe zapory, znaki zakazu ruchu i w ogóle wstępu. Jeśli ktoś jednak tam wejdzie, a następnie przejdzie asfaltem 100 m, płynnie znajdzie się w wodzie. Nie, nie w kałuży, która chwilowo zalała asfalt. To potężne rozlewisko, wielkości 32 boisk piłkarskich. Droga dosłownie znika w jego toni. Jezioro Bolesławskie – mówią o nim mieszkańcy. Zalewisko Obwodnica – piszą urzędnicy. Podwodnica – wskazuje GPS w samochodzie, bo to już coś więcej niż drogowa fuszerka. To już atrakcja turystyczna.

– *Czytałem w internecie, oglądałem memy i zdjęcia, ale nie wierzyłem, bo sztuczna inteligencja teraz wszystko zmyśla* – mówi Paweł z Częstochowy, kierowca ciężarówki. Nazwiska reporterowi nie poda, bo jest na lewiźnie: zboczył z kursu ponad 30 km, żeby zobaczyć Podwodnicę na własne oczy. – *Nie żadne ejaj, tylko jaja* – orzeka.

PiS odcina kupony

Bolesław to gminna wieś w powiecie olkuskim na pograniczu Małopolski i Śląska. Na południową obwodnicę czekano tu długo. Jej przebieg wpisano do dokumentów planistycznych już w 1986 r. – *Jakbyśmy obchodzili 40-lecie* – ironizuje pracownik stacji benzynowej. Miała być odpowiedzią na problem, który przez lata narastał: ciężarówki obsługujące kopalnię i współpracujące z nią zakłady przecinały centrum Bolesławia, a za nimi ciągnęły się osobówki. Towarzyszyły temu hałas, kurz i spaliny. Uciążliwości wzmagał tranzyt z aglomeracji górnośląskiej w kierunku Krakowa – tym bardziej dokuczliwy, że bolesławskie drogi bywały również alternatywą dla płatnej autostrady A4.

Obwodnica miała przede wszystkim wyprowadzić z centrum ciężki transport i połączyć uprzemysłowione tereny gminy. Latami była jednak tylko w planach. W 2019 r. sprawa wreszcie nabrała tempa. Gmina, powiat i Zakłady Górniczo-Hutnicze Bolesław SA (największy w Polsce i liczący się w Europie producent cynku) zawarły trójstronne porozumienie dotyczące przygotowania inwestycji. W 2020 r. ZGH za darmo przekazały działki na ten cel. Gmina zdobyła z Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych 6 mln zł i przekazała powiatowi, który miał poprowadzić inwestycję. Całość kosztowała 7,5 mln zł, różnicę dołożył samorząd.

Budowa ruszyła w październiku 2021 r. Lokalni politycy PiS odcinali od niej kupony: z pompą przekazywali symboliczne czeki, odbywali gospodarskie wizyty, na placu budowy organizowali konferencje prasowe. Wojewoda małopolski Łukasz Kmita podkreślał, że „nadzoruje budowę", a rząd PiS łata „dziury i braki" po wcześniejszej koalicji PO-PSL. „Właśnie po to rząd premiera Mateusza Morawieckiego stworzył Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych, aby takie inwestycje, które tak długo pozostawały

eprasa.pl 1a9930715e

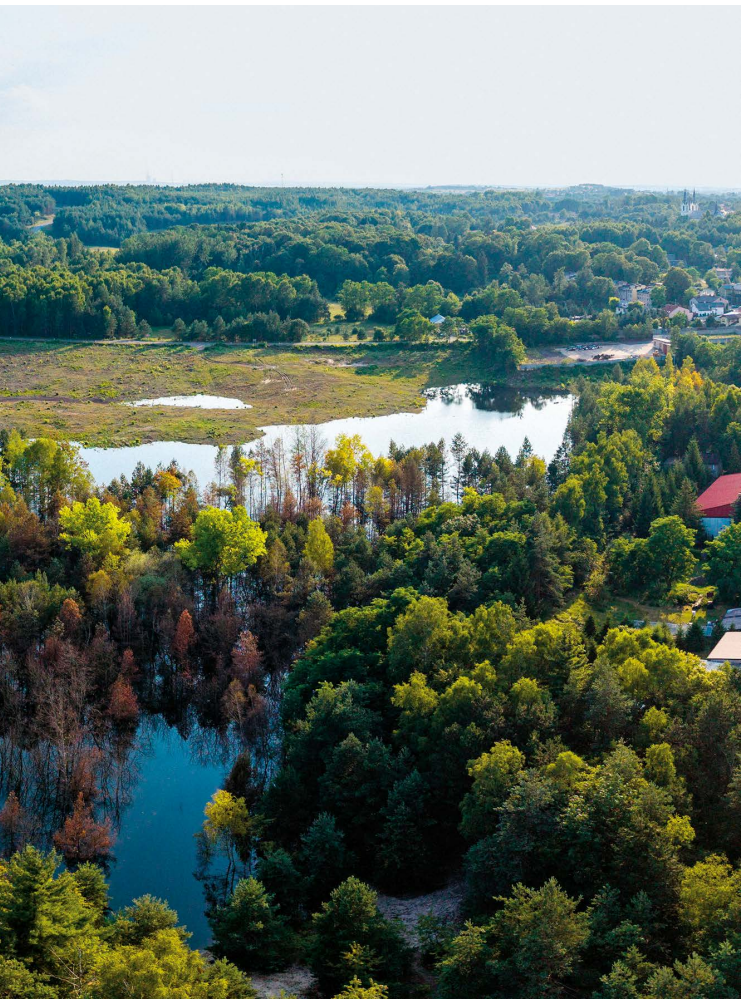

© JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

w sferze planów, mogły przechodzić do sfery realizacji" – wtórował Jacek Osuch, wiceminister sportu, ale również poseł ziemi olkuskiej. Dziś są po przeciwnych stronach prawicowej barykady (w Rozwoju Plus i w PiS), ale wtedy grali do jednej bramki. „To dla mieszkańców będzie prawdziwy oddech ulgi" – powtarzali. Faktycznie, mieszkańcy mogli odetchnąć. Przez mniej więcej 90 dni.

Zapadlisko, a potem woda

Otwarcie obwodnicy nastąpiło w listopadzie 2022 r. Robotnicy odsunęli zapory i wpuścili kierowców. Bez przecinania wstęg i polityków, bo w regionie coraz głośniej było słychać, że coś z tą obwodnicą może być nie tak. I rzeczywiście – już 14 lutego 2023 r. kilkanaście metrów od nowej drogi pojawiło się zapadlisko. Nie byle jakie: osiem metrów średnicy i pięć metrów głębokości. Obwodnicę zamknięto. Mieszkańcy okolicy sądzili, że chwilowo, ale trzy miesiące później pojawił się kilkumetrowy lej – tym razem na asfalcie. A potem kolejne zapadliska i leje, a w nich zaczęła się pojawiać woda. Najpierw je wypełniła, potem się wylała. Jesienią 2024 r. w sąsiedztwie trasy zaczęło się formować rozległe zalewisko, które ostatecznie całkowicie zatopiło jezdnię. Podwodnica ma już 23 ha. I wciąż się powiększa.

„Jedno z bardziej nietypowych miejsc w Polsce" – piszą internauci. Pod filmikami z Podwodnicy radzą, żeby posadzić ratownika i utworzyć kąpielisko, wykarczować okoliczne drzewa, zbudować knajpy, parkingi i sprzedawać bilety. Dariusz Brzeski, oryginał, który wędruje po kraju z psem, gęsią i kaczką, urządził tu sobie z całą menażerią kąpiel (ukazujący ją filmik ma 2 mln wyświetleń). Przy Podwodnicy zatrzymują się wycieczki. Policja jest tam dzień w dzień. Ale nie po to, by ratować ewentualnych tonących. – *Przez ostatnie trzy i pół roku odnotowaliśmy 104 interwencje. 13 osób otrzymało mandaty karne, a w 164 przypadkach zakończyło się na pouczeniu* – informuje sierż. Agnieszka Stefaniak z Komendy Powiatowej w Olkuszu. Trend jest wzrostowy: w całym 2025 r. w tym rejonie odnotowano 45 interwencji, a w tym roku tyle było do końca wakacji.

Mieszkańcy chcą wiedzieć, czy droga została źle zaprojektowana. Czy projektant wiedział o ryzyku? Czy dało się obwodnicę zabezpieczyć? A przede wszystkim: kto powinien za to zapłacić i czy Podwodnica kiedykolwiek wróci do swojej pierwotnej funkcji i będzie zwykłą obwodnicą?

Lej depresji

Zacznijmy od tego, skąd się tam wzięła woda. Uproszczona odpowiedź: wróciło to, co kiedyś wypompowano. Aby umożliwić bezpieczne wydobycie, pobliska kopalnia rudy cynku i ołowiu Olkusz-Pomorzany wypompowywała z górotworu nawet 504 tys. m sześc. na dobę i ponad 180 mln m sześc. na rok. „Dla porównania: 43 śląskie kopalnie odpompowały niewiele ponad 600 m sześc. na dobę. Kopalnia w całej swej historii wydobywała kilkadziesiąt razy więcej wody niż urobku" – czytamy na stronach ZGH. Doprowadziło to do powstania tzw. leja depresji, czyli osuszenia podmokłych terenów. Można je było dzięki temu użytkować i zabudować (choć z ograniczeniami).

Z powodu wyczerpania złóż 31 grudnia 2020 r. kopalnię postawiono w stan likwidacji. Wraz z końcem eksploatacji skończyło się wieloletnie sztuczne odwadnianie. Trudno powiedzieć, czy zgodnie ze sztuką, skoro Niemcy od kilku lat nie wydobywają węgla kamiennego, ale ciągle odwadniają nieczynne kopalnie. 14 i 15 grudnia 2021 r. pompy zaprzestały pompowania wody z podziemi rejonu Pomorzany, a 4 stycznia 2022 r. z rejonu Olkusz. To był czas, kiedy budowa obwodnicy szła już pełną parą – na powierzchni. Pod ziemią woda zaczęła naturalnie napływać do pustych wyrobisk i stopniowo wypełniać dawny lej depresji o powierzchni ok. 300 km kw. Przebiegało to niebywale gwałtownie: w pierwszym roku po zakończeniu odwadniania poziom wody w szybie Chrobry podniósł się o 128 m, w Dąbrówce o 88 m, a w rejonie Bronisława o 63,5 m.

Podnosiło się też zwierciadło wód podziemnych w całym rejonie, ale woda nie zatrzymała się wyłącznie „pod spodem". Zaczęła pojawiać się w miejscach, gdzie wcześniej, wskutek wieloletniego pompowania, poziom wód gruntowych był sztucznie obniżony. Tak wróciły podmokłe tereny, podtopienia i zalewiska. ZGH, właściciel dawnej kopalni przekonuje, że nie jest to żadne zaskoczenie: historyczne mapy pokazują rozlewiska również w rejonie dzisiejszej obwodnicy. Po zakończeniu wydobycia następuje powrót naturalnych stosunków wodnych – argumentuje spółka. Nie zgadza się na to, żeby nazywać zalanie obwodnicy szkodą górniczą. Ale przed jej skutkami ostrzegają tabliczki rozmieszczone przez powiat przy Podwodnicy.

Początkowo wszystkie strony robiły dobrą minę do złej gry. W marcu 2023 r., czyli rok po tym, jak w rejonie obwodnicy pojawiło się pierwsze zapadlisko, wójt, starosta i szef ZGH wydali wspólne oświadczenie. Zapewnili, że badanie georadarem ▶

eprasa.pl 1a9930715e

▶ spektralnym potwierdziło wystąpienie w rejonie obwodnicy „anomalii". „Wyinterpretowano dwie strefy anomalii amplitudowych związanych z niejednorodnością podłoża" – czytamy w oświadczeniu. Zawiera ono również zapowiedź „dalszych pogłębionych badań". A także karkołomne stwierdzenie: „Autorzy sprawozdania potwierdzili prawidłowe wykonanie drogi". Choć tego wątku już nie rozwinięto. Im więcej jednak powstawało zapadlisk i im bardziej rósł poziom wód w okolicy, tym bardziej rozmywało się trójporozumienie. Dziś każda ze stron ma swoją opowieść o tym, co się stało i kto zawinił. Pierwsza opowieść należy do gminy, która przypomina, że przebieg planowanej obwodnicy był znany od lat 80. i był uwzględniany w dokumentach dotyczących działalności górniczej. ZGH przekazały grunty pod budowę, spółka miała też poprzeć planowany przebieg drogi. Zdaniem gminy trudno więc dziś przedstawiać inwestora jako kogoś, kto zbudował drogę po cichu i bez wiedzy kogokolwiek, zwłaszcza ZGH.

A wody przybywa

Druga opowieść jest powiatowa. Starostwo w Olkuszu uważa, że katastrofa jest skutkiem działalności górniczej. W jego ocenie wyłączenie pomp doprowadziło do szybkiego wzrostu poziomu wód, powstania zapadlisk, a następnie zalania drogi. W kwietniu 2026 r. zarząd powiatu wystąpił do ZGH z przedsądowym wezwaniem do zapłaty 7,7 mln zł, czyli praktycznie zwrotu wszystkich kosztów budowy obwodnicy. Spółka snuje trzecią opowieść, której osią jest to, że gmina i powiat miały dostęp do informacji o zagrożeniu. W 2019 r. starosta miał otrzymać dokumentację hydrogeologiczną związaną z likwidacją kopalni, a ZGH dodatkowo ostrzegały projektanta drogi. Zdaniem spółki teren był objęty ograniczeniami wynikającymi z warunków górniczych i wodnych. W skrócie: wiedzieliście, więc nie zwalajcie na innych.

Powiat w rekontrze odpowiada: wy też wiedzieliście, ale nie zablokowaliście budowy. Do publicznego obiegu wchodzą wciąż nowe oświadczenia, raporty, analizy, z których niezbicie ma wynikać, że akurat ta strona jest niewinna. Gmina wskazuje, że jedynie wystarała się o pieniądze, budowę prowadziło starostwo i Podwodnica formalnie jest drogą powiatową. – *Gmina przygotowała projekt, starostwo zostało tylko inwestorem w imieniu gminy* – mówi naszemu reporterowi wicestarosta Rafał Czeladzki. Spółka zaś podkreśla, że nie miała obowiązku kontrolowania procesu inwestycyjnego ani blokowania budowy. – *To problem do rozstrzygnięcia między wójtem a starostą. Każdy chciał być ojcem sukcesu, a dziś szuka winnych. Nas to nie dotyczy* – utrzymuje Tomasz Wójcik, rzecznik ZGH Bolesław SA.

Na razie żadnej z tych wersji nie rozstrzygnął sąd, ale proces zbliża się wielkimi krokami, bo ZGH odrzuciło roszczenia, a starostwo zapowiedziało, że z pozwu nie zrezygnuje. Nikt jednak nie kwestionuje tego, że znał szacunki hydrologów, według których zalanie obwodnicy miało nastąpić – tyle że za 30–40 lat. To zaś pozwala zadać pytanie: skoro było oczywiste, że droga może kiedyś znaleźć się pod wodą, dlaczego wspólnie doprowadzono do jej budowy? Prognozy mają przecież to do siebie, że mogą się nie sprawdzić, jak to się stało w tym wypadku. A nawet gdyby, to obwodnic nie buduje się tylko na trzy czy cztery dekady. Innymi słowy: dlaczego nikt nie nacisnął hamulca? Najłatwiej byłoby powiedzieć, że winna jest woda. Tyle że woda była tu pierwsza.

A teraz nie tylko utopiła obwodnicę, ale też zagraża kolejnym terenom. We wsi Laski, w sąsiednich Hutkach i w samym Bolesławiu coraz więcej gospodarzy odpompowuje wodę z piwnic. Jan Dołhań, sąsiad obwodnicy, jeszcze ma w obejściu sucho, ale pompy już naszykował. Z niepokojem obserwuje, jak Podwodnica się podnosi. Linia brzegowa wędruje nieco pod górkę, którą biegnie główna droga – a tuż za nią jest dom Dołhania. Rok temu lustro zalewiska sięgało 308 m n.p.m. Teraz przekroczyło 310 m n.p.m. Na asfalcie prowadzącym do wody ktoś namalował białą farbą: 311 m n.p.m. – *Pomiary są co dwa tygodnie, przy każdym poziom wody wzrasta o kilka centymetrów* – mówi wicestarosta.

– *Najważniejsze w tej sytuacji staje się zapewnienie bezpieczeństwa i spokojnego życia mieszkańcom* – podkreśla wójt Krzysztof Dudziński. Jak wylicza, gmina udrożniła rowy melioracyjne, wybudowała kilka przepustów i odpompowuje wodę w centrum Bolesławia. Wspólnie z ZGH, Wodami Polskimi i Lasami Państwowymi utrzymuje przy życiu urządzenia regulujące poziom wody w sąsiednich zalewiskach. Kluczowe jest jednak obniżenie poziomu wody w największym zalewisku do maksimum 308,5 m n.p.m., jak uważa wójt, bo przy takim poziomie nie notowano we wsi podtopień. – *To najpewniej obniży poziom wód gruntowych w centralnej, najbardziej zurbanizowanej części Bolesławia* – dodaje Dudziński.

Niezwykły pomnik

Paradoksalnie strony, które nie mogą się dogadać w sprawie rachunku za drogę, są znacznie bliżej porozumienia w sprawie wody. W lutym 2026 r. ZGH przedstawiły koncepcję grawitacyjnego odprowadzenia wody z zalewiska do Kanału Dąbrówka, który znajduje się około kilometra od zalanej obwodnicy. Zanim jednak powstanie taki system, trzeba wodę kontrolować. ZGH wskazuje możliwość wykorzystania istniejącej infrastruktury po kopalni do czasowego pompowania. W czerwcu międzyresortowy zespół do spraw zapadlisk i podtopień zarekomendował właśnie takie rozwiązanie: kontrolowane pompowanie wody z zalewiska Obwodnica. Realizacją miałyby zająć się ZGH, finansowanie ma znaleźć gmina. Miejscowi radni przyjęli rezolucję do premiera Donalda Tuska w sprawie pilnej rządowej pomocy „zmierzającej do minimalizacji skutków wielowiekowej działalności górniczej".

– *Gdy powstanie trwały system grawitacyjny odprowadzania wody lub inne rozwiązanie, które ustabilizuje jej poziom, wrócimy do rozmów o obwodnicy* – zapowiada wójt. Wprawdzie kopalnia już nie pracuje, ale wciąż działają kamieniołomy, piaskarnie, zakłady przerobu odpadów wydobywczych. Ciężarówki nadal więc rozjeżdżają ulice Bolesławia. Starostwo uważa, że nie ma już sensu ratować obwodnicy, ale wójt jest innego zdania. – *Jak uszkodzi się kawałek autostrady, nikt nie zamyka całej. Obwodnica ma 1,8 km długości, a zalana jest na odcinku 200 m.* Według niego należałoby trwale wyłączyć z użytku tylko 400-metrowy odcinek do najbliższego skrzyżowania „za wodą".

Najpierw trzeba by jednak ustalić, jak zachowuje się podłoże, którędy płynie woda i co stanie się po jej odpompowaniu. To zaś wymagałoby współpracy gminy, starostwa i spółki ZGH, a taka współpraca na dobre odpłynęła Podwodnicą. Najpewniej więc obwodnica pozostanie niezwykłym pomnikiem trudnego sąsiedztwa samorządowej infrastruktury z naturą i historią przemysłu wydobywczego w regionie. No i pomnikiem absurdu.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 1a9930715e

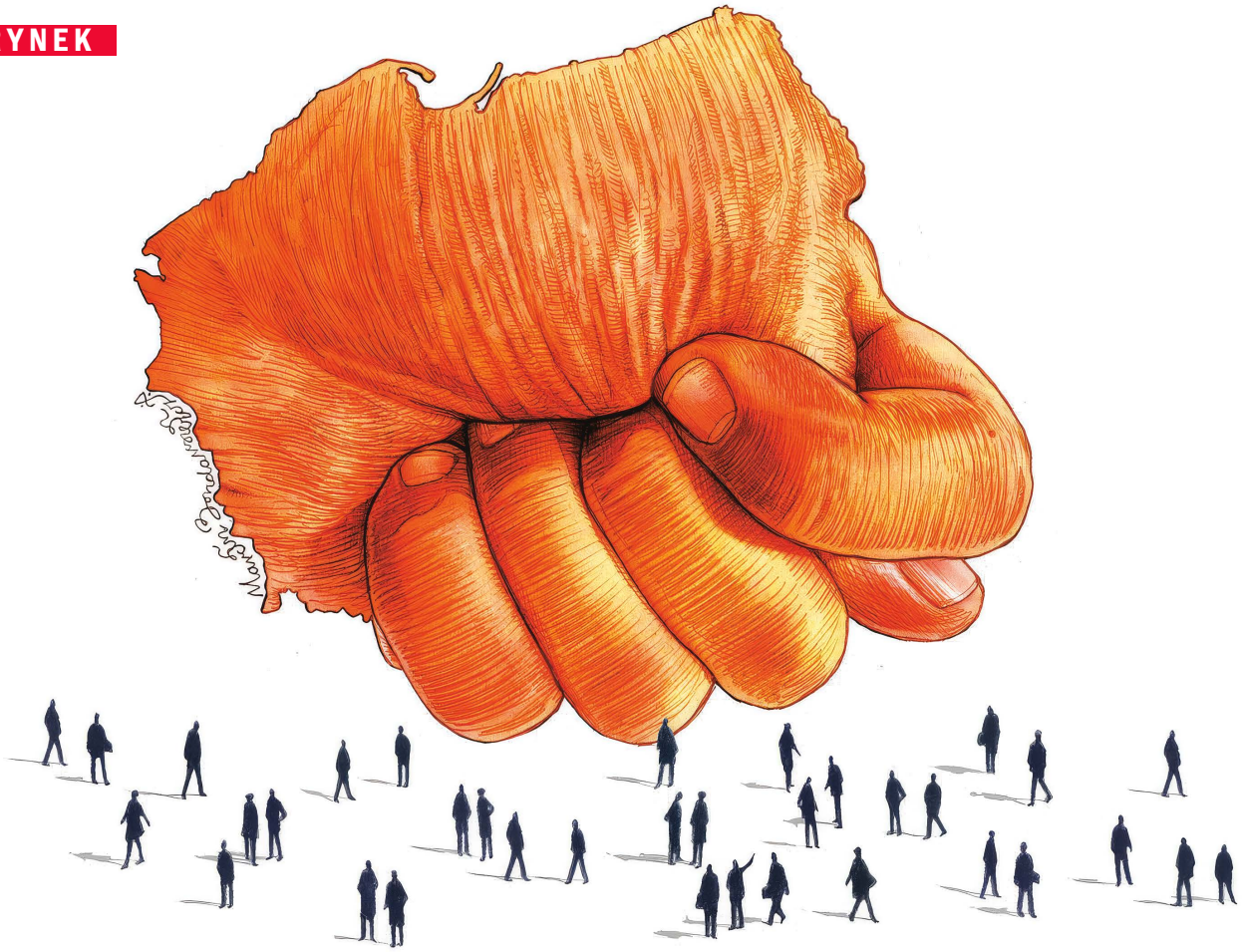

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

Podatki dla frajerów

Jarosław Neneman, wiceminister finansów, o patologiach, jakie powoduje opodatkowanie ryczałtem.

JOANNA SOLSKA: **– Ryczałt adresowany był do drobnych przedsiębiorców, ale korzystają z niego milionerzy, oszczędzając na podatkach. Kiedy prof. Leszek Balcerowicz wprowadzał w Polsce system PIT (podatek od dochodów osobistych), ryczałtu jeszcze nie było.**

JAROSŁAW NENEMAN: – Preferencyjną formą opodatkowania, na podstawie rozporządzenia, objęta była nieliczna grupa, np. rolnicy sprzedający żwir czy wyroby rękodzielnicze. Natomiast ustawą uregulowano tę sprawę w 1998 r. Ryczałt miał zachęcić osoby, które straciły pracę i próbowały zarabiać na życie, przeważnie wykonując jakieś proste usługi, aby „wzięły sprawy we własne ręce" i założyły firmy. Ciągle jeszcze panowało dwucyfrowe bezrobocie, ryczałt miał pomóc je zmniejszyć. Żeby tak się stało, biurokracja przy obliczaniu podatku musiała być symboliczna, a obciążenie niskie. Państwo nie liczyło na wpływy, chodziło o to, by ludzie zarabiali na życie legalnie, nie na czarno.

Niewielu było wtedy chętnych.

Mimo że prowadzenie jednoosobowej firmy w takiej formie nie wiązało się z żadną biurokracją. Trzeba było tylko podliczyć roczny przychód, kilkuprocentowy ryczałt był jego częścią. To od początku była więc propozycja dla tych, których działalność zarobkowa nie wiąże się z ponoszeniem dużych kosztów. Ryczałt nie należał się firmom, których roczne przychody przekraczały 400 tys. zł, potem ten limit kilkakrotnie podnoszono, co zwiększało atrakcyjność tego sposobu opodatkowania.

Przedsiębiorczy Polacy szybko zorientowali się, że ryczałt jest o wiele lepszy, niż się wydawało na początku. Głównie dlatego, że wykonując jakąś „usługę dla ludności", można po prostu nie wystawiać rachunku… Kto sprawdzi, że Kowalski zrobił remont w prywatnym mieszkaniu Malinowskiego i ile ten ostatni mu zapłacił?

Przedsiębiorca ma obowiązek wystawić rachunek, jeśli zażąda tego klient. W przeciwnym razie łatwo pomniejszać deklarowany przychód, a więc także podatek. Tak oto ryczałt ewidencjonowany szybko zaczął zyskiwać na atrakcyjności. Zwłaszcza w porównaniu z zatrudnieniem na umowę o pracę, od której naliczano większe składki na ZUS, ale też dużo wyższe były podatki od dochodów osobistych, w dodatku uzależnione od osiąganych zarobków. Zaczął się proces porzucania etatu na rzecz jednoosobowych firm opodatkowanych ryczałtem.

W tamtych latach państwo próbowało ograniczać możliwość przejścia na ryczałt, teraz wręcz do niego zachęca.

Nie mogły być opodatkowane ryczałtem osoby, które wcześniej pracowały ▶

eprasa.pl 1a9930715e

▶ na etacie, a jako jednoosobowe przedsiębiorstwa nadal wykonywały tę samą pracę dla dawnego pracodawcy, tylko o wiele korzystniej opodatkowaną. Ten przepis nadal obowiązuje. Natomiast katalog usług, które w tamtym czasie mogły być opodatkowane ryczałtem, był o wiele krótszy niż obecnie, fiskus usiłował panować nad sytuacją. Nie mogli być na ryczałcie na przykład agenci ubezpieczeniowi czy radcy prawni i wiele innych osób wykonujących świetnie opłacane zawody prawnicze czy usługi finansowe.

Państwo w tej sprawie jednak ma sporo za uszami. Kiedy weszliśmy do Unii i okazało się, że od lekarzy nie można wymagać pracy po kilkanaście godzin na dobę, szpitale same ich namawiały, aby przechodzili na samozatrudnienie. Zachętą były niższe podatki oraz składki na ZUS.

Nie zapominajmy jednak, że wtedy, żeby korzystać z ryczałtu, nie wystarczyło założyć jednoosobowej firmy. Jeśli lekarz, jak się to dzieje obecnie, miał kontrakt z kilkoma szpitalami, to ryczałt mu się nie należał. Ryczałtem mogła być objęta tylko jego działalność w gabinecie prywatnym, czyli „usługi dla ludności", nie dla instytucji czy innych firm.

A jednak patologie już wtedy rozkwitały.

Jeszcze jak. Weźmy jednoosobową firmę świadczącą usługi budowlane, obecnie objętą stawką ryczałtu w wysokości 5,5 proc. rocznego przychodu. Jej właściciel, teoretycznie, na przykład kładzie kafelki w łazienkach sam. Jeśli jednak nie wszystkim klientom wystawia faktury albo wręcz tylko niektórym, to sporą część swojego przychodu przed fiskusem ukrywa. Może za te pieniądze zatrudnić, oczywiście na czarno, pomocnika albo i dwóch. Szara strefa kwitnie.

Tego typu przedsiębiorcy nie chcą też, żeby im zapłatę za usługę przelewać na ich konto w banku, żądają zapłaty w gotówce.

Nie bardzo przejmując się, że utwierdzają klienta w podejrzeniu, że funkcjonują na czarno. Rozmowa z klientem na temat zapłaty za ich pracę zaczyna się zwykle od pytania: „Z fakturą czy bez?".

Są tacy, którzy „z fakturą" liczą sobie o 23 proc. więcej, chociaż najczęściej nie są oni płatnikami VAT.

Krajowa Administracja Skarbowa raportuje też o bardziej zaawansowanych formach patologii. Nazywa ją optymalizacją podatkową, która jest zgodna z prawem. Są na przykład dwie zaprzyjaźnione firmy, jedna rozlicza się na zasadach ogólnych, czyli płaci podatek od zysku. Druga jest na ryczałcie. Ta pierwsza robi więc wszystko, żeby zysku nie wykazać.

Czyli co?

Weźmy hotel albo magazyn mieszczący się w budynku, którego właścicielem jest Kowalski. Ten sam Kowalski ma firmę, która ten hotel lub magazyn prowadzi, ale ta firma (Kowalskiego) nie jest właścicielem budynku, ten bowiem należy do innej firmy tego samego Kowalskiego albo kogoś z rodziny. Hotel lub magazyn prosperują, firma, która je prowadzi, płaci podatek od zysku, ale tego zysku hotel ani magazyn prawie nie przynosi. Musi bowiem dużo płacić za wynajem budynku hotelu albo pomieszczeń magazynowych innej firmie Kowalskiego, opodatkowanej ryczałtem.

Co daje Kowalskiemu ten transfer zysków z jednej jego firmy do innej?

Czysty zysk. Firma prowadząca hotel zapłaciłaby od zysku 19 proc. podatku, a firma będąca właścicielem budynku hotelu zapłaci tylko 8,5 proc. Gdyby za najem brała rocznie więcej niż 100 tys. zł, to zapłaciłaby 12,5 proc., co i tak się opłaci.

To przecież stare numery, stosowane od lat.

I dlatego Zyta Gilowska jako ministra finansów i wicepremierka w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza chciała ten ryczałt zlikwidować już w 2006 r. i miała prawie wszystko dogadane z premierem. Wiem, bo pracowałem wtedy w ministerstwie. Kiedy Marcinkiewicza zdymisjonowano, sprawa umarła, a w 2008 r. podniesiono nawet próg przychodów, powyżej którego nie można było stosować ryczałtu z 400 tys. zł do 150 tys. euro. Opłacalność ryczałtu gwałtownie wzrosła, gdy rząd Prawa i Sprawiedliwości ponownie objął władzę w 2015 r. Dwa lata później znów podniesiono próg przychodów, już do 250 tys. euro.

Worek z przywilejami rozwiązał jednak premier Mateusz Morawiecki, uczynił z ryczałtu bramę do podatkowego raju.

I to na rok przed wprowadzeniem Polskiego Ładu, nowe zasady ryczałtu zaczęły obowiązywać bowiem od 2021 r. Żeby korzystać z preferencyjnego opodatkowania, można było już zarobić rocznie nawet 2 mln euro, czyli wtedy ponad 9 mln zł, ale zachęt było o wiele więcej. Możliwość płacenia bardzo niskich podatków uzyskało nagle wiele świetnie zarabiających grup zawodowych, które do tej pory nie mogły być objęte ryczałtem, m.in. zawody prawnicze (radcy prawni, adwokaci), doradcy podatkowi oraz wszelkie inne wolne zawody: architekci, lekarze, projektanci, inżynierowie, wszystkie zawody medyczne oraz na dobrą sprawę wszyscy. Pod warunkiem że będą wykonywać usługi w ramach działalności gospodarczej.

Lekarze na kontraktach ze szpitalami także?

Tak, wymóg świadczenia usług tylko dla ludności zniesiono, a i tak niskie stawki ryczałtu obniżono. Na przykład lekarzom z wcześniejszych 17 albo 15 proc. na 14, niektórym informatykom na 12 proc. Informatycy mają kilka stawek, łatwo się pogubić, kryteria są nieprecyzyjne. Liczba osób decydujących się na opodatkowanie ryczałtem gwałtownie wzrosła. Pierwsi zorientowali się przedsiębiorcy, którzy do tej pory korzystali z przywileju opodatkowania liniowego, ze stawką 19 proc., teraz mogli płacić jeszcze mniej. W 2020 r. na ryczałcie znajdowało się 550 tys. małych przedsiębiorstw, od tej pory ich liczba zaczęła szybko rosnąć. W 2025 r. było ich już milion. Dodajmy, że takie firmy nie inwestują, nie rozwijają się, bo inwestycje to są koszty, wtedy ryczałt się nie opłaca.

Przywileje dla ryczałtowców wprowadził Morawiecki, który wcześniej był ministrem finansów. Nie mógł nie wiedzieć ani o rosnących patologiach, ani o tym, że nowe regulacje znacznie obniżą wpływy do budżetu. To przecież za jego czasów dziura budżetowa zaczęła gwałtownie rosnąć. Grono uprzywilejowanych ryczałtem powiększają osoby zarabiające na wynajmie, w sumie jest to już 2,2 mln osób.

Z punktu finansów państwa nie da się tych przywilejów racjonalnie wytłumaczyć. Rozszerzanie ich dla płatników ryczałtu ewidencjonowanego rujnuje finanse państwa. Dla premiera, byłego ministra finansów, nie mogło to być niespodzianką. Nie wiem, o co mu chodziło.

Sprawa była polityczna, dostrzegały ją już wtedy niektóre media. Rząd PiS krok po kroku, z każdą tzw. reformą podatkową, pozbawiał samorządy lokalne pieniędzy.

W systemie PIT połowa wpływów z tego podatku trafiała do kasy samorządów. Rozszerzenie ryczałtu zachęcało podatników zatrudnionych na umowę o pracę do porzucenia etatu i założenia jednoosobowej

eprasa.pl 1a9930715e

Jarosław Neneman – doktor nauk ekonomicznych i wykładowca akademicki na Uniwersytecie Łódzkim oraz Uczelni Łazarskiego w Warszawie. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów od 2023 r. Wcześniej pełnił tę funkcję w latach 2004–05, 2006, 2014–15. Od 2010 do 2014 r. był doradcą społecznym prezydenta RP ds. samorządu. Autor wielu publikacji naukowych i dydaktycznych.

działalności gospodarczej, opodatkowanej ryczałtem, który w całości zabierał budżet państwa, wpływy z PIT malały. Samorządy dostawały mniej. Mogło chodzić o to.

Kłopot w tym, że budżet państwa także dostawał mniej.

Po wprowadzeniu Polskiego Ładu i tzw. kwoty wolnej od podatku w wysokości 30 tys. zł samorządy w jeszcze większym stopniu pozbawiono pieniędzy. Przy tym kwota wolna nie jest wcale wolna, bo od pierwszej zarobionej złotówki płacimy 9 proc. składki na zdrowie.

Według wyliczeń CenEA Polski Ład uderzył po kieszeni osoby dobrze zarabiające, rozliczające się według progresywnej skali podatkowej PIT, czyli etatowców. Dobrze zarabiające to w obecnym systemie PIT oznacza więcej niż 11,9 tys. zł brutto miesięcznie, co na rękę daje ok. 8,4 tys. Od tej pory z każdym kolejnym rokiem te osoby płacą wyższe podatki, ponieważ od tego czasu zostały też zamrożone progi podatkowe, po których przekroczeniu płaci się już stawkę 32 proc. Pański rząd też ich nie odmroził.

Z zeznań podatkowych za 2025 r. wynika, że osób, które wpadły w progresję, czyli zapłaciły już 32-procentową stawkę, było 2,4 mln, w tym roku szacujemy, że będzie ich już ponad 3 mln. Ta grupa jest obecnie jedyną, której podatki z każdym rokiem rosną, to prawda. Rozziew między opodatkowaniem ryczałtem a PIT dla osób zatrudnionych na umowę o pracę staje się z każdym rokiem coraz większy. Dlatego kto może, przechodzi na samozatrudnienie, ponieważ ryczałtowcy płacą także mniejszą składkę na zdrowie. Jako wiceminister finansów z wielką przykrością słucham, że wysokie podatki w moim kraju płacą tylko frajerzy.

Coraz więcej osób rezygnuje z umowy o pracę i zakłada firmę tylko z tego jednego powodu.

Za kilka tygodni będą dokładne dane za 2025 r., ale w 2024 r. limit przychodów w wysokości 250 tys. euro przekroczyło 43 tys. podatników, a ponad 400 zarobiło powyżej 2 mln euro. Z podatku, który był adresowany do drobnych przedsiębiorców, ryczałt stał się podatkiem dla milionerów. Przypominam, że mówimy o dochodach deklarowanych, wielkości szarej strefy nie znamy, wiemy jednak, że jest duża. Ci milionerzy nie płacą też daniny solidarnościowej.

Z dzisiejszej perspektywy na nieuzasadnione przywileje, którymi obdarzył Mateusz Morawiecki ponad dwa miliony rodzin, można spojrzeć jeszcze inaczej. Może już wtedy usiłował budżetowymi pieniędzmi skorumpować grupę przyszłych wyborców własnego ugrupowania, którzy w nadchodzących wyborach zechcą tych niemałych przywilejów bronić? Na specjalistów, dobrze zarabiających w większych firmach, były premier najwyraźniej nie liczy. Te małe to głównie sympatycy Konfederacji ciągle narzekającej na zbyt wysokie podatki.

Społeczną sympatią tacy milionerzy chyba jednak się nie cieszą?

Nie wiemy, kto pracuje na umowę o pracę, a kto na ryczałcie, i pan też mi tego nie powie. Wiemy jednak, że kancelaria Sławomira Mentzena zachęca do optymalizacji podatkowej, m.in. przez zakładanie fundacji rodzinnych. Kiedy słucham w mediach komentarzy na temat bardzo nieśmiałych propozycji rządu, aby tę rażącą niesprawiedliwość, dotyczącą grupy etatowców, troszeczkę złagodzić, nie słyszę postulatów, aby zrobić porządek z ryczałtem.

Odpowiem wymijająco. Rośnie grono doradców podatkowych, rozwijają się usługi marketingowe, edukacyjne, np. doradztwo, jak skorzystać z funduszy unijnych. Właściciele tych firm też są na ryczałcie, płacą 8,5 proc. I mają stałą wysokość składki na zdrowie. Po przekroczeniu rocznych zarobków w wysokości 300 tys. zł, nawet jeśli zarobią 7 mln zł, do kasy NFZ w tym roku mają wpłacać miesięcznie 1495 zł, czyli wielokrotnie mniej niż zatrudnieni na umowę o pracę.

System podatków od dochodów osobistych w Polsce z roku na rok staje się coraz bardziej niesprawiedliwy. Reforma, jaką zaproponował rząd, tej dyskryminacji pracy nie usunie, odrobinę ją tylko złagodzi.

Przypomnijmy, obecny próg zarobków, zamrożony na wysokości 120 tys. zł rocznie, zostałby podniesiony do 130 tys. zł. Między 130 a 150 tys. zarobków rocznie zostałaby wprowadzona nowa stawka, 24 proc., i dopiero po przekroczeniu 150 tys. obowiązywałby podatek w wysokości 32 proc. Najwięksi beneficjenci tej operacji mogliby zaoszczędzić rocznie niewięcej niż 3,6 tys. zł.

Jak to się ma do obecnych przywilejów jednoosobowych przedsiębiorców na ryczałcie, których prezydent prawdopodobnie będzie bronił?

Proponujemy, aby w ich przypadku wrócić do poprzedniego progu 250 tys. euro rocznie, powyżej którego ryczałt nie mógłby być stosowany.

Czyli milioner doradzający, jak unikać podatków, nadal płaciłby rocznie 8,5 proc., więc niecałe 85 tys. zł ryczałtu, a osoba na etacie, której miesięczne zarobki brutto przekroczyłyby 14 tys., nadal oddawałaby fiskusowi powyżej tej sumy 32 proc. podatku. Daleko do sprawiedliwości.

Niechby przynajmniej tyle się udało.

Czyli nadal, kto może, ucieknie z etatu, a inspektorzy Państwowej Inspekcji Pracy będą próbowali go zatrzymać.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

© MACIEJ JAŹWIECKI/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 1a9930715e

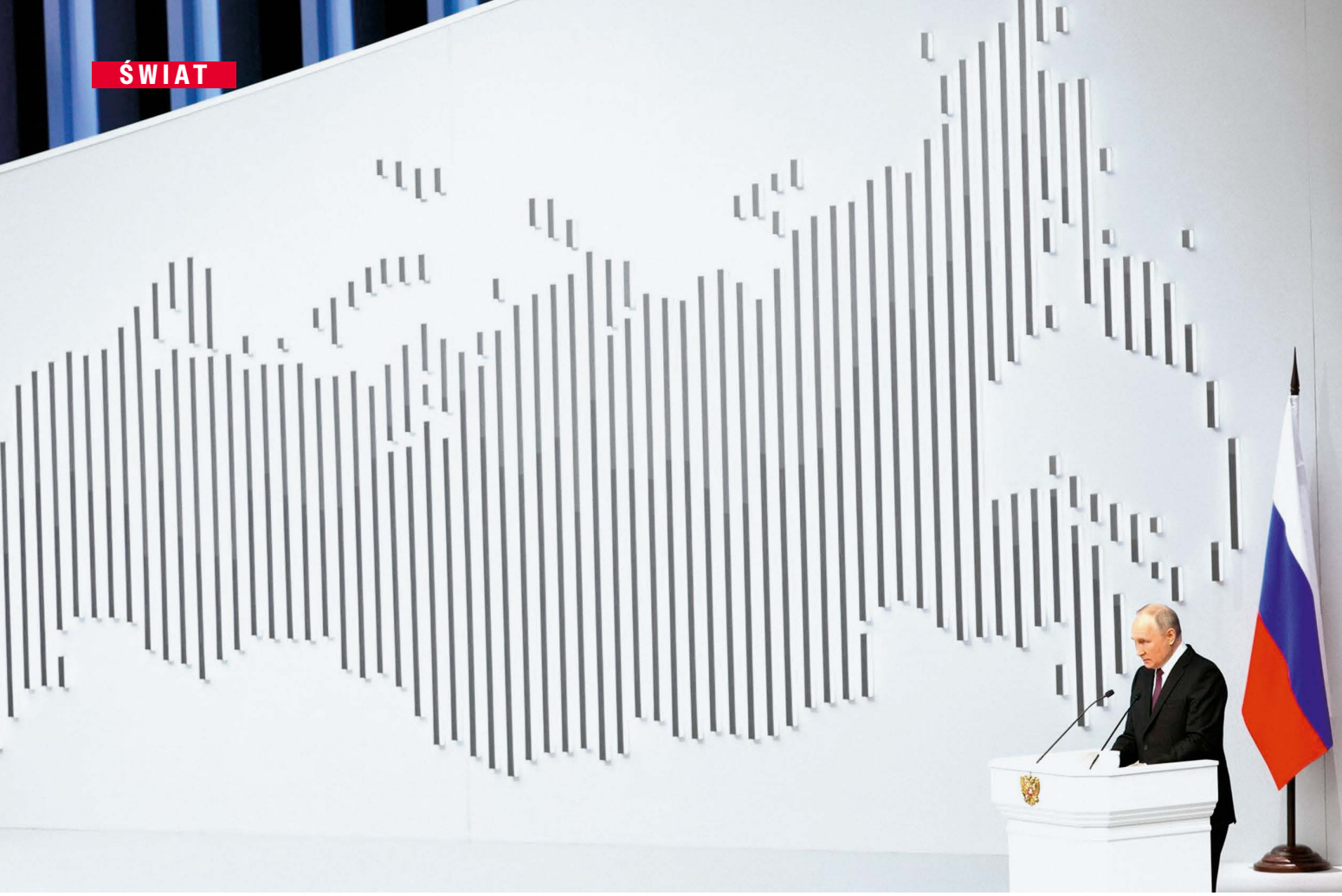

Putin wybiera

PAWEŁ RESZKA

Wybory do rosyjskiej Dumy tym razem posłużą do wymiany elit. Obok starej elity, której Władimir Putin ufa coraz mniej, zasiądą jego nowi faworyci – weterani wojny z Ukrainą.

Z tzw. wyborami w Rosji największy problem jest taki, że muszą się odbyć. Wiadomo, kto wygra, ale sam proces wyłaniania 450 posłów do Dumy raz na pięć lat zakłóca monotonię późnoputinowskiej dyktatury. Rozłożone na kilka dni głosowanie zacznie się 18 września, czyli w 1668. dniu wielkiej wojny z Ukrainą, której Rosja nie jest w stanie wygrać. Trzeba będzie je przeprowadzić również blisko frontu, w tym na okupowanych terytoriach, które Moskwa uznaje za swoje. I sprawić, by zmęczone trwającym konfliktem społeczeństwo wykazało jaki taki entuzjazm i poszło do urn.

Wymiana elit to marzenie prezydenta Władimira Putina. Chce obecną śmietankę polityczno-biznesową zastąpić ludźmi, którzy sprawdzili się w walce. Pamięta dobrze, jak utuczona na państwowym nomenklatura czmychała prywatnymi jetami do Turcji, gdy w 2023 r. na Moskwę szli najemnicy Jewgienija Prigożyna. Teraz więc chciałby do politycznego stawu wpuścić twardych, lojalnych, głodnych apanaży weteranów.

Nowa stara elita

Putin zapewniał, że prezydencka administracja i on osobiście wesprą uczestników specjalnej operacji wojskowej, którzy zdecydują się na start w wyborach parlamentarnych. Już wcześniej stworzono federalny program wsparcia i szkoleń pod nazwą „Czas bohaterów". Jego absolwenci mogli liczyć na państwowe posady i lepszy start w polityce.

Program startował niemrawo, ale z czasem rozkręcił się na dobre. Niezależny portal Meduza zidentyfikował aż 1305 uczestników wojny, którzy załapali się na eksponowane stanowiska. Kiedy jednak dziennikarze przyjrzeli się bliżej, okazało się, że spora część tych nowicjuszy to stara elita, która wyczuła, skąd wieje wiatr, i przebrała się w mundury.

eprasa.pl 1a9930715e

848 awansowanych było już wcześniej częścią urzędniczego aparatu.

Elita lubi awansować, ale nie lubi ryzykować. Dlatego zaczęły powstawać tzw. VIP-oddziały (jak BARS-25 Anwar czy BARS Kaskad), gdzie można bezpiecznie odsłużyć kontrakt i wrócić z legitymacją weterana. To takie „pocieszne wojska" XXI w., gdzie udział w wojnie można odrobić w ciągu trzech miesięcy, jeżdżąc na przepustki do Moskwy.

Ostatecznie do wyborów zgłoszono 200 uczestników wojny, o czym poinformowała szefowa Centralnej Komisji Wyborczej Ełła Panfiłowa. Mówi się, że przy układaniu list zwracano uwagę, by weterani, którzy wejdą do polityki, nie sprawiali kłopotów. „Trzeba pokazać prezydentowi przedstawicieli nowej elity, ale też postarać się, żeby nie było tam cierpiących na PTSD" – mówił Meduzie jeden z politycznych piarowców Kremla.

Na szczycie listy krajowej Jednej Rosji, partii władzy, znalazł się Władysław Gołowin, oficer piechoty morskiej, który w 2022 r. z okupacyjnymi oddziałami zajmował ukraińskie miasto Mariupol. Gołowin jest inwalidą wojennym nagrodzonym tytułem Bohatera Rosji. W pierwszej piątce znalazł się objęty sankcjami Jewgienij Poddubnyj, który pracuje w rosyjskiej telewizji i zajmuje się propagandą wojenną.

Na liście jest także Maria Lwowa-Biełowa, rzeczniczka praw dziecka, która co prawda w Specjalnej Operacji Wojskowej nie brała udziału, ale Międzynarodowy Trybunał Karny wydał nakaz jej aresztowania. Urzędniczka może być odpowiedzialna za przesiedlanie ukraińskich dzieci do Rosji i ich rusyfikację. Sama zresztą „zaadoptowała" chłopca z Ukrainy, posłała na prawo i chwali się, że będzie rosyjskim prokuratorem.

W sumie Jedna Rosja wystawiła 76 weteranów. Kilku z nich jest po lekkich kontraktach w VIP-oddziałach, ale na listach są i wojskowi, którzy realnie walczyli, a nawet mogli popełniać zbrodnie wojenne. Np. generał Aleksandr Łapin, który jest oskarżany przez Ukrainę o wydanie rozkazu zbombardowania centrum handlowego w Charkowie, gdzie zginęło 19 cywilów. Niezależna „Nowa Gazieta" ustaliła, że wśród kandydatów znalazł się także Eduard Szonow, który służył w oddziałach okupujących Buczę.

Inne partie również wpuściły na listy byłych wojskowych. Pytanie jednak, ilu z nich wejdzie do parlamentu? Szacunki są niepewne, a polityczni weterani nie chcą składać broni. Blisko trzy czwarte dotychczasowych posłów powalczy o kolejną kadencję.

Piątka Władimira

Jeśli spojrzeć na wybory od strony partii, jakie wejdą do Dumy, powieje nudą. WCIOM, najstarszy, największy i zależny od Kremla ośrodek badania opinii publicznej, prognozuje: na pierwszym miejscu, jak zwykle, putinowska Jedna Rosja, z szansami na samodzielną większość. Dalej koncesjonowana opozycja: Komunistyczna Partia Rosyjskiej Federacji, Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji (LDPR), Nowi Ludzie i Sprawiedliwa Rosja.

Każda z partii ma wyznaczone zadania i strefy wpływów. Jedna Rosja jest dla wszystkich, zwłaszcza beneficjentów systemu: urzędników, wojskowych, pracowników budżetówki. Prezydent pojawił się na wyborczym zjeździe tej partii, życzył zwycięstwa – tak, by nikt nie miał wątpliwości, z kim trzyma Kreml. Komuniści szukają poparcia u starszego pokolenia tęskniącego za Krajem Rad, u ludzi uboższych, z prowincji. Sprawiedliwa Rosja to socjaliści, którzy mają zadbać o to, by komuniści za bardzo nie wyrośli. LDPR szuka głosów wśród nacjonalistów.

Cała ta „opozycja" wie, co jej wolno, na jaką krytykę może sobie pozwolić. Udział w tym spektaklu sterowanej demokracji jest płatny – zapewnia wygodne życie, dostęp do budżetowych pieniędzy, możliwości korupcyjne.

Jeśli rzucimy okiem na sondaże sprzed pięciu lat, zauważymy, że w pierwszej piątce, która wchodzi do Dumy, zmieniło się niewiele. Po prostu Nowi Ludzie zamienili się miejscami ze „Sprawiedliwymi". Nowi Ludzie to partia dość świeża, stworzona w 2020 r. z polecenia Kremla i za pieniądze kremlowskich oligarchów. Miała zagospodarować elektorat wielkomiejski i liberalny, odciągnąć go od popierania takich wywrotowców jak Aleksiej Nawalny.

Nieoczekiwanie w 2026 r. Nowi Ludzie zaliczyli spory wzrost poparcia. Ich jednocyfrowy rating na chwilę zmienił się nawet na dwucyfrowy. To wywołało lekkie zaniepokojenie na Kremlu – bo choć to jego partia i jest prawomyślna, jeśli chodzi o wojnę, to czasem krytykuje władzę, np. sprzeciwia się ograniczeniom wolności w internecie.

Wycięte Jabłoko

By rozwodnić trochę ten rezultat, Kreml zdecydował się na ryzykowny ruch. Do startu w wyborach nieoczekiwanie dopuszczono Jabłoko – partię prawdziwie demokratyczną, antywojenną i obywatelską. Działacze Jabłoka, weterani polityki od lat 90., nękani procesami, aresztowaniami, chyba sami byli zdziwieni, że ich lista została zarejestrowana.

W oczach kremlowskich fachowców od piaru Jabłoko było bezpieczną, bo martwą, trochę muzealną formacją, symbolem permanentnych porażek rosyjskich demokratów. Kolejna klęska byłaby dowodem, że poparcie dla haseł antywojennych jest śladowe, czyli że Rosjanie chcą, by „specjalna operacja wojskowa" trwała.

Inne wyjaśnienie rejestracji list Jabłoka jest jeszcze prostsze. – *Pozwolili im startować, bo z Kremla nie było rozkazu, by startu zabronić. Otrzeźwienie przyszło, gdy zrobiono pierwsze badania opinii publicznej* – mówi anonimowo rosyjski politolog. Podobno w jednym z nieopublikowanych sondaży Jabłoko, które oficjalnie miało poparcie na granicy błędu statystycznego, zbliżyło się do 10 proc., jak informował niezależny portal Vertska. To oznaczałoby pewne miejsce w parlamencie – próg wejścia wynosi 5 proc.

Do głosowania na Jabłoko wezwała też Julia Nawalna, wdowa po Aleksieju. A eksperci po cichu spekulowali, że jeśli nie będzie kontrakcji ze strony Kremla, to antywojenna opozycja może jeszcze poprawić notowania.

Po trzech tygodniach Centralna Komisja Wyborcza znalazła pretekst, by wykluczyć listę Jabłoka z głosowania – w jednym ze spotów użyli popularnej piosenki, do której nie mieli praw. Po wycięciu listy Jabłoka urzędnicy wyborczy starali się po kolei wyrzucać też demokratów z okręgów jednomandatowych, w których wybierana jest połowa składu Dumy. Do tego sąd skazał na 11 lat więzienia Lwa Szlosberga, wiceszefa partii, za dyskredytowanie armii.

Same wybory wzbudzają umiarkowane zainteresowanie. Jeszcze w maju dwie trzecie Rosjan nie miało pojęcia, że głosowanie ma się odbyć w tym roku. Jednocześnie zbyt głośna kampania wyborcza byłaby kłopotem. W jej trakcie – nawet gdyby była pozorowana – trzeba by przecież o czymś rozmawiać. A wokół same kontrowersje.

Zmęczenie wojną jest coraz bardziej widoczne. Putin wciąż ma dobre notowania: 74–76 proc. badanych popiera działania ▶

© ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1a9930715e

▶ prezydenta według sondażu niezależnego Centrum Lewada. Z drugiej strony ten dobry wynik jest jednak najgorszy od początku wojny w 2022 r. I aż 25–30 proc. respondentów, odpowiadając na pytanie o ogólny nastrój, mówiło o odczuwanym strachu, rozdrażnieniu i napięciu.

Na froncie – mimo ogromnych strat wśród żołnierzy i optymizmu urzędników Kremla – ciągle nie ma przełomu. Za to wojna wdarła się do rosyjskiej codzienności. Ataki ukraińskich dronów średniego i dalekiego zasięgu dezorganizują życie kraju. Celem są m.in. zakłady zbrojeniowe, ostatnio Ukraińcy uderzyli w fabrykę rakiet w Samarze i kosmodrom Plesieck, żeby storpedować wyniesienie na orbitę satelitów mających zastąpić na froncie system Starlink.

Trwają też ataki na rafinerie i składy paliw, w rezultacie w końcu sierpnia produkcja benzyn pokrywała jedynie 70 proc. zapotrzebowania wewnętrznego. Powtarzają się uderzenia na magazyny towarów sprzedawanych przez główne platformy e-commerce Wildberries i Ozon. Obie straciły blisko 2 mln m kw. powierzchni magazynowej. Wywołało to gigantyczne zamieszanie, towar spłonął, klienci go nie dostaną, sprzedawcom grozi bankructwo. Nie wiadomo, kto ma zapłacić za straty. Wildberries i Ozon zwróciły się o pomoc do rządu.

Jednak i władza nie ma już gotówki w nadmiarze. Putin finansował wojnę z oszczędności, rezerwuarem środków był Fundusz Dobrobytu Narodowego, gdzie odkładano część pieniędzy pochodzących m.in. ze sprzedaży surowców energetycznych. Dziś skarbiec jest poważnie nadwerężony, zgromadzone tam środki wynoszą 46 mld dol., a przed wojną sięgały 114 mld.

Putin próbuje przerzucić część kosztów wojny na prywatny biznes. 24 sierpnia wydał dekret, na mocy którego państwo może wprowadzić tymczasowy zarząd w ważnych dla kraju obiektach przemysłu i infrastruktury. Jest to możliwe, gdy właściciel np. nie jest w stanie zadbać o ich bezpieczeństwo. Biznes obawia się, że takie „tymczasowe" przejęcie w praktyce może oznaczać konfiskatę i nacjonalizację.

Jednocześnie przedsiębiorcy widzą, że państwo nie jest już w stanie zapewnić im bezpieczeństwa, i np. domagają się dostępu do broni przeciwlotniczej. To zaczyna przypominać lata 90., gdy „departamenty ochrony", należące do firm oligarchów, były małymi prywatnymi armiami. Przypadek buntu Prigożyna dowodzi, że dla władzy to nie jest bezpieczne rozwiązanie.

Drogie wojsko

W piątym roku wojny zaczyna brakować nie tylko pieniędzy, ale też ludzi. Do tej pory władze całkiem nieźle radziły sobie z dostarczaniem żołnierzy na pole walki. Rekrutowały ochotników, kusząc ich wysokimi apanażami. Ostatnio nie udaje im się jednak wyrównywać strat, jakie armia ponosi na froncie. Ministerstwo Obrony zaplanowało podpisanie 409 tys. kontraktów w 2026 r. To, czy plan zostanie wykonany, nie jest pewne. Potencjalni ochotnicy coraz bardziej zdają sobie sprawę z ryzyka. Co miesiąc z frontu ubywa 30 tys. osób (ranni i zabici). Liczba poległych rosyjskich żołnierzy od początku wojny szacowana jest na kilkaset tysięcy.

Nowi ochotnicy oczekują większych pieniędzy, a te są i tak już spore. W niebogatym Dagestanie ochotnik na starcie dostaje jednorazowo równowartość 41 tys. euro (suma wypłat z budżetu federalnego, budżetu republiki, budżetu miasta). W obwodzie leningradzkim „startowe" wynosi już 43 tys. euro, a w ramach wynagrodzenia można dostać też działkę ziemi. Do tego dochodzi żołd, najniższy wynosi 2,1 tys. euro miesięcznie.

W rezultacie w pierwszym roku wojaczki ten, kto przeżyje, może zgarnąć nawet 70 tys. euro. Oczywiście czysto teoretycznie, bo żołdem trzeba się dzielić z dowódcami. Kto tego nie robi, najczęściej idzie na pierwszą linię i wraca do domu w czarnym worku. Budżet obciążają też wysokie odszkodowania dla rodziny za śmierć żołnierza, w Moskwie to nawet 110 tys. euro.

Na poziomie gospodarczym Rosja prowadząca przecież kosztowną wojnę, objęta sankcjami, ciągle ma się nieźle. Deficyt budżetowy rośnie znacznie szybciej, niż zakładano, ale wciąż wynosi mniej niż 3 proc. PKB (w Polsce – 6,5 proc.). Do tego Putin ciągle wierzy w zwycięstwo, podobnie jak trzy czwarte Rosjan. Coraz trudniej jednak udawać, że wszystko idzie zgodnie z planem. Płace rosną, ale coraz wolniej. Bolesna jest rosnąca inflacja. W efekcie Rosjanie mają więcej pieniędzy, ale mogą sobie pozwolić na coraz mniej.

Spekulacje o mobilizacji

Państwo zaczyna kontrolować kolejne dziedziny życia. Wolność słowa i wolność polityczna to już tylko wspomnienie. Od 4 sierpnia 2026 r. rosyjskie władze mogą pozbawiać część emigrantów możliwości korzystania z praw i majątku. Osoby przebywające za granicą, które zostały prawomocnie skazane lub ukarane za określone przestępstwa i wykroczenia – m.in. za „dyskredytację" armii – i uchylają się od wykonania kary, mogą mieć zamrożone konta i majątek, ograniczone dostęp do usług konsularnych oraz możliwość dysponowania własnymi nieruchomościami.

Mocno odczuwalne jest wyłączanie mobilnego internetu oraz blokowanie serwisów VPN, które pozwalały Rosjanom przeglądać np. niezależne portale internetowe zakazane przez władze. Niezadowolenie wzbudza rugowanie komunikatora Telegram i zastępowanie go „narodowym komunikatorem" Max, kontrolowanym przez państwo.

Wielu Rosjan niepokoją spekulacje, że po wyborach do Dumy – kiedy władza nie będzie już musiała się przymilać do obywateli – przyjdzie czas na mobilizację. Putin gniewnie zaprzecza tym doniesieniom, mówiąc, że to element wojny informacyjnej. – *Skoro zaprzeczył, to znaczy, że mobilizacja będzie* – komentuje znajomy informatyk z Moskwy.

Mówi się, że ogłoszenie mobilizacji może dać armii dodatkowo 300–400 tys. żołnierzy. Czy to wystarczy, by wygrać wojnę w Ukrainie? Czy znajdzie się dość sprzętu, dowódców? Nie wiadomo. Wiadomo, że poprzednia próba przymusowej mobilizacji skończyła się masową ucieczką młodych Rosjan za granicę.

Wybory to problem głównie dla władz regionalnych. Trwa konkurencja, jak wyprodukować dobry wynik. Frekwencja ma być wysoka – to bez dyskusji. Zwycięstwo przekonujące: najlepiej, by partia władzy poprawiła wynik i był on lepszy niż w sąsiednich regionach. Jednocześnie wynik nie może być zbyt dobry, bo to może rodzić pytania o uczciwość głosowania. W sumie dużo ryzykownej roboty.

Na wszelki wypadek Służba Wywiadu Zagranicznego wydała komunikat, że „Unia Europejska realizuje zakrojoną na szeroką skalę strategię destabilizacji sytuacji w Rosji w przededniu wyborów do Dumy Państwowej". Gdyby coś poszło niezgodnie z planem, to winny już się znalazł.

PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl 1a9930715e

BOGOWIE ZA ŻYCIA

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 1a9930715e

Kolumbia: Abelardo de la Espriella

Brazylia: Jair Bolsonaro

Chile: José Antonio Kast

Łacińska reakcja

Gloryfikują przeszłość, umacniają przywileje najbogatszych, deklarują politykę żelaznej ręki wobec przestępców... Skrajna prawica podbija Amerykę Łacińską.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Pierwszym przedstawicielem skrajnie prawicowej fali był Jair Bolsonaro. Ekskapitan wojska wypowiedział wojnę lewicy. Uderzył w prawa kobiet i osób LGBT, w obywateli o korzeniach afro i ubogich – w atakach posługiwał się językiem koszar. Gdyby któryś z jego synów był gejem, wolałby, żeby był martwy. Krytykującej go posłance wypalił, że nie zgwałciłby jej, gdyż jest nie dość atrakcyjna. Oczywiście przyczyną zła jest „ideologia gender", a szczepionki na covid szkodzą. Bolsonaro – pierwszy z fali – był typem prymitywnego żołdaka nienawidzącego „jajogłowych", jak wielu rządzących w Ameryce Łacińskiej w przeszłości.

Drugi, Nayib Bukele, prezydent Salwadoru, to inny przypadek. Mówi się, że to on ustanowił nowy model latynoskiego *caudillo* (wodza) – luzaka w czapce z daszkiem do tyłu, tiktokera, który zachowuje się jak koleś z sąsiedztwa, a zarazem gwiazda show-biznesu. Ironista, który pisał o sobie jeszcze wtedy na Twitterze, że jest „najfajniejszym dyktatorem świata".

Żaden z jego naśladowców w regionie nie ma tak wielkiej władzy jak on. I może żaden nie ma takiego wyczucia spektaklu. Bukele potrafił wkroczyć otoczony wojskiem do opierającego mu się Kongresu, pomodlić się i wyjść, zastraszając w ten sposób posłów. Najbardziej zasłynął z budowy megawięzień dla członków gangów, które pustoszyły Salwador. Tyle że teraz można tam trafić za sam tatuaż. Do wzoru Bukele odwołują się kolejni z fali.

Piłą i młotem

Przede wszystkim Abelardo de la Espriella, który w sierpniu objął władzę w Kolumbii i zapowiedział budowę megawięzień. Człowiek spoza polityki, adwokat paramilitarnych i narkomafiosów, który obiecał „roztrzaskać lewicę". Twierdzi, że zyskał „całkiem sporo fajnych głosów kobiecego elektoratu" dzięki temu, że w kampanii pokazał zdjęcie uwypuklające rozmiary jego penisa.

Obiecuje zbudować Cudowną Ojczyznę – owoc przymierza Boga i narodu. Wzorem Bolsonaro zawłaszczył koszulki narodowej reprezentacji piłkarskiej – jeśli na ulicy widać grupę w takich T-shirtach, to zapewne jego sympatycy. W pierwszych dniach rządów kazał zbombardować wioski w okolicach działania grup partyzanckich, zginęli cywile. Zapowiada, że wpuści do Kolumbii armię USA – mają współdziałać (zapewne przeciw guerrilli).

Agresywny język De la Esprielli inspirowały wystąpienia Javiera Mileia, prezydenta Argentyny, którzy rządzi od końca 2023 r. Spośród prawicowych radykałów obecnej fali to Milei najbardziej przypomina ideologa, oczytanego fanatyka, który autentycznie wierzy w to, co głosi. Nazywa siebie anarchokapitalistą i uważa, że państwo jest „największą organizacją przestępczą", bo kradnie ludziom pieniądze poprzez opodatkowanie.

Tak jak Bukele Milei ma wyczucie teatralności: metafora piły, którą wymachiwał w czasie kampanii wyborczej, weszła do publicznego imaginarium – jest symbolem cięcia wydatków publicznych. Do tego nosi skórzaną kurtkę, mającą podkreślać, że jest w kontrze do establishmentu, wrzeszczy i ubliża krytykom.

Ostatnio Milei promował ustawę o sprzedawaniu cudzoziemcom ziemi w Argentynie – bez ograniczeń. To proceder niebezpieczny ze względu na skutki eksploatacji środowiska przez bazy danych dla AI – a takie plany wobec Argentyny mają technomagnaci. Istnieje też inne zagrożenie: wśród globalnych oligarchów zrodziła się idea tworzenia eksterytorialnych enklaw, na terenie których zawieszane są prawa państwa goszczącego (taki eksperyment istnieje w Hondurasie). Jak na razie Kongres zatrzymał tę inicjatywę.

José Antonio Kast, od marca prezydent Chile, też jest ultraliberałem gospodarczym. Wyborców przyciągnął hasłami rozprawy z przestępczością zorganizowaną, która w Chile jest zjawiskiem

eprasa.pl 1a9930715e

Argentyna: Javier Milei

Salwador: Nayib Bukele

względnie nowym, i zamknięciem granic dla uchodźców. Inaczej niż Milei, Kast ma osobowość nudnego biurokraty.

Skrajnie prawicową falę współtworzą ponadto Daniel Noboa w Ekwadorze, Rodrigo Paz w Boliwii, Keiko Fujimori w Peru, Nasry Asfura w Hondurasie, Laura Fernández w Kostaryce i Santiago Peña w Paragwaju.

Każdy z krajów ma swoją specyfikę, nie każdy z liderów jest w poglądach tak fanatyczny, a w ich wyrażaniu tak groteskowy, jak Milei czy De la Espriella. Niemniej każdy z nich i wszyscy razem są skutkiem społecznego nastroju i oczekiwań, jakie ogarnęły region w ostatnich latach. Czy po epoce rządów lewicy w Ameryce Łacińskiej znów przyszedł czas na prawicę?

Wahadło nie wystarcza

Latynoamerykańska prawica z lat 90. na pierwszym planie stawiała gospodarkę: dyscyplinę fiskalną, prywatyzację, wolny handel. Neoliberałowie – zarówno demokraci, jak i autokraci – zachwalali przewagi rynku nad etatyzmem, głosili teorię „przypływu, który podnosi wszystkie łodzie". Sugerowali, że polityka w zasadzie się skończyła, miało wystarczyć sprawne zarządzanie.

Odpowiedzią na nierozwiązane bolączki społeczne była tzw. różowa fala – egalitarne rządy stawiające w centrum polityki kwestie biedy i nierówności. Fala wzniosła się na przełomie stuleci i w ciągu kolejnych 25 lat przeszła przez większość krajów. Jej skutki były przeważnie pozytywne – boom surowcowy pozwalał lewicującym rządom na hojną politykę socjalną. Ale prób przebudowy systemu nawet nie podejmowano – przeważnie w obawie przed starciem z oligarchami mającymi za sobą, przynajmniej w niektórych krajach, wojsko.

Obecne sukcesy skrajnej prawicy nie są zwykłą zmianą w ramach demokracji. Wahadło jako metafora opisu tej zmiany nie wystarcza. Peruwiański politolog Alberto Vergara sugeruje, że skrajnie prawicowym przywódcom nie chodzi jedynie o bardziej konserwatywne reformy czy mniejszy udział państwa w gospodarce. Sprzeciwiają się oni politycznemu i społecznemu otwarciu, jakie towarzyszyło demokratycznym transformacjom. Sednem tych zmian było poszerzanie praw różnych grup i troska rządów o najsłabszych.

Vergara proponuje, by obecną falę nazywać po prostu reakcją. W gruncie rzeczy, jak twierdzi, to słowo – jakiś czas temu wyrzucone z wielu słowników politycznych – chwyta najlepiej naturę zjawiska. Dlaczego? Ponieważ sam rynek czy kapitalizm, owszem, ważne składniki ideologicznego pakietu, nie wyczerpują zbioru kluczowych komponentów ich tożsamości politycznej. Reakcjoniści chcą cofnąć zegar historii.

Strachy komunizmu

Ich filarem ideologicznym jest postawienie w centrum działań państwa polityki historycznej. Milei wychwala zbrodniczą juntę z lat 1976–83 i ma ochotę zlikwidować muzeum pamięci i praw człowieka w największym miejscu kaźni w Buenos Aires – ESMA, gdzie torturowano i zniknięto tysiące ludzi. Przywrócił starą nazwę Dnia Szacunku dla Różnorodności Kulturalnej – znów nazywa się Dniem Rasy. Gloryfikuje Krzysztofa Kolumba jako niosącego kaganek cywilizacji.

Kast złożył w Kongresie projekt ustawy o utworzeniu Muzeum Prawdy, które ma być przeciwwagą dla Muzeum Pamięci i Praw Człowieka upamiętniającego ofiary rządów junty wojskowej. Muzeum Prawdy ukaże dyktaturę Augusta Pinocheta w jasnych barwach i oczerni pokojową rewolucję Salvadora Allende z lat 1970–73. Kast gloryfikował już Pinocheta i nosił go na swoim sztandarze. „Gdyby Pinochet żył, głosowałby na mnie" – mówił w kampanii.

Bolsonaro publicznie chwalił pułkownika, który za dyktatury kierował tajnym ośrodkiem tortur – rażono tam prądem m.in. Dilmę Rousseff, wtedy bojowniczkę miejskiej partyzantki, później prezydentkę Brazylii. Dyktaturę z lat 1964–85 gloryfikował przy każdej możliwej okazji.

Burmistrz Limy przywrócił centrum stolicy pomnik Francisca Pizarra, kata rdzennej ludności – przeniesiony w 2003 r. w inne miejsce.

Staromodna nostalgia za przeszłością? Nie. Raczej – jak by powiedział Zygmunt Bauman – retrotopia, czyli utopia przeszłości. Oznacza zwrot nie tyle ku „starym, dobrym czasom" – wcale dobre nie były – ile ku wyidealizowanym, a przez to nieprawdziwym, obrazom przeszłości.

Reakcjoniści dostosowują repertuar polityki historycznej do specyfiki kraju. „Jednak za tymi różnicami – jak pisze „El País" – kryje się wspólna wola określenia na nowo, kto w pełni należy do wspólnoty oraz które grupy uzyskały w tej optyce zbyt duży wpływ, zbyt dużą widoczność lub zbyt wiele praw". Mówią o tym czasem wprost, a czasem nie wprost: to ubodzy, kobiety, rdzenni, afro, osoby LGBT.

„Walkę klas zastąpili wojną kulturową – pisze Patricio Fernández, znany ▶

© RAUL ARBOLEDA/AFP/EAST NEWS, PABLO PORCIUNCULA/AFP/EAST NEWS, RODRIGO ARANGUA/AFP/EAST NEWS, SAUL LOEB/AFP/EAST NEWS, MAYELA LOPEZ/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 1a9930715e

▶ chilijski pisarz i publicysta. – Oznacza ona nie tylko powrót do tradycyjnych wartości, rzekomo zagrożonych przez »wokizm«, oraz zastąpienie egalitarnej mentalności wiarą w wolny rynek i deregulację, lecz także zlekceważenie jakiejkolwiek złożonej refleksji, filozofii, sztuki. Lud, któremu – jak twierdzą – oddają głos, nie potrzebuje takich wyrafinowanych rozważań. Sami uważają się za wyrazicieli najbardziej pierwotnych, nieokiełznanych impulsów społecznych".

I wymachują widmem komunizmu, jakbyśmy nadal żyli w czasach zimnej wojny – jak powiada najciekawszy znawca tematu Pablo Stefanoni, historyk i eseista z Argentyny. Względnie – wytwarzają panikę moralną z powodu „zagrożenia islamizmem", np. w Argentynie, gdzie muzułmanie stanowią ok. 1 proc. mieszkańców.

Na razie niszczą

W dwóch książkach poświęconych reakcjonistom – „Dlaczego bunt stał się prawicowy" i „Widmo krąży po świecie" – Stefanoni twierdzi, że „współczesna reakcyjna machina wojny ideologicznej nie posiada centrum dowodzenia – jest być może czymś jeszcze gorszym: zdecentralizowanym, mniej lub bardziej skoordynowanym ekosystemem, który podważa progresywny zdrowy rozsądek, żywi się ksenofobią i rasizmem, sam je podsyca, a także promuje różne paranoje i – jak proponował swego czasu amerykański strateg Steve Bannon – »zalewa przestrzeń gównem«".

Ten ekosystem – jak twierdzi Stefanoni – łączy tradycyjne think tanki, cyfrowe bojówki, influencerów, kanały wideo, fora internetowe, kościoły ewangelikańskie, struktury rządowe i technooligarchów wrogich demokracji. Liderzy i ideolodzy nie mają jednego programu, czasem różnice między nimi są ogromne. Trump chroni cłami krajową produkcję, Milei chętnie by ją zlikwidował; Trump zamyka granice, Milei je otwiera, zwłaszcza dla kapitału, który chętnie wykupiłby ziemię pod przyszłe bazy danych dla AI.

Reakcjoniści – sądzi Stefanoni – tworzą raczej emocjonalną wspólnotę, wzmacniającą się nawzajem, niż wspólny projekt. Przynajmniej na razie. Kluczowe zdaniem Argentyńczyka jest to, że nie ograniczają wojny kulturowej do skończonego zbioru wartości czy praw, które chcieliby ustanowić. Oni podważają samą ideę społeczeństwa. „Na razie jednak skuteczniej zatruwają debatę publiczną, wzmacniają resentyment i wysadzają w powietrze umowy społeczne, które wydawały się trwałe, aniżeli budują nowy porządek. I to akurat jest dobra wiadomość".

Inna dobra jest taka, że nadal można ich pokonać przy urnach. Pytanie jak długo?

Grzechy lewicy

W jakim stopniu błędy samej lewicy napędziły reakcjonistów? Niektóre rządy różowej fali powieliły korupcyjne praktyki poprzedników, a kradnący idealista budzi większe rozczarowanie niż cynik z szeregów tradycyjnej polityki. To przypadek części liderów Partii Pracujących w Brazylii czy Cristiny Kirchner w Argentynie.

Rządom lewicy zabrakło skutecznej odpowiedzi na rozprzestrzenianie się gangów i karteli, a to kwestia, która żywo obchodzi wyborców tracących poczucie fizycznego bezpieczeństwa – w Limie, Buenos Aires czy Santiago de Chile. Reakcjoniści wygrali starcie o bezpieczeństwo w języku, nie w realu – wyjątek to Salwador, jednak ceną za poprawę bezpieczeństwa jest systematyczne gwałcenie praw człowieka. Zwycięzcy oferują spektakularne recepty – stany wyjątkowe, wojsko na ulicach – ale czy skuteczne?

Być może jeszcze większą rolę w porażkach lewicy odegrało osłabienie lewicowej kultury „na dole", która stanowiła o jej sile. Wraz z rządami egalitarystów ludzie rozeszli się do domów: skończyła się mobilizacja obywatelska; związki zawodowe odpuściły, instytucje kultury przysnęły. „Przecież wszystko załatwi nasz rząd".

Stefanoni sądzi ponadto, że lewica zaczęła wyżywać się w kwestiach tożsamościowych, zostawiając odłogiem ekonomię. Nie chodzi o to, by teraz wracała do polityki klasowej w starym znaczeniu, ale by raczej zakorzeniła swoje postulaty w życiowych potrzebach ludzi niezamożnych, np. w polityce mieszkaniowej czy służbie zdrowia.

Na ile do porażek lewicy przyczynił się „prawicowy internet"? Technooligarchowie sprzyjają reakcjonistom, ale też panuje zgoda co do tego, że „lewicowy internet" jest nudny. Dlaczego reakcjoniści są lepsi „w grę w polaryzację", czyli w emocje? Tropem może być to, że prawicowi ekstremiści docierają do instynktów, lewica – raczej do serca i rozumu. Z reakcjonistami przegrywa też prawica tradycyjna – w języku triumfatorów: „tchórzliwa". Instynkty wygrywają.

Warto zarazem pamiętać, że lewica wciąż rządzi w dwóch regionalnych potęgach: Brazylii i Meksyku. A w Kolumbii i Peru przegrała o włos. „Reakcyjna Ameryka (Łacińska – przyp. red.) nie stanowi jeszcze regionalnego ustroju ani nie jest nieuchronnym przeznaczeniem" – pisze publicysta „El País".

Przebierańcy

Nie wszyscy liderzy reakcyjnej fali przypominają Donalda Trumpa. Ale mało kto wątpi, że Amerykanin jest ich inspiracją i politycznym ojcem chrzestnym. Przemocowy język i militaryzm, celebrytwo, podważanie emancypacyjnych zdobyczy i całej progresywnej racjonalności. Tak jak on potrafią organizować emocje, zwłaszcza negatywne, a styl ich narcystycznego przywództwa zawiera pierwiastki kabaretu, cyrku, dworu, podrzędnego baru i stadionowych trybun.

W połowie lipca amerykański sekretarz stanu Marco Rubio zorganizował szczyt o nazwie „Odrodzenie politycznego terroryzmu" – spotkanie liderów z 66 państw, przed którymi roztoczył wizję odradzającego się rzekomo „lewicowego terroryzmu". Opowieść o rewolucyjnych grupach zbrojnych z lat 70. XX w., takich jak urugwajscy Tupamaros czy włoskie Czerwone Brygady, spuentował taką fantazją: „Dziś stajemy wobec nowej fali starego zła".

Na celowniku Rubio znalazły się organizacje antyfaszystowskie – polityczne, pokojowe; zbrojnych dziś nie ma. Lewicę określano tam jako „raka", którego trzeba zgładzić wszelkimi dostępnymi środkami.

Nie trzeba było czekać na echo z Południa. Javier Milei ogłosił, że mamy dziś do czynienia ze „studentami przebranymi za terrorystów, profesorami przebranymi za terrorystów, dziennikarzami przebranymi za terrorystów, badaczami..." itd. W zasadzie – lewica, progresywizm, może nawet cała nauka, to przedsionki terroryzmu.

„Lewicowy internet" szybko wyszukał nagranie przemowy gen. Jorge Videli, przywódcy argentyńskiej junty z lat 1976–83 – dowodzi ono, że Milei powtarzał niemal co do przecinka słowa zbrodniarza, który „zniknął" 30 tys. Argentyńczyków „przebranych za terrorystów". Jeśli da się coś powiedzieć, to i da się zrobić – to lekcja XX w. Latynoskie społeczeństwa czekają więc lata batalii.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

eprasa.pl 1a9930715e

© OSSERVATORE LIBERO/ZUMA PRESS/FORUM

Szturmowiec

Czy mówiący Putinem generał włoskich komandosów Roberto Vannacci zostanie nowym cezarem europejskiej alt-prawicy?

PIOTR PODEMSKI

Pewien eksces zjednoczył ostatnio w oburzeniu lewicową opozycję we Włoszech i prawicową premier Giorgię Meloni. W sieci pojawił się wygenerowany z użyciem AI filmik, w którym liderzy tej pierwszej pojawiają się jako przerażeni, skrępowani powrozami skazańcy na arenie Koloseum, a ta druga przygląda się widowisku z dodatkowym udziałem lwów i gladiatora dzierżącego narzędzia egzekucji w postaci sierpa i młota. Niespodziewanie jednak popkulturowy gest skierowanego w dół kciuka wykonuje tam – zgodnie z wolą rzymskiego ludu – muskularny i władczy samiec alfa w zbroi Cezara. To generał Roberto Vannacci, eurodeputowany i lider założonej na początku sierpnia partii Przyszłość Narodu (Futuro Nazionale).

Jeszcze trzy lata temu był chlubą włoskiej armii. Urodzony w 1968 r. w liguryjskim porcie La Spezia w rodzinie zawodowego oficera już w dzieciństwie poznał od podszewki liczne włoskie garnizony. Z dumą opowiada, jak na przedmieściach Rawenny od najmłodszych lat uczył się niezbędnej komandosowi zaradności, łowiąc ryby i nurkując bez sprzętu. Maturę, również za sprawą kolejnego przydziału służbowego ojca, zdawał już w Paryżu, nabierając nieco światowego sznytu. ▶

eprasa.pl 1a9930715e

▶ Początki kariery Vannacciego wiązały się ze wstąpieniem do prestiżowej Akademii Wojskowej w Modenie. Dalej były kolejne fakultety: studia strategiczne w Turynie, dyplomatyczne w Trieście i wojskowe w sojuszniczym Bukareszcie (przywiózł stamtąd żonę). W armii przeszedł całą ścieżkę kariery od – jak chętnie się przedstawia – „szturmowca" z sił specjalnych, poprzez dowództwo elitarnej brygady spadochronowej Folgore (Grom), aż po najwyższe stanowiska w Sztabie Generalnym. Kolejne awanse przeplatały się z licznymi misjami za granicą (od Somalii, Jemenu i Rwandy, poprzez Bałkany, aż po Irak i Afganistan) oraz licznymi odznaczeniami (m.in. amerykańska Legia Zasługi).

Hasła partii Przyszłość Narodu to „suwerenność", „cywilizacja rzymsko-katolicka", „zero tolerancji" oraz „remigracja".

© ALESSIA PIERDOMENICO/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Świat na opak

Przełomowym momentem w tym imponującym życiorysie okazał się jednak ledwie ponadroczny pobyt w Moskwie w charakterze attaché wojskowego. Nie ma oczywiście dowodów na kontakty Vannacciego z rosyjskimi służbami, ale zastanawiająco zbieżne z linią Kremla stają się wówczas jego sympatie i poglądy polityczne.

Wydalono go z Rosji wraz z liczną grupą włoskich dyplomatów w reakcji na analogiczny krok rządu w Rzymie po inwazji na Ukrainę w 2022 r. Już rok później pozostający w czynnej służbie Vannacci opublikował własnym sumptem książkę „Il mondo al contrario" (Świat na opak). Realia cywilizacyjne Zachodu poddał tam krytyce tak radykalnej, że nawet prawicowy minister obrony w rządzie Meloni, Guido Crosetto, uznał to za złamanie zasady apolityczności armii i zawiesił generała w służbie, odbierając mu część uposażenia.

W rezultacie Vannacci uznał się za ofiarę „systemu", w tym „łże-prawicowego" – jego zdaniem – rządu, i zapowiedział walkę o wyznawane idee. Z tego względu bywa zaliczany do uniwersum europejskiej alt-prawicy.

Stojąca za nim machina propagandowa konsekwentnie powtarza, że w skandalizującej książce i późniejszych wypowiedziach Vannacci głosi „zdrowy rozsądek" – „to, co wszyscy myślimy, ale czego boimy się powiedzieć". Poprawność polityczna wyklucza bowiem z debaty – jak wylicza generał – rzekomych putinowców, homofobów i rasistów, lecz także przeciwników ekologizmu i imigracji czy obrońców tradycyjnej rodziny.

To dlatego – zdaniem Vannacciego – mniejszości narzucają agendę większości, a zainteresowanie budzi wyłącznie to, co nienormalne. W szkole nie może wisieć krzyż, ale za to imigrant może bezkarnie gwałcić, gdyż należy założyć, że nie jest świadomy, iż w kulturze europejskiej gwałt to przestępstwo. W poszczególnych rozdziałach książki „szturmowiec" rozprawia się zatem po swojemu – „zdroworozsądkowo" i bezceremonialnie – z kolejnymi dogmatami Zachodu.

Ekologia to – jego zdaniem – fantasmagoria zepsutych dzieciaków wychowanych w luksusach, o jakich marzy rozwijająca się reszta świata. W rezultacie konsumpcja energii z dowolnych dostępnych źródeł, głównie kopalnych, będzie globalnie rosnąć, a Europa nie jest w stanie tego zatrzymać, choćby nawet ekolodzy „zrezygnowali z kilku pryszniców".

Podobnie zgubna – według Vannacciego – okazała się wiara Zachodu w wielokulturowość. Nawiązując znów do własnego doświadczenia kultur Afryki i Azji w ramach operacji pokojowych, generał przekonuje, że mieszanie się kultur i narodów prowadzi nieodmiennie do napięć społecznych oraz fizycznych starć na tle religijnym czy rasowym (nawet w demokratycznej Ameryce), gdyż „kultury nie integrują się pokojowo, ale jedna zwycięża, a inna przegrywa".

Jako wrogów tradycyjnej rodziny, w jakiej się wychował i jaką stworzył swoim córkom, wskazuje komunistów, feministki, ruchy LGBT czy programowo bezdzietnych miłośników własnego „psiecka". Zdaniem Vannacciego to zamach na naturalny porządek rzeczy – na „normalność", która istnieje i „nie można jej negować w imię sztucznej inkluzywności", jak czyni m.in. „ideologia gender" i „propaganda przeciw macierzyństwu pojmowanemu jako niewola kobiety", co prowadzi Europę do demograficznej katastrofy.

W osobnym rozdziale lży „homoseksualistów" („Normalni to wy nie jesteście! Pogódźcie się z tym!"), przyrównując ich do „masochistów, wegan, zjadaczy psów czy kotów" czy „innych ekscentryków". Równocześnie występuje zdecydowanie w obronie – również jego zdaniem zohydzanych przez mainstream – wartości patriotycznych i symboli, takich jak hymn i sztandar, za który narażali życie jego podkomendni.

Rozpętamy piekło!

Wszystkie te mądrości generała wywołały już w 2023 r. lawinę oburzenia ze strony społeczności LGBT, społeczeństwa obywatelskiego (w tym środowisk antyfaszystowskich kombatantów-partyzantów) czy – nie tylko lewicowych – intelektualistów i polityków. Tylko niektórzy satyrycy dowcipkowali, że Vannacciemu musiał się kiedyś zaciąć spadochron.

Z chóru krytyki wyłamał się lider skrajnie prawicowej Ligi, wicepremier Matteo Salvini. Najpierw zadeklarował potrzebę zapoznania się z publikacją generała (ćwierć miliona sprzedanych egzemplarzy), następnie wsparł autora w imię walki o wolność wypowiedzi przeciw dyktaturze politycznej poprawności, by ostatecznie zaprosić go na listy swej partii w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Pozbawiony skrupułów Salvini – trafnie, jak się okazało – kalkulował, że skandal wokół Vannacciego stanie się dla Ligi „politycznym złotem". W eurowyborach z czerwca 2024 r. generał okazał się najpopularniejszym kandydatem partii, zbierając w całym kraju ponad pół miliona głosów (drugi wynik po Meloni). Nie stronił przy tym od dalszych kontrowersji i puszczał oko do środowisk postfaszystowskich

eprasa.pl 1a9930715e

(m.in. określając Mussoliniego jako „męża stanu”, który „zrobił też dobre rzeczy”). A na koniec najważniejszego wiecu, parafrazując scenę z filmu „Gladiator”, obiecał zwolennikom: „Na wasz sygnał – rozpętamy piekło!”.

Chociaż Vannacci lansował dość przewidywalną u niego wizję Unii Europejskiej jako „kompanii komandosów”, w której nie wolno niwelować różnic, ale trzeba wykorzystywać osobisty potencjał każdego członka, by stworzyć wszechstronny oddział, on sam nie okazał się lojalnym graczem zespołowym. Jego kariera w ramach europarlamentarnej frakcji Patrioci za Europą została zablokowana ze względu na głoszone ksenofobiczne poglądy. Ostatecznie miał prawo poczuć się zagrożony nawet Salvini, któremu życzliwi szeptali, że Vannacci próbuje odebrać mu przywództwo w partii.

Pomimo solennych zapewnień o lojalności wobec Ligi w czerwcu 2026 r. w Rzymie na bazie stowarzyszenia Świat na Opak odbył się kongres założycielski własnej partii generała Przyszłość Narodu. Jej program aż skrzy się hasłami, takimi jak „suwerenność”, „Włosi na pierwszym miejscu”, „cywilizacja rzymsko-katolicka”, „zero tolerancji” czy „remigracja”.

Wojna o pokój

Na jakie poparcie może liczyć Vannacci jako przedstawiciel „prawdziwej prawicy” we Włoszech rządzonych przez prawicowy rząd Meloni? Włoskie słowniki odnotowały już neologizm *vannaccismo*, a z sondaży wynika, że w warunkach nieustającego szumu medialnego partia „szturmowca” notuje poparcie rzędu 5–8 proc. Jego wkroczenie do włoskiej polityki co najmniej komplikuje więc sytuację prawicowej koalicji rządzącej (druga siła na prawicy).

Głębszy problem polega natomiast na tym, że mimo błyskotliwej natowskiej kariery i biegłej znajomości wielu zachodnich języków, z angielskim i francuskim na czele, u Vannacciego niepokojąco brzmią treści zwykle zapisywane cyrylicą. Nie dość, że generał wyszydza *en bloc* wartości zachodniej demokracji liberalnej w sposób, jakiego nie powstydziliby się czołowi ideolodzy Kremla. Dodatkowo wychwala osobiście Władimira Putina, dzięki któremu rzekomo w Rosji nieporównanie poprawił się dobrobyt ludności, poziom szkolnictwa, opieki zdrowotnej i bezpieczeństwa.

Jak wielu Włochów, przeważnie radykałów z obu stron politycznego spektrum, Vannacci ulega egzotycznemu czarowi dalekiego mocarstwa stwarzającego kuszącą alternatywę wobec znanego i budzącego rozczarowanie demokratycznego (nie) ładu. Wzywa, by w czysto merkantylnie pojętym interesie narodowym wznowić relacje dyplomatyczne i wzajemnie korzystną wymianę handlową z Rosją, zaprzestać udzielania pomocy Ukrainie, a z Moskwy brać przykład w wielu sprawach, takich jak kontrola nielegalnej imigracji, walka z przestępczością czy zagospodarowywanie odsłanianej wskutek zmian klimatu Arktyki.

Na razie Vannacci pozostaje kolejnym radykalnym krzykaczem na marginesie europarlamentu, ale wiele mówi o naszych czasach fakt, że pretendent do roli samca alfa włoskiej polityki ma Europie do zaoferowania jedynie kapitulację wobec Rosji i jej „wartości”.

PIOTR PODEMSKI

REKLAMA

kameleon
jeden program, wiele korzyści

ŁAPP PUNKTY ZA ZAKUPY!

TERAZ KAŻDA ZŁOTÓWKA SIĘ LICZY!

Zbieraj punkty i wymieniaj je na bony na zakupy - do wykorzystania w naszych punktach sprzedaży w miastach i na lotniskach - lub nagrody za 1 grosz.

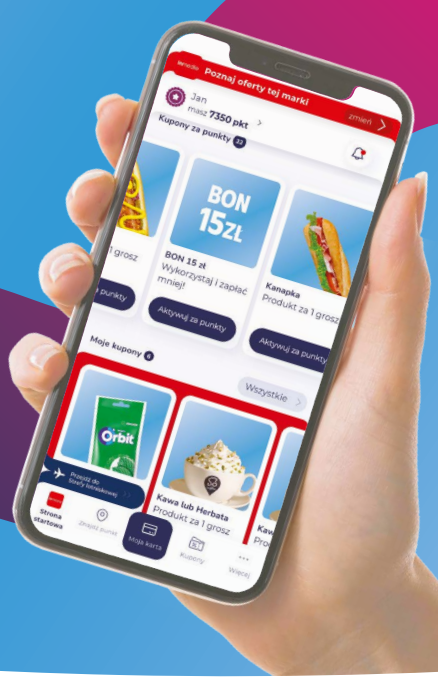

WIĘCEJ WYDAJESZ – WIĘCEJ ZYSKUJESZ!

Każda wydana złotówka przybliża Cię do awansu na wyższe poziomy, na których czeka Cię jeszcze więcej korzyści: lepszy przelicznik punktowy za Twoje zakupy, dodatkowe bony rabatowe na zakupy oraz ekstra punkty.

ZBIERAJ, WYMIENIAJ I OSZCZĘDZAJ Z KAMELEONEM

inmedio RELAY 1 minute So coffee aelia DUTYFREE

i wiele innych

Więcej szczegółów na: programkameleon.pl

eprasa.pl 1a9930715e

Kot i kat

Te zwierzęta są niebezpieczne dla innych gatunków, często zagrożonych wyginięciem. To w dużej mierze wina człowieka. On zaś decyduje: zabójcę należy wyeliminować.

ROBERT JURSZO

Cyraneczka rdzawa, najrzadszy ptak wodny w Nowej Zelandii. U góry: dziki kocur nazwany Dziewięć Żyć (zdjęcie z fotopułapki) przez trzy lata upolował ok. 30 cyraneczek wypuszczonych w ramach programu reintrodukcji.

© MP, ALAMY/BE&W

eprasa.pl 1a9930715e

Cyraneczka rdzawa, zwana po maorysku pāteke, jest endemitem. Ta specjalistyczna nazwa określa gatunki, które występują w jednym konkretnym miejscu na świecie. W tym przypadku – w Nowej Zelandii. Pāteke jeszcze 200 lat temu była najpowszechniejszą kaczką w tym kraju. Zamieszkiwała wilgotne lasy, rozległe bagna i moczary, leniwie płynące rzeczki, a także jeziora i ujścia rzek. Polowania i intensywne osuszanie bagien na potrzeby rolnictwa sprawiły jednak, że większość jej siedlisk znikła. W 2000 r. dzika populacja tych rudobrązowych ptaków skurczyła się do zaledwie 700 osobników, które zamieszkiwały jedynie Great Barrier – czwartą co do wielkości wyspę Nowej Zelandii.

Pāteke znalazła się zatem na skraju wyginięcia. Na szczęście na początku stulecia ruszyły programy hodowlane, dzięki którym liczebność tego gatunku znacząco się zwiększyła. I choć nadal to najrzadszy ptak wodny w Nowej Zelandii, jego populacja liczy obecnie 2,5–3 tys. osobników. Udało się też stworzyć nowe stanowiska gatunku poza Great Barrier. W tym na półwyspie Purerua na Wyspie Północnej, gdzie 20 pāteke sprowadzono w ramach projektu Pest Free Purerua.

Wszystko szło zatem w dobrym kierunku. Do czasu, kiedy na półwysep przywędrował zdziczały kot domowy. Wtedy cyraneczek rdzawych zaczęło ubywać.

Nowozelandzki antybohater

Krępego szaropręgowanego kocura fotopułapka uchwyciła po raz pierwszy w 2023 r. Nazwano go Nine Lives, czyli Dziewięć Żyć, ponieważ kilkakrotnie zespół Pest Free Purerua był bliski złapania upartego łowcy, ale ten za każdym razem czmychał w wysokie trawy. Poza tym jego zachowania były nieprzewidywalne. Polował na pāteke w jednym miejscu, po czym nie pojawiał się tam przez kolejne trzy miesiące. Nie miał też stałych pór łowów: raz atakował o zmierzchu, innym razem o północy albo wczesnym rankiem, a zdarzało się, że i w ciągu dnia. Spryt i zuchwałość uczyniły go sławnym, na początku tego roku przyjechała nawet ekipa filmowa CNN, by nakręcić o nim krótki dokument.

Przez trzy lata na kocura czatowali myśliwi, próbowano go wabić różnymi przynętami. Rozbudowano też sieć fotopułapek. I w końcu 30 lipca jedna z nich przesłała na telefon komórkowy zdjęcie Dziewięciu Żyć schwytanego w klatkę-pułapkę. Jak podały nowozelandzkie media, połasił się na smażonego kurczaka oraz mięso z łososia i królika. Kosztowało go to życie – na miejsce wysłano myśliwego, który wykonał na nim wyrok.

Według danych przedstawionych przez Pest Free Purerua przez trzy lata Nine Lives upolował przynajmniej 30 cyraneczek rdzawych wypuszczonych w ramach programu reintrodukcji: 15 z 20 w 2023 r. oraz 15 z 20 w 2024 r. To znaczy, że w tak krótkim czasie mógł zabić 1 proc. całej populacji tego gatunku, a mówimy przecież tylko o jednym kocie. Do tego sekcja jego zwłok wykazała, że w menu tego supermyśliwego znajdowały się również pisklęta ptaka kiwi oraz jaszczurki.

Decyzja o zabiciu Nine Lives oburzyła wielu Nowozelandczyków. Jednak Andrew Mentor, koordynator Pest Free Purerua, jej bronił. „Kochamy nasze koty domowe i nie chcemy ich krzywdzić. Jeśli jednak chodzi o te zdziczałe, to musimy je usuwać, ponieważ jest ich w środowisku bardzo wiele" – zaznaczył, podkreślając, że właśnie tego wymaga ochrona gatunków zagrożonych.

Zwierzę polityczne

Historia Dziewięciu Żyć jak w soczewce pokazuje problem, jaki Nowa Zelandia – choć nie tylko ona – ma z kotami domowymi. Z jednej strony Nowozelandczycy niewątpliwie darzą koty dużą sympatią. Według danych z „New Zealand Pet Data Report", opublikowanego w 2024 r. przez organizację Companion Animals New Zealand, koty mieszkają w aż 40 proc. gospodarstw domowych i jest ich między 1,19 a 1,32 mln.

Z drugiej strony *Felis catus* jest tam uznawany za jeden z najgroźniejszych gatunków inwazyjnych. Zawleczone przez kolonistów na wyspy obce zwierzę od momentu swojego przybycia sieje spustoszenie w lokalnej faunie, przyczyniając się w ten sposób do degradacji naturalnych ekosystemów. Najgroźniejsze są koty zdziczałe, takie jak Nine Lives, których liczebność według danych rządowych jest szacowana na ponad 2,4 mln osobników. Urodziły się w środowisku naturalnym, z dala od człowieka, i żyją na własną łapę, polując na wszystko, co są w stanie złapać. Poza kiwi czy cyraneczką rdzawą w ich jadłospisie jest np. nietoperz wąsonos mniejszy. Nowozelandzki resort środowiska podaje, że koty są w stanie w tydzień uśmiercić aż 100 osobników w jednej tylko lokacji, w okolicach miasta Ohakune, a to gatunek zagrożony wyginięciem. Najsłynniejszą ofiarą pozostaje łazik wyspowy – nielotny ptak ze Stephens Island, który został wybity na przełomie XIX i XX w. (miał to zrobić tylko jeden kot Tibbles, należący do latarnika, ale to mało prawdopodobne). Problem w tym, że tutejsza, w ogromnym stopniu endemiczna, fauna przez dziesiątki milionów lat ewoluowała bez obecności lądowych ssaków drapieżnych, więc nie potrafi się przed nimi bronić. Zresztą kłopotem są nie tylko koty, ale również inne inwazyjne na Nowej Zelandii gatunki: zdziczałe psy domowe oraz sztucznie wprowadzone zwierzęta dzikie, takie jak szczur śniady czy kitanka lisia.

Wszystko to sprawia, że w Nowej Zelandii kot jest tematem politycznym. W listopadzie 2025 r. rząd włączył *Felis catus* do listy celów strategii „Predator Free 2050", która zakłada usunięcie do tego roku z Nowej Zelandii inwazyjnych ssaków drapieżnych. Takie plany były już kilka lat wcześniej, ale napotykały opór organizacji prawno-zwierzęcych oraz części społeczeństwa. Jednocześnie środowiska przyrodnicze i ekologiczne krytykowały państwo za brak zdecydowania w tej sprawie. W 2025 r. rząd przeprowadził konsultacje społeczne, w których aż 90 proc. uczestników opowiedziało się jednak za objęciem strategią również kotów. To oczywiście nie oznacza, że wszystkie te zwierzęta mają zostać zabite. Te żyjące w domach mogą czuć się bezpiecznie – usuwane są tylko osobniki zdziczałe.

Mordercza inteligencja

Na poziomie lokalnym akcje likwidacyjne były już realizowane. Jedna z nich wzbudziła ostre kontrowersje. W 2023 r. organizatorzy zawodów myśliwskich North Canterbury Hunting Competition wpadli na pomysł, by w ramach konkursu łowieckiego wydzielić kategorię dziecięcą – dla uczestników do 14. roku życia. Najmłodsi konkurowaliby w niej o to, kto zabije najwięcej kotów. Zwycięzca miał dostać 250 dol. nowozelandzkich, dziecięcy motocykl terenowy marki Honda oraz tytuł Junior Hunter. Nie dostał jednak – zaprotestowały organizacje prozwierzęce, o sprawie szeroko informowały nie tylko nowozelandzkie media, i to w tonie ▶

eprasa.pl 1a9930715e

▶ zdecydowanie krytycznym. Ostatecznie z konkursu dla dzieci zrezygnowano i do zdziczałych kotów strzelali tylko dorośli (ubili łącznie 240 osobników). W kolejnych latach w ramach North Canterbury Hunting Competition dzieci mogły jedynie rozstawiać żywołapki i sprawdzać, czy nie złapał się w nie jakiś mruczek.

Taryfy ulgowej zdziczałym kotom nie daje również Australia, która ma z nimi problem podobny jak Nowa Zelandia. Efektem rządowego planu z lat 2015–20 była śmierć 1 mln zdziczałych kotów. Prawdopodobnie, bo wszystkich ofiar się nie doliczono: główną metodą było zrzucanie trutki z helikopterów, więc nie jest jasne, ile zwierząt ją zjadło. Zabójczy posiłek został przygotowany specjalnie na tę akcję przez weterynarza Dave'a Algara, którego nieżyczliwi zaczęli nazywać Doktorem Śmiercią. Zawierał mięso kangura, tłuszcz z kurczaka, zioła oraz toksynę 1080, czyli fluorooctan sodu. Duża część rodzimych australijskich zwierząt jest na nią odporna, więc jej użycie uznano za względnie bezpieczne, choć nie do końca selektywne, bo „kiełbaska" była groźna np. również dla psów dingo. Z tego powodu później chętnie stosowano inną trutkę, PAPP. W tym przypadku toksyna była zamknięta w twardej kapsułce. Zauważono, że część rodzimych zwierząt raczej rozgryza smaczną dla nich przynętę i zjada mięso, a samą kapsułkę zostawia w spokoju. Natomiast koty połykały całość, a otoczka toksyny rozpuszczała się w żołądku.

Jednak chyba najbardziej zaawansowanym wytworem antykociej morderczej technologii jest Felixer, opracowany przez firmę Thylation. To urządzenie w kształcie skrzynki, które dzięki AI rozpoznaje kota, a następnie spryskuje go toksycznym żelem. Kot zaczyna się wylizywać i po kilku godzinach jest martwy. Felixer zasila energia słoneczna, trzeba tylko uzupełniać naboje z trutką.

Australia też ma problem ze zdziczałymi kotami. W latach 2015–20 wytruto ich tu milion.

Problem globalny

Dla kogoś mieszkającego w Polsce takie metody byłyby trudne do zaakceptowania. Trzeba jednak wziąć pod uwagę to, że unikatowa przyroda obydwu krajów w ogromnym stopniu ucierpiała – i cierpi nadal – przez kota (ale też inne gatunki inwazyjne).

Oczywiście problem inwazyjności kota nie dotyczy tylko Nowej Zelandii, Australii czy w ogóle Oceanii. Jest globalny. Przykładowo ofiarą tych zabójców jest *Conolophus marthae*. Ta krytycznie zagrożona jaszczurka nie ma polskiej nazwy gatunkowej, ale po tłumaczeniu z angielskiego mogłaby ona – nieco barokowo – brzmieć: różowy legwan lądowy z Galapagos (ang. *Galápagos pink land iguana*). Gad ten przez Międzynarodową Unię Ochrony Przyrody (IUCN) jest kwalifikowany jako krytycznie zagrożony: ostało się ok. 200 osobników, żyją tylko na jednej wyspie archipelagu – Isabela. Podczas badań prowadzonych w 2022 r. fotopułapki wykryły, że w młodych, dopiero co wyklutych z jaj jaszczurkach gustują właśnie koty.

Inwazyjność tych zwierząt jest też dokuczliwa w miastach. W 2022 r. w „Biological Invasions" ukazał się artykuł przedstawiający wyniki badania w meksykańskim Xalapa. Wzięło w nich udział 120 kotów tzw. wychodzących z 44 domów, ich opiekunów poproszono, by przez trzy miesiące zbierali upolowane przez nie ofiary. Różnorodność okazała się bardzo duża: 88 gadów, 57 bezkręgowców, 44 płazy, 38 ptaków i 19 ssaków. Łącznie: 246 ofiar.

A jak sytuacja wygląda w Polsce? W styczniu 2019 r. w „Global Ecology and Conservation" ukazało się badanie dr Dagny Krauze-Gryz z Uniwersytetu Warszawskiego, dr. Jakuba Gryza z Instytutu Badawczego Leśnictwa i dr. Michała Żmihorskiego z Instytutu Biologii Ssaków PAN (dziś wszyscy są profesorami) dotyczące kotów wiejskich. Naukowcy oszacowali, że mogą one zabijać i zjadać rocznie nawet 631 mln ssaków i niemal 144 mln ptaków. „Wiadomo było, że koty zabijają dużo, ale prezentowane przez nas estymacje nawet nas zaskakują. Zawsze w takich sytuacjach jest problem z precyzją oszacowań, ale dane, które mamy, wskazują na takie właśnie liczby" – komentował wtedy w rozmowie z PAP Michał Żmihorski. Publikacja badania spowodowała duży ferment w środowisku miłośników kotów. Podobnie było w czerwcu 2022 r., gdy Instytut Ochrony Przyrody PAN umieścił *Felis catus* w bazie gatunków obcych, kwalifikując go właśnie jako inwazyjny. Trzeba jednak podkreślić, że ten wpis nie powoduje żadnych skutków prawnych: kot domowy nie znajduje się ani na polskiej, ani na unijnej liście inwazyjnych gatunków obcych. Znalazł się jednak w gronie 100 najgroźniejszych gatunków inwazyjnych świata, zidentyfikowanych przez Grupę Specjalistów ds. Gatunków Inwazyjnych (ISSG) przy Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN).

Ostatnie życie

Mimo wszystko zabijanie tych zwierząt z powodu ich inwazyjności budzi sprzeciw nawet tam, gdzie dały się naprawdę we znaki lokalnej przyrodzie. I nic w tym dziwnego. Kot nie jest inwazyjny sam z siebie – to ludzie wprowadzili go w ekosystemy, które nie były na niego gotowe, tak jak inne gatunki inwazyjne. Cenę za to płaci swoim życiem właśnie on – i w tym jest ewidentna dwuznaczność moralna.

Niestety, trudno sobie wyobrazić, by w Australii czy Nowej Zelandii, gdzie zdziczałe koty liczy się w milionach, a straty w rodzimych i coraz rzadszych, często unikatowych w skali globu, gatunkach rosną, dało się tego uniknąć. Oczywiście można by z tego zrezygnować, ale w tym przypadku nie ma takiego wyboru, przy którym udałoby się nie ubrudzić sobie rąk. Gdyby Nine Lives nie złapano i nie zastrzelono, dalej wyjadałby pāteke.

Dlatego – na co zwracają uwagę zarówno przyrodnicy, jak i ruchy prozwierzęce – ważne jest, by koty zostawały w domach. Wbrew opowieściom o tym, że potrzebują wolności, na zewnątrz – szczególnie w mieście – są w niebezpieczeństwie: mogą wpaść pod samochód, zostać zagryzione przez psy czy zjeść coś trującego. Wskazana jest także sterylizacja kotów, żeby w przypadku ucieczki lub np. utraty opiekuna nie rozmnażały się jako bezdomne, bo ich potomstwo będzie już zasilało grono zwierząt zdziczałych. Niedawne badania dają też nadzieję, że po odpowiednio przeprowadzonym procesie adaptacyjnym nawet *feral cat* może się odnaleźć w azylu lub w domu i tam spędzić resztę swojego życia.

Nine Lives został wypchany i zakonserwowany przez taksydermistę. Będzie wykorzystywany do edukacji na temat szkód wyrządzonych dzikiej przyrodzie przez koty. Być może w ten sposób dostał jeszcze jedno, dziesiąte życie.

ROBERT JURSZO

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 1a9930715e

Było napojem bogów, darem i pieniądzem. Jego dzieje to zapis historii ludzkości. A dzięki badaniom DNA i najnowszym technologiom coraz więcej o nim wiemy. Ta wiedza może dziś pozwolić uratować czekoladę.

Z kakao przez świat

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W XI lub XII w. mieszkańcy Etowah w dzisiejszej Georgii urządzili wielką ucztę. Kości zwierząt, potłuczone naczynia i odpadki wyrzucono do jam, z których wcześniej wybierano ziemię na budowę pierwszego monumentalnego kopca-platformy. W 2017 r. Adam King i Terry Powis przedstawili analizę zachowanych pozostałości. Wykryli w nich związki występujące zarówno w kakao, jak i w miejscowym ostrokrzewie *Ilex vomitoria*, z którego liści przygotowywano pobudzający napój. Ostrożnie uznali wówczas, że chodzi o lokalną odmianę rośliny, nazywaną przez Europejczyków Black Drink. Dopiero najnowsze badania DNA rozstrzygnęły sprawę: na dwóch z trzech skorup zawierających zestaw tych związków znaleziono sekwencje charakterystyczne dla *Theobroma cacao*, czyli kakaowca właściwego. Autorzy analiz w „PLOS One" ogłosili, że to pierwszy bezpośredni dowód spożywania kakao w kulturze Missisipi.

Ziarna musiały przybyć z południa. Co prawda w Chaco Canyon w Nowym Meksyku znaleziono już ślady kakao, ale są tam też inne świadectwa kontaktów z Mezoameryką. W Etowah ich nie ma, zatem badacze nie wiedzą, skąd – i jaką drogą – kakao dotarło do Georgii. Analiza DNA pozwoliła na próbę rozstrzygnięcia tej kwestii, ale zachowanego materiału jest zbyt mało, by wskazać konkretny region. Pod uwagę brane są więc dwie drogi: bezpośrednia, przez sieci wymiany łączące południowy wschód dzisiejszych Stanów Zjednoczonych z Mezoameryką, albo okrężna, przez amerykański ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a9930715e

▶ Południowy Zachód. Na razie żadnej z tych możliwości nie potwierdzają inne znaleziska archeologiczne. Wiadomo jedynie, że ktoś uznał kakao za wystarczająco cenne, by transportować je na ogromną odległość – wskazuje na to kontekst znaleziska. Badacze wiążą bowiem wspólnotowe wznoszenie kopców z rytuałami odnowienia świata i umacniania więzi społecznych, sugerując, że kakao mogło pełnić w nich jakąś funkcję.

Zanim kakao trafiło do Georgii, miało już za sobą kilka tysięcy lat wędrówki.

Geny chodzą po górach

Udomowienie kakaowca długo przypisywano Olmekom, później zaś Majom. Z Mezoameryki pochodziły bowiem najstarsze znane wówczas ślady napojów z jego ziaren, przedstawienia związanych z nimi rytuałów oraz zapisy słowa *kakaw*. Genetyka od dawna jednak podpowiadała, że kolebki *Theobroma cacao* należy szukać bardziej na południe, ponieważ największa różnorodność genetyczna gatunku występuje w dorzeczu górnej Amazonki. Mocny dowód pojawił się w 2018 r. wraz z publikacją badań ze stanowiska Santa Ana-La Florida w południowo-wschodnim Ekwadorze. W tamtejszych naczyniach znaleziono trzy rodzaje świadectw używania kakao: jego DNA, ziarna skrobi oraz pozostałości teobrominy. Najstarsze miały ok. 5,3 tys. lat, co przesuwało początki udokumentowanej historii kakao o mniej więcej 1,5 tys. lat i tysiące kilometrów na południe. Nadal nie wiadomo za to, czy przygotowywano wówczas napój z nasion, czy wykorzystywano – np. do fermentacji – słodki miąższ otaczający ziarna.

W 2024 r. zespół Claire Lanaud opublikował w „Scientific Reports" analizę pozostałości z 352 zabytków ceramicznych należących do 19 kultur Ameryki Południowej i Środkowej. DNA wykrytego na nich kakao porównano z materiałem genetycznym współczesnych kakaowców. Okazało się, że tysiące lat temu ludzie przenosili rośliny na spore odległości. Nie był to prosty proces, w którym jedna udomowiona odmiana wyruszyła z Amazonii na północ. Kolejne społeczności wybierały interesujące je drzewa, zabierały nasiona lub sadzonki, przenosiły je w inne miejsca i sadziły obok kakaowców o odmiennym pochodzeniu, dzięki czemu populacje zaczynały się krzyżować. Na wybrzeżu Ekwadoru znaleziono np. ślady kakaowców genetycznie związanych z tymi występującymi po amazońskiej stronie Andów, co oznacza, że ktoś musiał je przenieść przez góry. Genom kakaowca jest więc zapisem historii rośliny i ludzkich podróży.

Kiedy kakao trafiło do Mezoameryki, miało już na koncie tysiące lat przemieszczania się, selekcji i krzyżowania. Tam zaś przestało być po prostu jednym z wielu produktów do spożycia – zostało napojem bogów, darem, symbolem prestiżu, a nawet pieniądzem.

O jego wyjątkowej pozycji u Majów świadczą ikonografia i pisma. Na malowanych naczyniach z I tysiąclecia pojawia się słowo *kakaw*, niekiedy wraz z informacją, dla kogo naczynie wykonano. W grobowcu w Río Azul w Gwatemali znaleziono nawet pojemnik oznaczony glifem kakao – wykryto w nim teobrominę.

Napój pity przez Majów nie przypominał jednak naszej gorącej czekolady. Ziarna fermentowano, suszono, prażono i rozcierano, a powstałą masę mieszano z wodą, czasami dodając kukurydzę, chili, wanilię lub inne składniki. Szczególnie ceniono pianę, którą uzyskiwano, przelewając napój z naczynia do naczynia – pokazują to przedstawienia uczt. Napój pojawiał się przy okazji ważnych wydarzeń, wymiany darów i ślubów.

Ale raczyły się nim nie tylko majańskie elity. W 2022 r. archeolożka Anabel Ford oraz chemicy Ann Williams i Mattanjah de Vries opisali wyniki analiz 54 fragmentów naczyń z okolic El Pilar na pograniczu Belize i Gwatemali. Ślady kakao pojawiały się w kontekstach ceremonialnych, ale znaleziono je też w zwykłych gospodarstwach. Różnica w jego spożywaniu między elitami a resztą społeczeństwa polegała zapewne na ilości, jakości i okolicznościach konsumpcji. Ta ciągłość jest nadal widoczna. Rowan Jacobsen rozpoczyna wydaną w tym roku po polsku książkę „Dzikie kakao. Wyprawa do źródeł czekolady" sceną z zapoteckiej wioski pod Oaxacą, gdzie starsza kobieta praży ziarna na glinianej patelni i przygotowuje z nich napój dawną metodą, bo jest on nadal częścią żywych tradycji Ameryki Łacińskiej.

Ekonomiczna wartość kakao wyraźnie ujawnia się w źródłach dotyczących Azteków. Ponieważ Tenochtitlan leżał zbyt wysoko, by kakaowce mogły rosnąć w jego okolicy, ziarna sprowadzano z nizin drogą handlową albo w formie

Ślady kakao zapisane w archeologicznych znaleziskach. (Meksyk, VII–VIII w. n.e.), naczynie na kakao z grobowca że naczynie było przeznaczone na rytualny napój z kakao

trybutu od podbitych prowincji. Były lekkie, stosunkowo trwałe, łatwo je było liczyć i dzielić. A zarazem miały realną wartość – dlatego funkcjonowały również jako środek płatniczy. Według cennika sporządzonego w 1545 r. w Tlaxcali indyczka kosztowała 100 ziaren kakao, jajko indycze – 3, a królik – 30. Z relacji z czasów konkwisty wynika, że na dworze Montezumy przechowywano ogromne zapasy ziaren – jako skarb, który można było wypić lub wydać. Dlatego kakao opłacało się przewozić setki, a nawet tysiące kilometrów. W 1502 r. Hiszpanie przechwycili w pobliżu dzisiejszego Hondurasu czółno handlowe, w którego ładunku znajdowały się również ziarna. Ferdynand Kolumb pisał później, że gdy część z nich się rozsypała, kupcy zbierali je z wielkim przejęciem. Europejczycy szybko zrozumieli, jak jest cenny, i napój zakorzeniony w kulturach obu Ameryk zmienili w globalny towar, który w ciągu kilku stuleci zmienił zarówno czekoladę, jak i kakaowce.

Sukces smakuje gorzko

W XVI w. Hiszpanie przejęli gotowy produkt wraz z technologią fermentowania, prażenia i rozcierania ziaren. Zaczęli jednak dostosowywać powstały z nich napój do europejskich gustów, przede wszystkim słodząc go cukrem.

© GETTY IMAGES (3)

eprasa.pl 1a9930715e

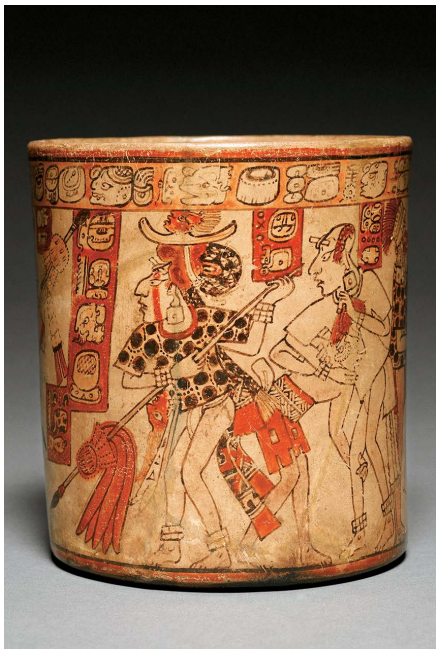

Od lewej: **płaskorzeźba przedstawiająca kapłana składającego ofiarę krzewowi kakaowca w Río Azul (Gwatemala, 300–600 n.e.), waza z motywem bitewnym – glify wokół krawędzi wskazują, pity przez majańską arystokrację (Gwatemala, 600–900 n.e.).**

Z Hiszpanii czekolada – nie tylko w formie napoju – trafiła na europejskie dwory. Stała się modna, a w XVII i XVIII w. dołączyła do kawy, herbaty i cukru – egzotycznych produktów, na które gwałtownie rósł popyt. Jej produkcja była jednak nierozerwalnie związana z kolonialną gospodarką plantacyjną: korzystano z pracy ludzi zniewolonych – a po formalnym zniesieniu niewolnictwa stosowano inne formy przymusu. Materialnym świadectwem tego systemu są m.in. wpisane w 2026 r. na listę światowego dziedzictwa UNESCO *roças* na Wyspach Świętego Tomasza i Książęcej – wielkie zespoły plantacyjne kawy i kakao związane z przymusową migracją i eksploatacją robotników.

Przełom nastąpił w XIX w.: nowe technologie pozwoliły oddzielać tłuszcz kakaowy od miazgi oraz wytwarzać – już w fabrykach – kakao w proszku i czekoladę w tabliczkach. Demokratyzacja konsumpcji oznaczała konieczność dostarczania coraz większych ilości surowca. Zaczęły się liczyć wydajność, odporność drzew i przewidywalność zbiorów – w produkcji coraz istotniejsze stały się wybrane, szeroko rozpowszechniane typy materiału hodowlanego. Amazońska roślina przewieziona za ocean stała się podstawą gospodarki Ghany i Wybrzeża Kości Słoniowej. Do dziś zresztą większość światowego kakao pochodzi właśnie z niewielkich gospodarstw w Afryce Zachodniej. Ale zysk z czekolady rozkłada się bardzo nierówno, a rolnicy pozostają najbiedniejszymi ogniwami całego łańcucha.

Masowa produkcja i upowszechnienie stosunkowo wąskiej puli gatunków ograniczyły różnorodność wykorzystywaną w wielu uprawach, co może zwiększać ich podatność na choroby i zmiany klimatu. Skala problemu stała się szczególnie widoczna w sezonie 2023/24, gdy światowa produkcja kakao spadła o 12,9 proc., a deficyt podaży wyniósł ok. 489 tys. ton. W Ghanie i na Wybrzeżu Kości Słoniowej niekorzystna pogoda nałożyła się na choroby drzew oraz starzenie się plantacji. Ceny kakao osiągały wówczas rekordowe poziomy. Teraz to, co przez dziesięciolecia przegrywało z dążeniem do wydajności i przewidywalności, współcześni naukowcy zaczynają traktować jako potencjalny ratunek dla czekolady.

Przyszłość szuka przeszłości

Pierwszy genom referencyjny *Theobroma cacao* opublikował w 2010 r. zespół Xaviera Argouta i Claire Lanaud. Sekwencjonowanie kolejnych populacji ujawniło jednak znacznie większą różnorodność genetyczną w obrębie gatunku. W 2024 r. Orestis Nousias ze współpracownikami przedstawili trzy wysokiej jakości genomy dzikich kakaowców z górnej Amazonii. Są one cennym materiałem do badań nad ewolucją i wykorzystaniem różnorodności kakao. W lipcu 2026 r. zespół Lamberta A. Motilala opublikował zaś w „PLOS One" wyniki badań 390 dzikich i półdzikich kakaowców z Peru i wyróżnił cztery nowe linie genetyczne.

Kakaowiec jest podatny na liczne choroby, dlatego hodowcy szukają wariantów związanych z naturalną odpornością. Zależy im także na zidentyfikowaniu cech pozwalających lepiej radzić sobie kakaowcom z suszą i wysokimi temperaturami. Jest jednak jeszcze jeden słaby punkt produkcji: zapylanie. Kwiaty kakaowca mają zaledwie kilka milimetrów, a pyłki przenoszą drobne owady, wśród nich muchówki z rodziny *Ceratopogonidae*, do której należy rodzaj *Forcipomyia*. W 2025 r. zespół Tonyi A. Lander, łącząc wyniki eksperymentów prowadzonych w Brazylii, Ghanie i Indonezji, wykazał, że ręczne zapylanie zwiększało plon średnio o ok. 20 proc.

Tyle że samo drzewo to nie wszystko. Przyszłość kakao zależy nie tylko od tego, czy poradzi sobie z patogenami oraz ze zmianami klimatu, lecz również od funkcjonowania całego środowiska uprawy. Stąd rosnące zainteresowanie systemami agroleśnymi, w których kakaowce rosną pod osłoną innych drzew. Cień może łagodzić skrajne temperatury i pomagać utrzymywać wilgoć, a większa złożoność siedliska sprzyja różnorodności biologicznej, choć wpływ zacienienia na choroby i plony zależy od lokalnych warunków i sposobu prowadzenia plantacji.

Współczesna genomika spotyka się tu z archeogenomiką, choć każda z nich odpowiada na inne pytania. DNA zachowane w dawnych naczyniach pozwala odtwarzać historię wędrówek i selekcji kakaowca, natomiast w genomach żyjących dziś dzikich, półdzikich i tradycyjnie uprawianych drzew naukowcy szukają cech, które mogą przydać się w przyszłości. Najnowocześniejsze technologie prowadzą więc badaczy tam, gdzie zaczęła się historia kakao. Amazonia jest gigantyczną biblioteką genetycznych rozwiązań wypracowanych przez ewolucję, z której hodowcy mogą korzystać, tworząc nowe kakaowce.

Historia czekolady zaczęła się od relacji człowieka z tropikalnym drzewem ponad 5 tys. lat temu. Od ludzi zależy, jak długo jeszcze potrwa.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl 1a9930715e

Pałac Staszica z fasadą przerobioną w stylu bizantyńsko-ruskim, koniec XIX w.

Czego Prus nie mógł napisać

Warszawa w „Lalce" to miasto nowoczesnych arterii handlowych i stolica polskiego kapitalizmu. Pisarz pominął wszystko, co związane z rosyjską okupacją. Nie mógł pokazać twierdzy, w której rosyjscy żołnierze i urzędnicy czuli się jak u siebie.

TOMASZ TARGAŃSKI

Choć Bolesław Prus przedstawił Warszawę drugiej połowy XIX w. z mistrzowskim wyczuciem realiów, całkowicie świadomie dokonał bardzo istotnej ingerencji w ówczesną rzeczywistość. Z krajobrazu swojego najsłynniejszego dzieła starannie „wygumkował" Rosjan i wszelkie ślady ich obecności w mieście. W powieści nie ma mowy o urzędującym generał-gubernatorze ani innych carskich urzędnikach. Ani razu nie pada słowo car, a cesarz tylko w kontekście Bonapartych i Wilhelma I. Wśród dziesiątek

eprasa.pl 1a9930715e

pierwszo- i drugoplanowych postaci nie ma ówczesnego władcy Aleksandra II Romanowa, ani jednego Rosjanina (wspomina się jedynie Suzina, kupca z Moskwy i partnera Wokulskiego w interesach).

Tymczasem gdybyśmy przechadzali się po Warszawie w dobie „Lalki", od razu zauważylibyśmy, że miasto jest częścią Imperium Rosyjskiego. Stan wojenny wprowadzony w Królestwie Polskim po stłumieniu powstania styczniowego nie został formalnie zniesiony, więc obecność carskich wojsk i policji była nieodłączną częścią krajobrazu. U schyłku XIX w. liczebność Rosjan w Warszawie – urzędników, żołnierzy, policjantów wraz z rodzinami – dochodziła do 50 tys. Język rosyjski dało się słyszeć wszędzie, a w oczy rzucała się cyrylica, jako że na mocy obowiązujących przepisów nazwy ulic i szyldy reklamowe musiały być dwujęzyczne.

Rosyjskie dzielnice

Na ulicach roiło się od rosyjskich mundurów. Brodaci carscy generałowie jeździli dorożkami w obstawie Kozaków z nahajkami. Gdzieniegdzie można było zobaczyć formacje egzotycznych Czerkiesów w wysokich baranich czapkach, z zakrzywionymi szablami u boku i kindżałami za pasem. Najszerzej rozpoznawalnym – i najbardziej znienawidzonym elementem codzienności – był niebieski mundur owianej złą sławą carskiej policji politycznej, czyli Korpusu Żandarmów. Obok wojskowych pełno było także mundurów cywilnych, ponieważ w całym Imperium Rosyjskim wszyscy urzędnicy, od gubernatora po szeregowego pracownika biblioteki, zobowiązani byli nosić uniformy, zazwyczaj w formie fraka z wysokimi sztywnymi kołnierzami na wzór wojskowy. Również profesorowie i studenci Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego mieli nosić „formę", czyli mundur, który pokazywał ich miejsce w hierarchii.

Josif Hurko, generał-gubernator Warszawy w latach 1883–94

Łazienki Królewskie, gdzie lubili spacerować bohaterowie „Lalki", były własnością i oficjalną rezydencją rodziny carskiej. Pełniły również funkcję koszar dla stacjonujących tam pułków kawalerii lejbgwardii. Krakowskie Przedmieście, gdzie Wokulski prowadził swój sklep, Aleje Ujazdowskie, gdzie znajdowała się kamienica Tomasza Łęckiego, i inne reprezentacyjne części miasta, stanowiły serce rosyjskiej Warszawy. Na przełomie lat 70. i 80. XIX w. stopniowo zatracały one swój polski charakter. Rosyjscy oficerowie i ich rodziny upodobali sobie bowiem te okolice, ponieważ stacjonujące niedaleko formacje gwardii dawały im poczucie bezpieczeństwa, a oficerowie mieli blisko do macierzystych jednostek. Aleksander Kraushar, historyk i mieszkaniec Warszawy tamtego okresu, pisał: „Spotykano tam wyłącznie rodziny Rosjan, niańki w kokosznikach (wysokich czepcach – przyp. red.) i jaskrawych szatach prowadzące przybrane w czerkieski kostium dzieci rosyjskie. Po trotuarach ulicznych snuły się tłumy czynowników w czapkach z szerokim, sztywnym rondem, ozdobionych znaczkiem właściwej dekasterii, w której służyli, bączkiem na lampasie i z obowiązkową laseczką w ręku".

Rosjanie zajmowali najlepsze mieszkania w prestiżowych dzielnicach, tworząc coś na kształt zamkniętej kolonii. Zaopatrywali się najczęściej w swoich sklepach, dokąd sprowadzano dla nich luksusowe towary z całego imperium: kawiory, tabakę, a nawet zapałki. Kraushar zauważył, że „mąki miejscowej nie kupowali, gdyż do ich wydelikaconego smaku przemawiała jedynie krupczatka". Dużą popularnością wśród Rosjan cieszył się słodkawy chleb Filipowa (piekarnia Filipowa była jedną z najlepszych w XIX-wiecznej Moskwie).

Stopniowo postępowała rusyfikacja przestrzeni. Wielu ważnym ulicom nadawano kolonialne, niezwiązane z lokalną tradycją nazwy, np. Erywańska (obecnie Kredytowa) albo hrabiego Kotzeube (dziś Fredry), na cześć generał-gubernatora z lat 1874–80. Władze carskie konsekwentnie nadawały miastu specyficznie rosyjską formę. W tym celu przebudowywano reprezentacyjne budynki, np. Pałac Staszica, nadając jego fasadzie cechy stylu bizantyńsko-moskiewskiego. Prus słowem nie wspomina również o prawosławnych cerkwiach ani pomnikach rosyjskiej chwały. Jednym z najbardziej bolesnych dla Warszawiaków był zlokalizowany na Placu Saskim (a później przeniesiony na Plac Zielony) pomnik ku czci „Polaków poległych za wierność swojemu monarsze" w 1841 r., czyli generałów, którzy przeciwstawili się powstaniu listopadowemu.

Hurko won!

Z wykreowanego przez Prusa krajobrazu Warszawy zniknął również Zamek Królewski. Była to bowiem oficjalna siedziba kolejnych generał-gubernatorów, najwyższych przedstawicieli cara w Królestwie Polskim. Sam zamek został już wtedy skutecznie zdesakralizowany jako symbol polskiej państwowości. Carscy namiestnicy, a później gubernatorzy, metodycznie pustoszyli jego wnętrza z najcenniejszych obiektów: portrety królów zamówione przez Stanisława Augusta wywieziono do Rosji, a prestiżową salę senatorską przekształcono w pomieszczenia dla wojska.

W długiej galerii generał-gubernatorów warszawskich na szczególnie złą sławę zasłużył sobie gen. Josif Hurko, pełniący tę funkcję w latach 1883–94. Dał się on poznać jako gorący zwolennik idei „obrusienija" narodów znajdujących się pod panowaniem dynastii Romanowów. W przeciwieństwie do swoich poprzedników stał się gorliwym wykonawcą wszelkich inicjatyw rusyfikacyjnych płynących z Petersburga. Antoni Zaleski, publicysta i wnikliwy obserwator życia politycznego, występując pod pseudonimem Baronowa XYZ, scharakteryzował Hurkę jako „surowego rygorystę" i „czystej krwi diełatiela, który nie poprzestaje na roli wykonawcy rozkazów, ale sam się o nie doprasza, sam występuje z inicjatywą". Jego prawą ręką był znienawidzony w Królestwie Polskim kurator Warszawskiego Okręgu Naukowego Aleksandr Apuchtin, który bezwzględnie rugował język polski z administracji i sądownictwa (stąd określenie noc apuchtinowska). Hurko dał się również poznać Warszawiakom jako pomysłodawca drastycznego przemalowania elewacji Zamku Królewskiego na kolor czerwony, co wywołało oburzenie Polaków.

Za czasów Hurki Zamek Królewski był miejscem balów, na które generał-gubernatorowa Maria Andriejewna zapraszała przedstawicieli polskiej arystokracji. W warszawskim światku towarzyskim darzono ją powszechną niechęcią ze względu na brak ▶

© DP(2)

eprasa.pl 1a9930715e

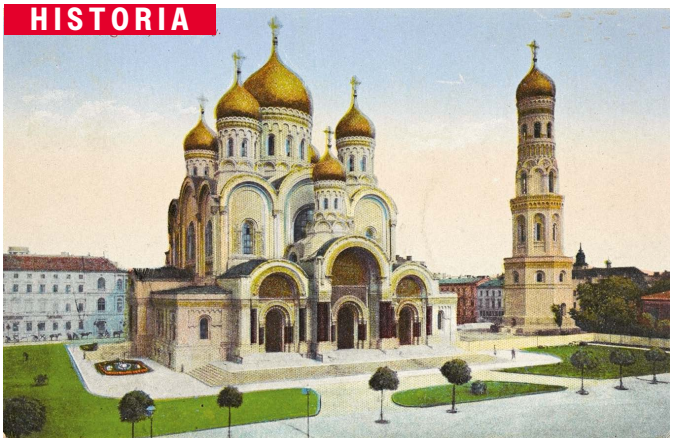

Dominujący nad okolicą sobór św. Aleksandra Newskiego wybudowany na Placu Saskim w latach 1894–1912 i jego 70-metrowa dzwonnica

▶ taktu, rusyfikatorskie zapędy oraz skłonność do korupcji. Szukano więc wszelkich sposobów, aby zaproszenia na organizowane przez nią spotkania odrzucać. Szczególnie źle odebrano rozesłane przez nią zaproszenie wydrukowane po rosyjsku, z datą zapisaną według kalendarza juliańskiego (zwyczajowo w Królestwie w takich okolicznościach obowiązywał język francuski, a daty zapisywano zarówno według kalendarza juliańskiego, jak i gregoriańskiego). Kiedy Hurko w 1894 r. odchodził ze stanowiska, był żegnany z wielką radością. Anonimowy autor ułożył z tej okazji satyryczny wierszyk: „Już opuszcza stary Hurko/ Wraz z Andrzeja podłą córką/ Nadwiślański tron/ Jadą spijać ciepłe wody/ Bo powiedział cesarz młody/ Ubirajties won!" (wynoście się – przyp. red.).

Wyjazdowi Hurków z Warszawy towarzyszył jeszcze jeden skandal. Polscy urzędnicy pracujący na linii Lublin–Kowel donieśli przełożonym, że w olbrzymich bagażach generał-gubernatorowej, które pakowali do wagonów towarowych, znajdowały się zrabowane z Zamku historyczne kominki wraz z wieloma wartościowymi antykami z komnat królewskich, w tym także z warszawskich Łazienek. Informacja o tym dotarła do dworu cesarskiego w Petersburgu, gdzie aby uniknąć skandalu i sprawę wyciszyć, nakazano wszystkie zrabowane dobra odesłać z powrotem do Warszawy.

Miasto wojska i kolei

Gdy mowa o obecności carskich wojsk, trzeba wspomnieć, że Warszawa była stolicą najdalej na zachód wysuniętego rosyjskiego okręgu wojskowego. Była też drugim po Petersburgu europejskim miastem w imperium pod względem liczebności garnizonu. Niemiecki historyk Malte Rolf ustalił, że w latach 1888–90 w Warszawskim Okręgu Wojennym na 1000 mieszkańców przypadało 43 żołnierzy (tj. 4,3 proc.), co dawało najwyższą gęstość rozmieszczenia wojsk w całym imperium. Pod koniec lat 70. XIX w., czyli wtedy, gdy rozgrywa się akcja „Lalki", władze carskie podjęły decyzję o przekształceniu Warszawy w twierdzę i rozbudowie fortyfikacji wokół niej. Było to podyktowane zawiązanym w 1879 r. dwuprzymierzem – sojuszem między Cesarstwem Niemieckim i Austro-Węgrami, który miał ostrze antyrosyjskie.

Z punktu widzenia carskiego dowództwa Warszawa była miastem wojska i kolei. Bazą logistyczną i punktem przeładunkowym do ewentualnej ofensywy przeciwko Niemcom. Była też w imperium Romanowów jedynym – obok Petersburga – miastem, gdzie stacjonowały pułki prestiżowej Lejb-Gwardii. Zdobne mundury gwardyjskich oficerów stały się stałym elementem modnych warszawskich miejsc, jak np. restauracja Hotelu Bristol. Oficerowie zwyczajowo zasiadali też w pierwszych rzędach na spektaklach opery i operetki. Byli znanymi wielbicielami wdzięków aktorek i baletnic – co wieczór składali na scenie kosze kwiatów dla swoich ulubienic i rzucali im do stóp bukiety.

Ale nie zawsze bywało tak wytwornie. Paweł Szuwałow, generał-gubernator w latach 1894–96, znany był z zamiłowania do pijaństwa i zabaw, szczególnie gdy do miasta przyjeżdżali członkowie rodziny panującej. Przy okazji jednej z takich wizyt były prezydent miasta Sokrat Starynkiewicz zapisał w swoim dzienniku „W nocy zażądano (...) baletnic dla wielkiego księcia Nikołaja Nikołajewicza. Oficerowie z nimi tańczyli, a wielki książę skoczył na stół i dyrygował. Szuwałow oddawał się rozpuście razem z oficerami". Carscy oficerowie regularnie wszczynali bijatyki i burdy w warszawskich lokalach. Organizowane regularnie „popojki", czyli wielkie picie wódki, kończyły się nocnymi eskapadami do restauracji, których punktem kulminacyjnym było tłuczenie serwisów i butelek. Tę swoistą manię rosyjskich oficerów, jak pisała Agata Tuszyńska, „znali warszawscy restauratorzy i specjalnie na tę okoliczność trzymali fajansowe naczynia i puste butelki przeznaczone na straty. Między sobą oceniali każde przyjęcie skalą stłuczonych talerzy".

W cieniu Cytadeli

„A tobą włada, miasto, Cytadela. Uszami strzyże kabardyński koń" – napisał Czesław Miłosz w „Traktacie poetyckim". Poeta przypomniał tym samym o innym niewygodnym symbolu rosyjskiego panowania, po którym również nie ma w „Lalce" śladu, mianowicie o Cytadeli Aleksandrowskiej (kilka wersów dalej Miłosz dosadnie nazwał Warszawę „lunaparkiem prywislanskich krajów").

Zbudowana po powstaniu listopadowym miała trzymać w szachu buntownicze miasto. W zasięgu jej dział znajdowało się całe Stare i Nowe Miasto, a na linii strzału z Cytadeli nie wolno było wznosić żadnych wysokich budynków. W latach masowych aresztowań jej kazamaty i inne obiekty wykorzystywano do przetrzymywania więźniów politycznych. Rosyjscy żołnierze nazywali ją Czystydielą. Samo hasło Cytadela funkcjonowało jako skrót myślowy, przywodzący na myśl represje: popularne były określenia, jak „wsadzono go do Cytli" albo „zapakowano go do dziesiątego". Najbardziej złowieszczym obiektem na terenie Cytadeli był X Pawilon, który służył jako centralne więzienie śledcze. W polskiej wyobraźni Pawilon funkcjonował jako polska Golgota albo grób dla wolnych.

Z punktu widzenia rozwoju przestrzennego Cytadela zahamowała rozbudowę Warszawy na wiele dekad, szczególnie w kierunku północnym. Kompleks wraz z rozbudowywanym systemem fortów wokół miasta „uwięził" Warszawę w ciasnych ramach i dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości możliwe stało się planowanie rozwoju miasta w tym kierunku. Niemniej Cytadela pozostaje do dziś najbardziej trwałą „pamiątką" po carskiej Rosji w Warszawie.

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia: Błażej Brzostek **„Wstecz. Historia Warszawy do początku"**; Aleksander Kraushar **„Czasy sądownictwa rosyjskiego w Warszawie"**; Malte Rolf **„Rządy imperialne w Kraju Nadwiślańskim. Królestwo Polskie i cesarstwo rosyjskie (1864–1915)"**; Agata Tuszyńska **„Rosjanie w Warszawie"**.

© POLONA

eprasa.pl 1a9930715e

Portret zbiorowy książąt mazowieckich, iluminacja z tzw. Kodeksu Świętosławów, XV w.

Przeszczep serca Polski

Dopiero 500 lat temu Mazowsze ostatecznie połączyło się z Królestwem Polskim. Od rozbicia dzielnicowego przez niemal cztery stulecia funkcjonowało jako kilka odrębnych księstw rządzonych przez Piastów.

RADOSŁAW LOLO

Gdyby nie inkorporacja, być może mielibyśmy na Mazowszu odrębne państwo. Tak się jednak nie stało. Zostały za to mity ciągnące się za regionem i jego tożsamością do dziś.

Mazowsze, które w XII w. Krzywousty przeznaczył dla swojego syna Bolesława Kędzierzawego, po zjednoczeniu Królestwa Polskiego w XIV w. pozostało poza jego granicami. Kazimierz Wielki skłonił do hołdu lennego książąt mazowieckich Siemowita III i Kazimierza I, a w 1386 r. książęta Janusz I i Siemowit IV (którzy władali odpowiednio wschodnim i zachodnim Mazowszem) złożyli hołd królom Polski Jadwidze i Władysławowi Jagielle.

Oznaczało to, że w przypadku braku męskiego potomka którejś z linii Piastów mazowieckich ich władztwo przechodziło na królów polskich. A linii było wiele, bo silnie rozrastający się Piastowie dzielili między siebie coraz mniejsze dzielnice. Na razie wszyscy cieszyli się potomstwem, ale monarchowie polscy czujnie monitorowali sytuację.

Kawałek po kawałku

Za czasów Kazimierza II Jagiellończyka pojawiły się okoliczności, by przejąć sukcesję: na początku 1462 r. niespodziewanie w krótkim czasie zmarli dwaj książęta Siemowit VI i Włodzisław II, synowie Włodzisława I, władającego zachodnią częścią Mazowsza. Obaj mieli po kilkanaście lat, żywota dokonali nagle i w niejasnych okolicznościach, nie mieli synów. Choć nawet Jan Długosz sugerował otrucie, sprawę wyciszono.

Pozostali Piastowie mazowieccy próbowali wprawdzie dochodzić sukcesji w czasie zjazdu z królem w Piotrkowie w listopadzie 1462 r., ale mieli zbyt mało argumentów. Po burzliwej dyskusji Mazowszanie opuścili obrady, a sąd królewski przyznał sporne ziemie Koronie. Miesiąc później w Gostyninie znany ze zdecydowania Kazimierz Jagiellończyk wystawił dokument o inkorporacji ziemi gostynińskiej. Kolejny wydał w lutym 1476 r. – potwierdził w nim włączenie do Korony ziemi sochaczewskiej. Wraz z Rawą i Gostyninem Sochaczew wszedł w skład województwa rawskiego, którego wojewoda zasiadł w senacie, szlachta zaś mogła cieszyć się przywilejami koronnymi.

Metodą faktów dokonanych przeprowadzono niedługo później inkorporację Mazowsza płockiego. Po śmierci księcia Janusza II w 1495 r. Jan Olbracht domagał się zwrotu księstwa płockiego na mocy prawa do sukcesji po bezpotomnie zmarłym księciu. Zwołał pospolite ruszenie przeciw próbującemu przeciwstawić mu się księciu Konradowi III Rudemu, a nawet pertraktował z wielkim mistrzem krzyżackim w sprawie pomocy zbrojnej. W sierpniu tego roku na czele pospolitego ruszenia król przybył na zamek płocki i szybko opanował dzielnicę.

Wobec tych militarnych kroków Konrad III nie zdecydował się na konfrontację, w której zresztą nie miałby szans. W czerwcu 1496 r. zawarł z królem ugodę, na mocy której Konrad III otrzymał w lenno księstwo czerskie z prawem dziedziczenia przez swych potomków, resztę zaś ziem mazowieckich w dożywotnie posiadanie. Jan Olbracht zatrzymał ziemie: płocką, płońską, zawkrzeńską i wiską.

Wraz z przejęciem Mazowsza płockiego królowie uzyskali także możliwość wpływu na obsadę dobrze uposażonego ▶

© POLONA

eprasa.pl 1a9930715e

▶ i wpływowego politycznie biskupstwa płockiego, co znacznie wzmocniło ich pozycję i dało możliwość kreowania przychylnych sobie mazowieckich elit. Dwie części Mazowsza zostały inkorporowane szybko, w toku stanowczych i sprawnych działań Jagiellonów. Zatem poza Królestwem Polskim pozostało już tylko Księstwo Mazowieckie, zajmujące znaczny obszar od Warszawy i Czerska po Łomżę.

Porozumienie z Koroną

Władający Księstwem Mazowieckim pod koniec XV w. Konrad III żonaty był trzykrotnie. Dopiero trzecia żona Anna z Radziwiłłów dała mu sukcesorów. Pierwsza na świat przyszła Zofia, która poślubiła palatyna węgierskiego Stefana Batorego. W 1498 r. urodziła się druga córka, Anna, której przyjdzie w dramacie inkorporacyjnym odegrać istotną rolę. Wreszcie na świecie pojawili się tak wyczekiwani synowie: Stanisław i Janusz. Sukcesja wydawała się zabezpieczona.

Konrad III zmarł w 1503 r. Regencję w imieniu synów objęła księżna wdowa Anna, której nie brakowało politycznej energii i efektywności. Udało się jej uzyskać od Aleksandra I Jagiellończyka prawo wzajemnej sukcesji po sobie dla małoletnich synów oraz nadania lenne ziem: warszawskiej, wyszogrodzkiej, zakroczymskiej, ciechanowskiej i łomżyńskiej. Wykupiła też zastawioną u władców polskich ziemię wiską. Kiedy jednak książę Stanisław w 1516 r. uzyskał wiek sprawny, Anna nie przekazała mu rządów. Zarzucano jej przy tym rozwiązłość, w którą miała wciągać synów. Wywołało to zbrojny opór mazowieckiej szlachty. Ta najechawszy dwór w Makowie Mazowieckim, zamierzała uprowadzić obu książąt i przekazać im władzę.

W zaostrzający się spór wmieszał się Zygmunt I. W 1518 r. zawarto kompromis oparty na współrządzeniu Anny i jej synów. Ostatecznie po krótkiej chorobie księżna niespodziewanie zmarła w 1522 r. na zamku w Liwie. Rozpoczęły się wspólne rządy Stanisława i Janusza. Wspierali oni Zygmunta I w ostatniej wojnie z zakonem krzyżackim i walkach przeciw Tatarom. Wdzięczny król na sejmie w Krakowie w 1523 r. przyznał im i ich męskim potomkom prawo dziedzicznego władania ziemiami warszawską, wyszogrodzką, zakroczymską, ciechanowską i łomżyńską.

Gdy sprawy władztwa Piastów mazowieckich nad księstwem wydawały się uporządkowane, nastąpił iście szekspirowski zwrot akcji. 8 sierpnia 1524 r., po szybko nasilającej się niezdiagnozowanej chorobie zmarł w Warszawie książę Stanisław. Nie zdążył się ożenić i nie pozostawił potomstwa. Niemal półtora roku później w podobnych okolicznościach odszedł z tego świata Janusz III. Zmarł w Warszawie w trakcie obrad sejmu mazowieckiego. Choć znany był z tężyzny fizycznej i potężnej postury, zabiła go także zagadkowa choroba. Ostatni z Piastów mazowieckich również nie pozostawił potomstwa.

Natychmiast pojawiły się plotki. Okoliczności zgonów obu książąt połączono z wcześniejszą śmiercią ich matki. Szukając podobieństw, motywów przynoszących bezpośrednie korzyści polityczne, a nie umiejąc dociec medycznych przyczyn, wysnuto oskarżenia o otrucie całej trójki. W atmosferze paniki mnożyły się podejrzenia. Pierwsze padły na wojewodziankę płocką Katarzynę Radziejowską. W młodości ponoć zapałała miłością do księcia Stanisława i chciała zostać księżną mazowiecką, ale na drodze stanęła jej księżna Anna i za to właśnie miała zostać otruta.

Podobna zemsta zawiedzionej w miłości Radziejowskiej sięgnąć miała także Stanisława i Janusza. Dla rozładowania napięcia w Warszawie szybko dokonano publicznych egzekucji. Radziejowskiej nie odważono się oskarżyć, ale związaną z nią szlachciankę Kliczewską i służkę tejże publicznie nago spalono żywcem na stosie.

Z kolei z osobą królowej Bony powiązano aptekarza i dostawcę leków na dwór książąt mazowieckich – Włocha Jana Alantsee. Ten zbiegł na jakiś czas z Polski, ale potem powrócił jako burmistrz Płocka, by wreszcie przeniósłszy się do Krakowa z sutym kapitałem, stworzyć tam podwaliny znanego patrycjuszowskiego rodu. Ze skarbu monarszego dziwnym trafem wypłacono pieniądze lekarzowi, aptekarzowi i kuchmistrzowi ostatnich książąt mazowieckich, przy czym innych dworzan pominięto. By uciąć spekulacje, Zygmunt Stary zlecił oficjalne dochodzenie. Przesłuchano świadków, a lekarz królewski dokonał sekcji zwłok Janusza. Wreszcie, po dwóch latach, 9 lutego 1528 r. ogłoszono, że: „książęta nie sztuką ani sprawą ludzką, lecz z woli Pana Wszechmogącego z tego świata zeszli".

Przyczyn zgonu książąt mazowieckich nie udało się ustalić do dziś. Trudno też oddzielić fantastyczne hipotezy i pomówienia od faktów. Informacje o wyniszczającym, hulaszczym trybie życia księżnej Anny i jej synów mogły być przesadzone i rozpowszechniane przez nieprzychylną im propagandę, chcącą uciszyć zwolenników skrytobójstwa. Pojawiła się też hipoteza o dziedzicznej w rodzie gruźlicy, ale ani Konrad III, ani stryjowie Stanisława i Janusza III na nią nie zmarli.

Kiedy w 1953 r. przy odbudowie warszawskiej Archikatedry św. Jana Chrzciciela natrafiono na szczątki książąt, dokładnie je przebadano. Przy użyciu dostępnych wtedy metod nie stwierdzono obecności arszeniku, co też nie jest przesądzające, jeśli wziąć pod uwagę znane w XVI w. trucizny roślinne. Nie wyklucza się też dziedzicznych chorób układu krążenia, wad serca ani tętniaków. Przyczyny zgonów ostatnich książąt mazowieckich i ich matki pozostają zagadką.

Inkorporacja

Po śmierci Janusza III wbrew ustaleniom, że sukcesorami Mazowsza mogą być potomkowie Piastów w linii męskiej, władzę objęła księżna Anna. Używała tytulatury książęcej i pieczęci zmarłego brata. Była to wyraźna próba sprzeciwu mająca doprowadzić przynajmniej do negocjacji. Jako kartę przetargową stawiano kwestię posagu dla księżnej.

Opór podtrzymywały przede wszystkim elity mazowieckie obawiające się utraty urzędów i pozycji politycznej, na czele z wojewodą mazowieckim Feliksem Brzeskim oraz kasztelanami: czerskim, wiskim i zakroczymskim. Zygmunt I zajęty był tłumieniem buntu w Gdańsku. Pod koniec sierpnia przyjechał uroczyście do Warszawy. Działał metodą faktów dokonanych, choć ostrożnie i koncyliacyjnie. Pochował Janusza III, a na wrzesień zwołał sejm mazowiecki. Tam osiągnięto kompromis. Król zapewnił Annie sowite uposażenie do czasu zamążpójścia i pozwolił jej rezydować na Dworze Mniejszym w Warszawie. 13 września 1526 r. szlacheccy posłowie złożyli przysięgę na wierność królowi polskiemu.

Tydzień później, dla zaspokojenia aspiracji mazowieckich elit i zachowania pozorów odrębności, ustanowiono unikatowy urząd wicesgerenta, którym nie przypadkiem został wojewoda mazowiecki Feliks Brzeski. Wicesgerent miał grać rolę swoistego namiestnika królewskiego na Mazowszu. Kompromis zatem zawarto,

eprasa.pl 1a9930715e

ale dla pewności król zostawił załogi w ważniejszych ośrodkach. Ostatecznie sejm mazowiecki przestał działać na mocy przywileju piotrkowskiego z 1529 r. Posłowie i senatorowie z Mazowsza weszli w skład sejmu koronnego, a szlachta mazowiecka uzyskała pełnię praw i przywilejów szlachty koronnej.

Przemyślaną polityką nominacji i nadań król zyskiwał coraz szersze poparcie lokalne. Pozostała jeszcze kwestia odrębności prawnej Mazowsza, bo tamtejsze prawo różniło się od prawa szlacheckiego w Koronie. Szlachcie mazowieckiej zależało na utrzymaniu tej odrębności. W efekcie po latach pracy w 1540 r. wypracowano tzw. zwód Goryńskiego, wydrukowany rok później, potwierdzający wiele odrębności. Dopiero w początkach panowania Stefana I Batorego przestano powoływać wicesgerenta.

Społeczne i gospodarcze wcielanie Mazowsza do Korony było jeszcze dłuższym procesem. Inkorporacja wzmogła emigrację z Mazowsza. Liczna szlachta osiedliła się – zwłaszcza po unii lubelskiej – na Rusi i Podlasiu. Mieszczanie z miasteczek mazowieckich emigrowali nie tylko do Warszawy, ale też do Krakowa i Lwowa. Zmieniły się ośrodki handlu. Spadło znaczenie małych miast położonych bliżej Wisły, jak Gostynin czy Gąbin, za to zyskały ośrodki nad Narwią: Ostrołęka i Łomża. Generalnie okres do lat 20. XVII w. był czasem prosperity Mazowsza.

Czarna legenda

Stosunkowo późna inkorporacja Mazowsza, jego odrębności nie tylko prawne, bo i specyficzna struktura szlachty, jej postawy religijne oraz stołeczność Warszawy szybko przyczyniły się do rozprzestrzenienia się negatywnych stereotypów na temat mazowieckiej szlachty (zwanej Mazurami). Satyryczne druki ulotne, anegdoty, przysłowia, noty pamiętnikarzy, zwłaszcza obcych, już w XVII w. wygenerowały cały arsenał zarzutów. Nawet Jan Chryzostom Pasek opisał w swoich „Pamiętnikach" tęgie lanie, jakie sprawił swym gościom, gdy ci zaczęli szydzić z gospodarza, wytykając mu mazowieckie pochodzenie.

Powszechnym zarzutem była ciemnota przekładająca się na osąd świata i fanatyzm wyznaniowy. Opowiadano o Mazowszanach, że gdy wyjeżdżali poza region i nie słyszeli już swej gwary, brali spotkanych za cudzoziemców. Wytykano, że mieszkaniec Mazowsza woli zabić, niż złamać post, że jest przekonany, iż Luter miał kopyta, a stąpając, pozostawiał na deskach wypalone ślady. Owa ciemnota miała się brać z biedy, bo, jak powiadano, gdy na Mazowszu pies położy się na zagonach w poprzek, to głowę ma na jednych włościach, tułów na drugich, a ogon już na trzecich. A w ogóle Mazowsze to górki, za nimi lasek, za laskiem piasek, a dalej znów górki itd.

Mazowszanie pojawiali się w staropolskich przysłowiach jako ludzie ciemni i fanatyczni, a przy tym sprytni i chciwi. Było to wynikiem rozrodzenia szlachty mazowieckiej, której znaczna część tak zubożała, że często nie miała poddanych. A w dobrach sieluńskich szlachcice byli wręcz poddanymi prepozyta (przewodniczącego kapituły) katedry płockiej – ewenement w skali Rzeczpospolitej.

Dodatkowo doszły zarzuty nadmiernego wpływu na wyniki elekcji przez licznie przybywającą do nieodległej Warszawy mazowiecką szlachtę. Stołeczność pozwalała też Mazowszanom na szybkie i łatwe kariery dworskie. Mawiano, nie bez zawiści, że sprytny Mazowszanin, przybywszy pieszo do stolicy, po roku ma już jako dworzanin konia, a po kilku latach jest królewskim koniuszym.

Do utrwalenia mitu przyczyniła się oświeceniowa publicystyka, chętnie wskazująca mieszkańców Mazowsza jako uosobienie fanatyzmu, ciemnoty i wstecznictwa przeciwnego reformom. Obraz ten umacniali w swych relacjach pamiętnikarze i dyplomaci cudzoziemscy.

Nieważne przy tym, że pruscy podróżnicy w podobnym duchu opisywali Bawarię, że Aleksander Dumas świadomie posłużył się czytelnym obrazem zacofanego Gaskończyka, opisując początki kariery d'Artagnana. Ważne, że utrwaliło to stereotyp o zapóźnionych cywilizacyjnie Mazurach, tak późno włączonych do Korony. Utrwalono ten obraz jeszcze mocniej w pracach pozytywistów, a i w PRL chętnie sięgano po negatywny wizerunek.

Dziś karta się odwraca, badania oparte na źródłach, a nie na przysłowiach, kreślą nowy obraz staropolskiego Mazowsza, które dumnie nazywa się sercem Polski.

RADOSŁAW LOLO

Z okazji 500. rocznicy inkorporacji Mazowsza do Królestwa Polskiego Muzeum Mazowieckie w Płocku przygotowało największą od lat wystawę poświęconą dziejom regionu w średniowieczu: „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego" (10.09–10.12.2026 r.).

© LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 1a9930715e

film

Wojna i pogoda 5/6

Niebo nad Normandią (Pressure), reż. Anthony Maras, prod. Francja, USA, Wielka Brytania, 100 min, w kinach od 11 września

Słynna rada Hitchcocka o trzęsieniu ziemi, od którego powinien rozpoczynać się każdy rasowy thriller psychologiczny, pasuje jak ulał do „Nieba nad Normandią". Choć jest to oparty na faktach, kameralny dramat wojenny rozgrywający się w zaciszu gabinetowym (dodatkowo adaptacja sztuki teatralnej Davida Haiga), kręci się wokół kaprysów pogodowych, od których zależy powodzenie największej operacji desantowej w historii mającej otworzyć drugi front w Europie podczas drugiej wojny światowej. Alianci pierwotnie zaplanowali ją na 5 czerwca 1944 r. Do akcji wyznaczono 24 tys. spadochroniarzy i żołnierzy piechoty szybowcowej oraz ok. 133 tys. żołnierzy sił specjalnych. Wspierać ich miały połączone siły amerykańskich, brytyjskich i kanadyjskich flot liczące ok. 7 tys. jednostek, w tym 1,2 tys. okrętów wojennych. Operacją D-Day zawiadywał słynny amerykański gen. Dwight Eisenhower (Brendan Fraser) i właśnie jego uczciwość, duma, pewność siebie, ambicja oraz poczucie odpowiedzialności stają się elementami większej rozgrywki wywołującej emocjonalny rollercoaster. Autorytet Eisenhowera zostaje poddany potężnemu ciśnieniu wywołanemu sporem dwóch meteorologów zupełnie inaczej interpretujących prognozy na najbliższe dni. Spięty kapitan James Stagg (świetny Andrew Scott), czołowy szkocki meteorolog, mianowany głównym oficerem meteorologicznym w operacji Overlord, zgodnie ze swoją wiedzą raportuje generałowi, że 5 czerwca rozpęta się gigantyczna burza i armię czeka katastrofa. Natomiast jego arogancki i przebiegły kolega (Chris Messina) jest skłonny manipulować wykresami, aby przekazać przełożonym dokładnie to, co sami chcą usłyszeć. Brzmi to raczej jak materiał na komedię sytuacyjną, w istocie jednak „Niebo nad Normandią" jest niezwykle wciągającym widowiskiem, nie tylko pokazującym nieznane szerzej, dramatyczne kulisy inwazji, ale też polityczne metody podważania zaufania do ekspertów. Przy okazji maluje fascynujący obraz konfliktów oraz różnic w podejściu do nauki i ludzkich charakterów.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

W martwym punkcie 4/6

Bez końca, reż. Michał Marczak, prod. Polska, 105 min, w kinach od 11 września

© MATERIAŁY PRASOWE (3), DAVID LEE/NETFLIX, ALEKSANDER IWASZKIEWICZ

Wizualny rozmach tego dokumentu budzi zachwyt. Ale jednocześnie rodzi wątpliwość, czy aby na pewno wszystkie sytuacje zostały tu uchwycone „na gorąco", bez reżyserskich sztuczek ingerujących w delikatną materię rzeczywistości. Tematem filmu są poszukiwania 16-letniego chłopaka, który spacerując po Moście Gdańskim w Warszawie – co zarejestrowała kamera przemysłowa – nagle znika z pola widzenia. Policji, podejrzewającej samobójstwo, oraz innym służbom przez półtora roku nie udało się ustalić, co tak naprawdę się wydarzyło. Nie odnaleziono też ciała. Prywatne śledztwo podjęte przez ojca zaginionego też tkwi w martwym punkcie, co dla reżysera Michała Marczaka stanowi dogodny pretekst do postawienia wielu egzystencjalnych pytań – m.in. o radzenie sobie ze stratą, determinację graniczącą z obsesją i o to, w jaki sposób zaginięcie dziecka prowadzi do destrukcji więzi rodzinnych. Wyciszone piękno obrazów sprzyja budowaniu atmosfery kontemplacji, jednak większość dialogów i wypowiedzi sprawia wrażenie wymuszonych. Wiadomo, że Marczak lubi poruszać się poza wyraźnymi ramami gatunkowymi, wplatając elementy fabularne w swoje dokumenty. Tu jednak, ze względu na wagę poruszanych problemów, nie działa to niestety na korzyść filmu. JW

eprasa.pl 1a9930715e

film

Kto jest złolem 4/6

Katastrofa w duecie (Mayday), scen. i reż. Jonathan Goldstein i John Francis Daley, 112 min, Apple TV

Film otwiera plansza: „1987 r., zimna wojna trwa już 40 lat". Pilot myśliwca, porucznik marynarki wojennej USA Troy „Assassin" Kelly (**Ryan Reynolds**), w glorii prawdziwego „top guna" (i na fali popularności filmu z Tomem Cruise'em, który wszedł do kin rok wcześniej) zostaje zestrzelony podczas misji w radzieckiej głuszy. Szczęśliwie obok chaty byłego oficera KGB (**Kenneth Branagh**), zafascynowanego Ameryką i „Top Gunem" oglądanym na przemyconej kasecie VHS. Tak zaczyna się ta mieszanka komedii akcji i buddy movie, mało oryginalna i średnio zabawna. Twórcy starają się być pomysłowi w scenach walk (pojawia się nawet mobilna wyrzutnia rakiet nuklearnych), a wątki obyczajowe dowodzą, że film powstał współcześnie, jednak to wciąż kino budżetowe (kręcone w Montrealu). Głównym złolem jest oficer KGB z misją odwrócenia reform Gorbaczowa, grany z charyzmą przez Marcina Dorocińskiego, który staje się etatowym „ważnym ruskim" w Hollywood (role w „Gambicie królowej" i „Mission: Impossible"), idąc w ślady Branagha (m.in. „Tennet" i „Jack Ryan"). USA wciąż są tu krajem o niebo lepszym niż ZSRR, ale motyw skorumpowanych polityków szafujących życiem i zdrowiem obywateli nie pozwala na łatwy triumf. Najważniejsza zaś kwestia brzmi jak wezwanie w czasach rządów ekipy Trumpa: „W tej chwili jedynym sposobem, by stanąć w obronie mojego kraju, jest przeciwstawić się mu".

ANETA KYZIOŁ

film

Ojcowie i synowie 3/6

Szeptacz, reż. James Ashcroft, prod. USA, 114 min, Netflix

Przynajmniej pod jednym względem „Szeptacz" może przywołać wspomnienia z lat 90. To taki rodzaj filmu, jakie masowo pojawiały się wtedy w wypożyczalniach DVD, kolejna podróbka „Milczenia owiec" i „Siedem", kusząca mocną obsadą, ale mająca niewiele więcej do zaproponowania. Choć akurat tutaj był potencjał na coś ciekawego, psychologiczny thriller, w którym trudne relacje ojców i synów są ważniejsze niż wątek polowania na psychopatycznego zabójcę. Jednak wszystkie psychologiczne zawiłości zostały pogrzebane przez marny scenariusz, pełen uproszczeń, schematów i zbędnych postaci z trzeciego planu. Tom Kennedy, owdowiały pisarz, wraca z synkiem do rodzinnego miasta, a gdy chłopiec zostaje uprowadzony – prawdopodobnie przez naśladowcę seryjnego mordercy zwanego „Szeptaczem" – Tom musi poprosić o pomoc swojego ojca. Od lat nie utrzymują kontaktów, lecz to senior kiedyś złapał i wsadził do więzienia „Szeptacza", więc jako jedyny może powstrzymać jego następcę. Banalny schemat fabularny grzęźnie w scenariuszowych mieliznach, słabo napisanych dialogach i absurdalnych wyborach, jakich dokonują filmowe postaci. Pierwszorzędna obsada – **Adam Scott**, **Robert De Niro**, Michelle Monaghan, Michael Keaton – bez wysiłku wynosi tę historię na nieco wyższy poziom, ale trzeba też przyznać, że reżyser poprzeczkę ustawił bardzo nisko.

JAKUB DEMIAŃCZUK

galeria

Pożytki z moderny 4/6

Polski modernizm. Walka o piękno, Visteria Foundation, Willa Gawrońskich, Warszawa, do 11 października

Wystawa ta, pokazywana najpierw w Mediolanie, mocno zaciekawiła Włochów, co już jest sukcesem, bo w sferze designu poprzeczka ich oczekiwań ustawiona jest wysoko. Teraz możemy przekonać się sami, że naszym wzornictwem nie odstajemy od światowych standardów. Tytułowy modernizm to pojęcie bardzo rozległe, historycznie rozciągające się od lat 20. ubiegłego wieku po dziś dzień. Ekspozycja nie ma jednak ani ambicji zbudowania jakiegoś kanonu, ani przeglądu najważniejszych dokonań tych stu lat. Ba, na pierwszy rzut oka sprawia wręcz wrażenie nieco chaotycznie nawigującej po dokonaniach polskich projektantów. Są tu twórcy mocniej obecni, nieobecność innych można by uznać za niedopatrzenie, podobnie o pewnych ikonicznych projektach czujnie pamiętano, a inne nie znalazły uznania. Ale takie jest prawo kuratorskich wyborów. Pierwszy z głównych tropów wystawy to pokazanie oryginalności polskiego modernizmu mającego własne, osobliwe walory. A drugi to uświadomienie publiczności, jak blisko tej – z założenia użytkowej sztuce – do sztuki czystej, głównie rzeźby. I jak bardzo uniwersalne staje się pojęcie piękna. Temu zacieraniu różnic dobrze służą artystyczne konteksty, czyli wzbogacenie ekspozycji o prace malarskie i przestrzenne takich gwiazd polskiej sztuki, jak Katarzyna Kobro, Jerzy Nowosielski, Władysław Strzemiński czy Edward Krasiński.

PIOTR SARZYŃSKI

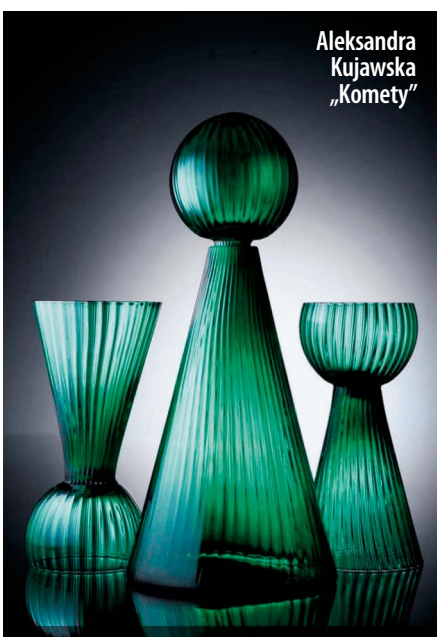

Aleksandra Kujawska „Komety"

eprasa.pl 1a9930715e

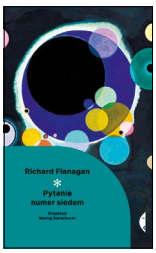

Takie jest życie 5/6

Richard Flanagan, **Pytanie numer siedem**, przeł. Maciej Świerkocki, wyd. Czarne, s. 304

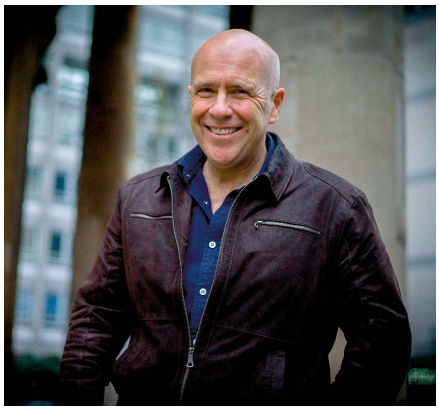

Nowa książka australijskiego pisarza nie jest kolejną powieścią, tylko rodzajem osobistego eseju, w którym pojawiają się H.G. Wells i wpływ jego wyobraźni na stworzenie bomby atomowej, historia ojca Flanagana, jeńca w obozie w Japonii, a to wszystko splecione zagładą rdzennych mieszkańców Tasmanii. Okazuje się, że bez pewnego pocałunku w bibliotece H.G. Wellsa nie byłoby nuklearnej reakcji łańcuchowej Leo Szilarda – literatura wpływa na rzeczywistość często w bardzo zaskakujący sposób. I ta książka, meandrując poprzez życie pisarza, dochodzi do jego „prawie" śmierci, kiedy mając 21 lat, omal nie utonął. „Piszę tę książkę, którą teraz czytacie, będącą niewięcej niż liścikiem miłosnym do moich rodziców i mojego wyspiarskiego domu, do świata, który zniknął, ponieważ przed przeszło stu laty inny pisarz napisał książkę, która porwała później wyobraźnię pewnego człowieka z taką mocą, że książka stała się rzeczywistością i zmieniła świat" – pisze Flanagan, a chodzi tutaj o „Świat wyzwolony" Wellsa. Jego wywody w „Pytaniu numer siedem" są fascynujące, choć połączenia wydają się czasem obłędne. Takie koincydencje odległych zdarzeń i idei, wpływy przeszłości na przyszłość śledził też W.G. Sebald i książka Flanagana znajduje się najbliżej takich właśnie poszukiwań. A więc dajmy się prowadzić Flanaganowi przez wzburzony nurt opowieści, w której zdanie: „Takie jest życie" powtarza się jak refren. „Pisząc te słowa, zdaję sobie sprawę, że pamięć to w tym samym stopniu akt twórczy, jak i świadectwo wydarzeń, i że jedno bez drugiego jest niczym drzewo bez pnia, skrzydła bez ptaka, książka bez opowieści".

JUSTYNA SOBOLEWSKA

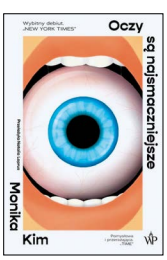

Żądza krwi 4/6

Monika Kim, **Oczy są najsmaczniejsze**, przeł. Natalia Laprus, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026, s. 320

Literatura chętnie sięga po grozę jako metaforę kobiecego gniewu, lęku i frustracji. Monika Kim swoim debiutem wkroczyła na ścieżkę nowego feministycznego horroru, wytyczaną m.in. przez Carmen Machado czy Marianę Enríquez. Splata powieść obyczajową z psychologicznym thrillerem i makabrycznym poczuciem humoru, tworząc intrygujący portret trzech kobiet z koreańsko-amerykańskiej rodziny naznaczonych krzywdą wyrządzaną przez mężczyzn. Ojciec niespodziewanie porzucił żonę i dwie córki, zaś nowy partner matki, George – biały, traktujący azjatycką kochankę jako trofeum – ledwo kryje pogardę dla otaczających go kobiet. Ji-won, starsza z córek, narratorka powieści, nie potrafi przekonać matki, że George jest złym człowiekiem, zaczyna więc fantazjować o wyrządzeniu mu krzywdy. Z biegiem czasu posuwa się dalej: najpierw do drobnych złośliwości, później do agresji. Horror wkrada się tu powoli, ale nieubłaganie prowadzi do krwawego finału. Dla Kim jest nie tylko środkiem stylistycznym, lecz także sposobem na rozliczenie pokoleniowych traum: rasizmu, mizoginii, fetyszyzacji Azjatek jako zdobyczy seksualnych. To nie jeden z najważniejszych debiutów ostatnich lat, jak entuzjazmowali się amerykańscy krytycy, jednak bez wątpienia proza błyskotliwa, sardoniczna i godna uwagi.

JAKUB DEMIAŃCZUK

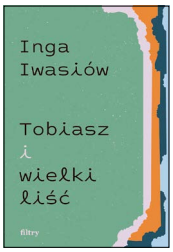

Królik i ludzie 5/6

Inga Iwasiów, **Tobiasz i wielki liść**, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2026, s. 252

Królik Tobiasz, „karzełek baranek mini lop" według wpisu z książeczki zdrowia, w życiu bohaterki pojawia się znienacka. Sama nie pamięta, kiedy i jak zgłosiła się do adopcji (i jest to doprawdy komiczne). Tobiasz, Tobi, Tobcio, Tobianko, istota nieodgadniona, ma szczególne królicze wymagania, trzeba się go nauczyć. Bohaterka się uczy, czytelnicy z nią. Dowiadujemy się na przykład, że z weterynaryjnego punktu widzenia królik to zwierzę egzotyczne. Że coś go łączy z koniem. I że nie wymiotuje, więc może się zatruć, jeśli zjada niesprawdzoną farbę ze ścian. Baranki powstały w wyniku machinacji człowieka i na złość ludziom rozmnażają się, cóż, jak króliki. Tobiasz chrapie, harcuje, zjada cenne albumy. Opiekunka czyta mu książki, tylko skąd wiadomo, czy w koszyczku Czerwonego Kapturka nie było pasztetu? Nie zmienia to faktu, że: „Połączone z głaskaniem głośne nocne czytanie tworzy combo szczęścia i uważności". Narratorkę wiele łączy z Ingą Iwasiów, przede wszystkim sam Tobiasz i czułość dla niego, ale warto czytać tę książkę w oderwaniu od wyraźnych tropów biograficznych, bo to uniwersalna opowieść o relacjach ludzi i zwierząt, ich ewolucji w ostatnich latach i dekadach. Ale też o biurokracji na uniwersytecie (miejsce pracy naszej bohaterki), sidłach alkoholu, życiowym marazmie i płyciejących związkach z bliskimi. Nie jest to ekologiczny moralitet ani neoficka opowieść o miłości do pupili. Raczej erudycyjna lekcja wychowawcza, tyle że tu uczeń – Tobiasz – wychowuje i stawia granice. Przemeblowuje (dosłownie) życie i myślenie, i obu stronom na dobre to wychodzi.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© ANDREW PARSONS/REX/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE (9)

eprasa.pl 1a9930715e

Poczet zwycięzców 5/6

Martha Argerich, Bruce Liu, Tomasz Ritter, Naruhiko Kawaguchi, {oh!} Orkiestra, Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej, dyr. Václav Luks, **Beethoven Piano Concertos Nos. 1&3, Fantasy in C minor, Dai Fujikura, Bridging Realms**, NIFC

Przeżyjmy to jeszcze raz: 2023 r., inauguracja II Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych w Filharmonii Narodowej. Święto w wykonaniu zwycięzcy I edycji Tomasza Rittera, laureata II nagrody Naruhiko Kawaguchiego oraz triumfatorów „dużych" Konkursów Chopinowskich Marthy Argerich i Bruce'a Liu. Mistrzostwo i wspaniała energia. Nie grano wówczas Chopina; poza solowym utworem współczesnym, który Dai Fujikura napisał dla swojego rodaka na tę okazję, program był poświęcony dziełom Beethovena. Ritter grał III Koncert fortepianowy na kopii instrumentu Grafa z 1819 r., a I Koncert fortepianowy (Martha Argerich) i partia fortepianu w Fantazji C-dur na fortepian, chór i orkiestrę (Bruce Liu) zabrzmiały na erardzie z 1858 r. – to rzadka okazja posłuchać tych dwoje na takim instrumencie. Towarzyszy im czołowa polska orkiestra instrumentów historycznych pod dyrekcją wybitnego czeskiego kapelmistrza.

DOROTA SZWARCMAN

D jak dzięki 3/6

Mike D, **Thank You**, Capitol

Beastie Boys są już tylko piękną historią o trzech bezczelnych i zaskakujących białych bohaterach pionierskich lat hip-hopu. Śmierć Adama „MCA" Yaucha przyniosła w każdym razie bardzo długie milczenie, ale ten brak nagrań jego żyjących kolegów przerwał dziś solowy album Mike'a D. A właściwie przedsięwzięcie rodzinne, bo 60-letni Michael Diamond do współpracy zaprosił swoich synów, Skylera i Davisa, choć ważną rolę odegrał tu znany producent rapu i soulu Carter Lang. Być może dzięki niemu „Thank You" brzmi względnie nowocześnie, choć w głębi jest to album bardzo mocno odwołujący się do tradycji Beastie Boys, sięgający też do funku i electro, a nieco przyspieszone rytmy każą sobie przypomnieć twórców instrumentalnej elektroniki z lat 90. Blednie trochę w sferze wokalnej – brak dialogów, które decydowały o charakterze rodzimej formacji autora płyty. Stopniowo też całość wytraca tempo – na początku ujmuje zadziornością, później nieco nuży. Zarazem jednak niejeden fan Beastie Boys uroni łzę przy finałowym, rozliczeniowym utworze z tytułowym podziękowaniem. Czyżby solowy restart oznaczał zarazem definitywny koniec i emeryturę?

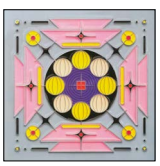

BARTEK CHACIŃSKI

Co ludzie powiedzą 4/6

Erykah Badu & The Alchemist, **Before the World Blows**, Young

Na nową w pełni autorską płytę gwiazdy neo-soulu z przełomu wieków jej publiczność musiała czekać 16 lat. Erykah Badu nie próbuje się jednak ścigać na singlowe przeboje ani ze współczesną czołówką, ani sama ze sobą. „Before the World Blows" brzmi jak efekt sesji realizowanych od niechcenia, z ciekawości i dla przyjemności. To płynnie zmiksowana opowieść, w której wątki soulowe mieszają się z hiphopowymi – za sprawą producenta całości, którym jest The Alchemist (sięgający tu dwukrotnie po sample z płyty „Easy!" Wojciecha Karolaka), ale też za sprawą gości, wśród których znaleźli się Westside Gunn czy Earl Sweatshirt. Do promocji albumu wybrany został – chyba przewrotnie – długi psychodeliczny utwór „Witch Doctor". W zestawie znajdziemy bardziej efektowne i krótsze fragmenty, jak „Valentine" czy „Breezy", ale główną zaletą wydawnictwa jest naturalny klimat całości. Słuchacz czuje się, jakby śledził swobodny proces twórczy, tymczasem album powstawał długo i nie bez trudności. Jego autorka niby „nie dba o to, co ludzie powiedzą", jak powtarza w jednym z nagrań, ale to wyraźnie to ciężka praca dała efekt lekkości. BCH

nie przegap

Windą na szafot (Ascenseur pour l'échafaud) reż. Louis Malle, w kinach od 11 września

Kryminał noir klasyka francuskiej nowej fali z 1957 r. o uwięzionym w windzie mężczyźnie wplątanym w dwie zbrodnie – tę, którą popełnił, i tę, której nie popełnił. I genialna ścieżka dźwiękowa skomponowana przez Milesa Davisa. Oczarowany klimatem filmu, a w szczególności sekwencją, w której **Jeanne Moreau** błąka się nocą po deszczowych bulwarach Paryża, Davis improwizował, szlifując nowatorskie rozwiązania zwieńczone dwa lata później płytą „Kind of Blue". JW

Great September, Łódź, 10–12 września

Doroczny klubowy festiwal połączony z konferencją ściąga do Łodzi delegatów branży muzycznej i poświęcony jest krajowej scenie. Muzycznie działa na trzech poziomach. Pierwszy to uznane gwiazdy, ściągające szerszą publiczność (Krzysztof Zalewski, Andrzej Piaseczny). Drugi to ciekawe nowe twarze albo artyści bardziej niszowi (tu polecamy m.in. Szklane Oczy i świetny polsko-rumuński projekt jazzowego **Błota**). Czwarty, może trochę zaskakujący, to artyści ze świata (m.in. Los Bitchos i Ata Kak). BCH

Dżentelmeni 2, twórca serii: Guy Ritchie, Netflix

Druga odsłona serialowej komedii, która wydawała się odpryskiem gwiazdorskiego filmu „Dżentelmeni" Guya Ritchiego z 2019 r., ale fabularny skok w bok okazał się całkiem udany i oto przed nami dalsze losy arystokratycznej rodziny Hornimanów, która dla ratowania własnego statusu zmienia profil działalności (a teraz jeszcze ją poszerza), zadając się z narkotykowym półświatkiem. Jest tu miejsce i dla pysznej satyry społecznej, i dla widowiskowego humoru wynikającego z poplątania wątków. BCH

eprasa.pl 1a9930715e

Sandra Drzymalska jako Izabela Łęcka i Tomasz Schuchardt jako Stanisław Wokulski w serialu Netflixa

Narodowe pisanie

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Czeka nas jesienny festiwal „Lalek”: nie tylko dwie ekranizacje, ale też wysyp książkowych kontynuacji, *retellingów* powieści. Swoją wersję napisał Jakub Jarno, czyli Remigiusz Mróz, a Sylwia Chutnik, Szczepan Twardoch i Wojciech Chmielarz dopisują się do Prusa w opowiadaniach.

eprasa.pl 1a9930715e

Co jest takiego w „Lalce" Prusa, że ta powieść nadal żyje i prowokuje? Jak to możliwe, że ciągle się o nią kłócimy? „Genialność tej powieści polega na tym, że wszystko jest zrozumiałe, a człowiek wciąż się dziwi" – pisał Ryszard Koziołek. Ile razy krytyka wołała o nową „Lalkę", a ta jednak nie powstawała? Dlaczego nie było więcej takich powieści w naszej historii? I czy chodziło o brak silnego mieszczaństwa? Dość, że „Lalka" cały czas prowokuje i inspiruje: 16 września obejrzymy wersję serialową Netflixa, a 30 września nowy film kinowy.

„»Lalce« czas nic nie zrobił. Działa ona za sprawą swojej magicznej podwójności, którą mają tylko arcydzieła. Opowiada bowiem z jednej strony szczegółowy, historyczny, konkretny czas końca XIX wieku oraz historie żyjących wtedy ludzi. (...) Z drugiej jednak strony mówi, »jak jest«, odwołując się do podstawowych prawd psychologicznych, które starzeją się wolniej niż świat zewnętrzny. Właściwie wszystko, co w »Lalce« istotne, mogłoby się zdarzyć teraz" – pisała Tokarczuk w eseju „Lalka i perła".

„Prus pojął genialnie, że literatura nie jest od dostarczania dowodów na istnienie ładu świata. Od tego jest nauka. Literatura wydobywa z ludzkiego istnienia sprzeczność, komplikację, bycie »za, a nawet przeciw« równocześnie" – zauważa Tokarczuk. Bo ta powieść jest ufundowana na sprzecznościach i niespójnościach. Ma w sobie wiele luk, niedopowiedzeń, które prowokowały kolejne nowe odczytania. Kontynuacje, które powstają, wyrastają często z niezgody i pragnienia, żeby bohaterom dać rodzaj spełnienia, którego nie zaznają w powieści. W czasie globalnego powrotu klasyki i rozmaitych retellingów literackich (takich jak „Demon Copperhead" Barbary Kingsolver, powieści, która jest nową wersją „Davida Copperfielda" Dickensa) „Lalka" Prusa stała się materiałem nowych fabuł, często współczesnych.

Ciąg dalszy nastąpił

Sam Prus chciał opisać dalsze losy Wokulskiego, ale zdołał tylko zacząć kilkadziesiąt stron tekstu pt. „Sława". Teraz losy jego bohaterów dopowiada Jakub Jarno (Remigiusz Mróz) w „Marionetce" (W.A.B.), która rozgrywa się w latach 70. XX w. W barze Sady Żoliborskie nad plackami ziemniaczanymi spotykają się Sylwia Łęcka i Zbigniew Wokulski, potomkowie słynnej pary, i próbują rozwikłać tajemnice przeszłości, a po piętach im depcze Służba Bezpieczeństwa.

Remigiusz Mróz odwraca różnice wieku – Sylwia jest 20 lat starsza od Zbyszka. Rozwiązania fabularne są tu dość zaskakujące i czasem zabawne, jak wtedy, gdy bohaterowie zastanawiają się, czy losy Stanisława i Izabeli nadają się na powieść:

„– Stanisław i Izabela niczym się nie zapisali, zostali całkowicie zapomniani, historia ich starła.

– Może ktoś powinien o nich powieść napisać.

– Nie żartuj sobie teraz.

– Mówię śmiertelnie poważnie. Taki romans świetnie by się sprzedał.

– On beznadziejnie zakochany i aspirujący, ona z wyższych sfer, niezainteresowana mezaliansem? Banalnie proste.

– Przy dobrym piórze mogłoby być pięknie proste".

Z kolei w powieści „Wokulski" prawnika Bogumiła Wójcika (Lira) bohater nie ginie, tylko otwiera kolejny rozdział swojego życia i rusza w podróż. Robi nadal interesy z Suzinem, pojawia się handel bronią i ropa naftowa oraz poznaje nową kobietę Annę Sergiejewnę. Dalsze losy bohaterów dopowiadał też już wcześniej m.in. Roman Praszyński w powieści „Córka Wokulskiego" (2012 r.), romansie erotycznym, łączącym seks, anioły i zamach na cara.

W powieści fantastycznej „Alkaloid", autora ukrywającego się pod pseudonimem Aleksander Głowacki (2012 r.), pojawiały się podróże w czasie. Jeszcze w latach 90. powstała powieść „Stanisław i Izabela – Epilog Lalki" Piotra S. Wirskiego, w której Stach odnalazł szczęście i odnosił niebywałe sukcesy, a Łęcka nie trafiła do klasztoru ani nie rzuciła się w nowe romanse, tylko przeszła duchową przemianę. Swoją wersję przygód bohatera stworzył też literaturoznawca Krzysztof Rutkowski w książce „Wokulski w Paryżu" (2010 r.), w której nasz bohater rzucał się w rozpustę i pijaństwo z Suzinem i tak odreagowywał klęskę z Izabelą.

Sequele „Lalki" mają więc już sporą tradycję, co pokazuje siłę tej powieści, której też wiele zarzucano: niespójność bohatera, słabość fabularną, zbytnią powściągliwość obyczajową, jednowymiarowy portret Łęckiej. Kolejne wersje starały się rozwinąć to, co niedopowiedziane, dodać pikanterii, co skutkowało czasem sztampowym romansem.

Zbyt grzeczna

– Pamiętam, jak czytałem „Lalkę" w wieku nastoletnim, czyli późno, byłem chory na ospę i „Lalka" pomogła mi przetrwać ten koszmar. Łyknąłem ją w dwa dni i potem, jak wróciłem do niej po latach, to zacząłem się zastanawiać, skąd się brał mój zachwyt. W nurcie lektur szkolnych, symbolicznych, „Lalka" była wyjątkowa, bo było w tym życie, ulica, obyczajowość – mówi Paweł Demirski, scenarzysta netflixowej „Lalki", reżyser i dramatopisarz, który ma na swoim koncie wiele nowych wersji klasycznych tekstów, tzw. parafraz „Dziadów", „Wujaszka Wani" czy „Nie-Boskiej komedii".

Kiedy czytał pierwszy raz „Lalkę", poruszyła go jako powieść o życiu, ale wcale nienajlepiej skonstruowana. Była pisana w odcinkach, i to się czuje. Świętochowski zarzucał Prusowi, że ciągnął opowieść na siłę i nie wiedział, co zrobić z bohaterami – a to mogło być związane z dopisywaniem tydzień po tygodniu kolejnych epizodów i wysyłaniem ich do redakcji „Kuriera Codziennego". *– Moja refleksja jest taka, że w Polsce zawsze było mało pieniędzy na kulturę i Prus nie miał czasu, i w tej powieści widać, że pisze w stresie, wątki się otwierają i nie zamykają. Balzak, który miał pieniądze od żony, miał spokój i mógł się skupić na pisaniu. Prus robił dużo rzeczy naraz* – mówi Demirski.

Wojciech Jerzy Has, reżyser najważniejszej ekranizacji tej powieści, też twierdził, że „Lalka" jest afabularna. Kolejne wątki niekoniecznie wynikają z poprzednich wydarzeń. *– Tworząc serial, musieliśmy ułożyć główne punkty w fabularną całość, żeby to się połączyło. Z całą miłością do „Lalki" – jest ona powieścią fabularnie niespełnioną. Przy „Lalce" to też jest rodzaj interpretacji i „rewrite'u", ale mam wrażenie, że większość kanonicznych scen, punktów z książki w serialu została – są tylko inaczej zinterpretowane: jest Łęcka na kweście, zastawiony srebrny serwis, „Farewell miss Iza" itp. Więc główne beaty powieści zostały* – mówi Demirski. Współtworzony przez niego serial nie jest wierny tekstowi, pozostaje swobodną interpretacją, która przenosi jednak najważniejsze emocje i motywacje bohaterów.

Demirskiemu „Lalka" od razu wydała się zbyt grzeczna: *– Równocześnie zacząłem czytać Balzaka i u niego ludzie są bardziej ludzcy, mniej święci. U Prusa nie ma seksu, jest melodramat,* ▶

© ROBERT PAŁKA

eprasa.pl 1a9930715e

▶ *Wokulski jest święty, trochę jest harcerzem. To marzenie o idealnym mężczyźnie. Dlatego zaczęliśmy od innego ustawienia Wokulskiego* – wyjaśnia scenarzysta. – *Interesowało mnie od dziecka, jak on to zrobił, że zarobił tyle pieniędzy, zagadka dla pokoleń maturzystów brzmi: ile Wokulski wydał na Łęcką? Jak on się dorobił? Często się mówiło, że Wokulski był taki pracowity, a w tej postaci jest przecież grzech założycielski – kolaborował z carską Rosją.*

Kwestia kasy

Okazuje się, że to właśnie kwestia pieniędzy jest szczególnie interesująca dla autorów kontynuacji pisanych dzisiaj. Zbyszek i Sylwia z „Marionetki" przy plackach ziemniaczanych też się zastanawiają, co się stało z majątkiem Wokulskiego. Wspominają, że pisał w jednym z listów, iż przywiózł z wojny bułgarsko-tureckiej 300 tys. rubli. I obliczają, ile to mogłoby być dzisiaj: „Starczyłoby na kilkadziesiąt mieszkań na Żoliborzu. Mówimy tu o setkach przeciętnych rocznych pensji dobrego inżyniera. A on to wszystko stopniowo pomnażał". A gdyby ta fortuna po latach trafiła do opozycji, z którą związana jest Sylwia, bohaterka nowej książki?

Małgorzata Braunek (Łęcka) i Jerzy Kamas (Wokulski) w serialu telewizyjnym z 1977 r.

Alternatywne losy bohaterów znajdą się też w opowiadaniach Sylwii Chutnik, Szczepana Twardocha i Wojciecha Chmielarza, które piszą na zaproszenie Banku ING na konkurs „Nie-lalka". – *W projekcie, do którego zostałam zaproszona, ważne dla mnie było zadanie sobie pytania, które sto lat temu zadała w eseju „Własny pokój" Virginia Woolf: czy kobieta może być naprawdę niezależna, jeśli będzie miała swoje pieniądze i przestrzeń?* – mówi Chutnik. – *Zaproszenie Izabeli Łęckiej do kawiarnianego ogródka i danie jej możliwości decydowania o sobie było dla mnie jednocześnie włączeniem się do dialogu dotyczącego sytuacji społecznej kobiet w Polsce końca XIX w.*

Premiera antologii zbiegnie się 30 września z premierą filmu, którego bank jest sponsorem.

Zła baba, dobry chłop

O ile Wokulski w powieści jest postacią pełną sprzeczności, skomplikowaną, o tyle portret Łęckiej jest tu dość płaski. „Izabela jest rzeczą. Jest makietą. Pustą w środku kukiełką służącą do wabienia. Strachem na wróble, który stoi przy drodze jak drogowskaz" – pisała Tokarczuk.

W serialu Netflixa Łęcka zyskuje tożsamość, jest bohaterką, która chce wyjść poza oczekiwania otoczenia. Demirski zauważa, że u Prusa postać Łęckiej jest skreślona ironicznie, jest figurą satyryczną: – *To dlatego, że „Lalka" jest trochę powieścią dla młodych dorosłych, postaci są trochę figurami, a na pewno tak utarło się w recepcji.*

– *W powieści seksualność jest nieobecna, wyparta, więc zdecydowaliśmy, żeby ta erotyka była elementem istotnym* – dodaje scenarzysta serialu. – *Prus sugeruje, że Izabela miała relację ze Starskim, to tam jest, ale wytłumione, chcieliśmy wydobyć na światło dzienne tę ukrytą warstwę. Jednak żyjemy w pruderyjnym kraju i wiedzieliśmy, że to też będzie temat tzw. kontrowersji. To mnie dziwi, bo mamy tak rozerotyzowaną kulturę, czasem w sposób obrzydliwy, a nie chce dopuścić istnienia seksualności w kanonie.*

Brak seksu w powieści kusił zresztą kolejnych autorów kontynuacji. Spotkanie Sylwii oraz Zbyszka we wspomnianym barze przy wydawce pierogów również jest początkiem relacji romantycznej starszej mężatki z młodszym chłopakiem, który czyta dużo książek. Nie tylko szukają wspólnie skarbu, ale też przeżywają uniesienie miłosne. Inni autorzy zadbali, żeby Wokulski w późniejszych latach spotykał wreszcie kobiety, które go docenią.

– *Rozmawiałem z polonistami, co młodzież myśli o „Lalce"* – mówi Demirski, twierdząc, że teraz uczniowie czytają ją ponoć na dwa sposoby: – *Albo „co to za stalker dybie na Łęcką", albo drugi: „gdybym ja była Łęcką, to bym nie odmówiła". To jest fantazja o dobrym świecie i dobrym mężczyźnie. I niestety utrwala szowinistyczną narrację: chłop, który jest porządny, i baba, która zawsze mierzy wyżej – i to jest ustawienie, które się Polakom podoba: zła baba i dobry chłop, to mnie zawsze potwornie denerwowało.*

– *Tutaj Prus nie zawinił, to tylko spotkanie polskich mózgów z tą powieścią utrwaliło ten kanon: pusta Łęcka oraz półromantyk i półpozytywista Wokulski. To jest nieprawdziwe* – dodaje Demirski.

Dom dla lalek

Dlaczego „Lalka" jest tak kochana i fetyszyzowana przez Polaków? Odpowiedzi jest wiele, Koziołek interpretuje „Lalkę" jako opowieść o rozczarowaniu. „»Lalka« i jej autor reprezentują ten moment kryzysu literatury rozczarowanej nauką i historią, pełnej przez to resentymentu i pragnienia odwetu".

Motorem działania Wokulskiego jest upokorzenie. Stanisław Brzozowski pisał, że „konflikt Wokulskiego i społeczeństwa to po części konflikt samego Prusa". Prus się mścił za rozmaite zadry i za upokorzenie, kiedy został spoliczkowany przez studentów na ulicy. I mścił się też za pomocą swojego bohatera. Wokulski chce przede wszystkim awansować, jego motywacjami są biznes i aspiracje.

W serialu oboje – Wokulski i Łęcka – chcą wyjść ze swojej sfery, miejsca w hierarchii. – *Wokulski nie potrafi żyć poza swoją aspiracją i fantazją. To jest bardzo polskie* – uważa Demirski, którego zdaniem odbiór „Lalki" mówi wiele o infantylizacji polskiej kultury, o jej niedorosłości. – *Znajduję w niej infantylny stosunek do seksualności i do pieniędzy, które nie wiadomo skąd są. Polska kultura unika życia. A „Lalka" jest fetyszyzowana przez Polaków. Staje się kwestią życia i śmierci, i honoru polskiej kultury, tak ją się broni. Świetlicki napisał kiedyś taki wers: „w Polsce, gdzie wzorem mężczyzny jest ksiądz albo handlarz" – Wokulski łączy te obie profesje. Polska to jest taki dom dla lalek.*

Ta powieść mówi też o społeczeństwie, któremu ciągle mało, które chce się stać czymś więcej. Wokulski pragnie wyskoczyć z siebie, pójść dalej. I to jest motor całego społeczeństwa przez ostatnich 30 lat. Wokulski jest węglem, który chce być diamentem. A „Lalka" ciągle pozostaje naszym lustrem.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

© POLFILM/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9930715e

POZNAJ BOHATERÓW POWIEŚCI

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 1a9930715e

Mit określa byt

Życie nie jest łamigłówką z niedzielnego dodatku do gazety, którą można rozwikłać za pomocą logiki – mówi Werner Herzog, autor dokumentu „Tajemnicze słonie Angoli", emitowanego w National Geographic.

Werner Herzog (ur. 1942 r.) – reżyser, pisarz, scenarzysta, aktor, producent. Słynie z pionierskiego podejścia do reżyserii i zgłębiania ludzkiej duszy. Dzieciństwo spędził na wsi w Alpach Bawarskich, nie wiedząc o istnieniu kina aż do ukończenia 11 lat. Swoje pierwsze projekty zaczął tworzyć jako 15-latek, zdobywając na nie pieniądze pracą spawacza w fabryce stali na nocną zmianę. W trakcie trwającej ponad sześć dekad kariery napisał, wyreżyserował i wyprodukował blisko 80 filmów (zarówno fabularnych, jak i dokumentalnych), opublikował książki prozatorskie, wystawił około tuzina oper, a także założył szkołę filmową Rogue Film School.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Lubi pan serię o Indianie Jonesie?**

WERNER HERZOG: – Żartuje pan. Nigdy w życiu nie obejrzałem przygód Indiany Jonesa. Kojarzę zwiastuny, które kiedyś mignęły mi przed oczami, ale tracenie czasu na takie kino jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę. Sam robię nieporównywalnie lepsze filmy.

Pytam, bo bohater pańskiego dokumentu, ekolog Steve Boyes, który w dzikich lasach Angoli tropi legendarne, niemal mityczne stada słoni, trochę go przypomina.

Indiana Jones to płaska, bezrefleksyjna pacynka wymyślona po to, by sprzedawać ludziom plastikową wizję świata i złudzenie, że wszystko da się uprościć i uporządkować. Boyes emanuje prawdziwą siłą ludzkiej psychiki, pchającą go w stronę niemożliwego.

Napędza go ciekawość, złudzenie, że uda się rozwikłać zagadkę życia na Ziemi?

Ciekawość jest pojęciem zbyt płytkim, wręcz turystycznym. To, co kieruje ludzi takich jak ja – czy moich bohaterów – w stronę nieznanego, to raczej bezwzględny nakaz duchowy, rodzaj egzystencjalnej konieczności. Zrozumienie zagadki życia? Bzdura. Życie nie jest łamigłówką z niedzielnego dodatku do gazety, którą można rozwikłać za pomocą logiki. Im bardziej staramy się je wyjaśnić, tym bardziej definicja nam umyka. Mnie nie interesuje rozwiązanie zagadki, lecz stan zadumy nad faktem, że w ogóle istniejemy pośród tego absolutnego, kosmicznego chaosu.

Steve'a Boyesa, przez 10 lat przemierzającego niedostępne płaskowyże w poszukiwaniu legendarnych słoni-duchów, trawi ta sama gorączka?

Kiedy spotkałem Boyesa, od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia. Przypomniał mi kapitana Ahaba tropiącego Moby Dicka – tego wielkiego białego wieloryba, który nie jest zwykłym zwierzęciem, ale

eprasa.pl 1a9930715e

wyobrażeniem, mitologicznym ciężarem dźwiganym przez człowieka. Boyes szukał w lasach płaskowyżu Bié w Angoli – miejscu, które lokalne plemiona nazywają krainą na krańcu świata – populacji gigantycznych słoni. Przez lata nikt ich nie widział, nikt nie potrafił nawet udowodnić ich istnienia. Ta wyprawa stała się dla niego czymś w rodzaju poszukiwania złotego runa albo Świętego Graala. Pociąga mnie w tej historii fakt, że jest to ekscentryczna, wręcz poetycka misja. Eksploracja snów i wyobraźni w twardym zderzeniu z rzeczywistością.

Mając możliwość odbycia afrykańskiej podróży razem z Boyesem, wolał się pan jednak jej przyglądać z bezpiecznego oddalenia, ze Stanów Zjednoczonych. Dlaczego nie wziął pan w niej udziału?

Mam już swoje lata. Nie muszę fizycznie zanurzać się w każdym błocie, aby zrozumieć jego ciężar. Moja obecność na miejscu z całą machiną produkcyjną zniszczyłaby delikatną strukturę tej wyprawy. Boyes nie potrzebował staruszka z kamerą biegnącego za nim przez szuwary; potrzebował kogoś, kto z dystansu dostrzeże uniwersalny wymiar jego zmagań i przełoży go na język kina. Prawdziwa reżyseria odbywa się w głowie, w umiejętności syntezy. Przypomnę tylko, że w historii kina zdarzały się wybitne, nagradzane w Cannes filmy, które twórcy reżyserowali, wysyłając szczegółowe instrukcje np. z cel więziennych.

Jak bardzo utożsamiał się pan z obsesją Boyesa?

Słowo „obsesja" jest nieporozumieniem, powielanym przez powierzchownych krytyków. U Boyesa to nie jest chorobliwy popęd ku autodestrukcji, lecz głęboka ciekawość świata, nienasycony głód życia oraz nieprawdopodobny szacunek dla tego, co istnieje. A co do mnie i duchowości... Na Boga, nie, nie jestem żadnym szamanem ani guru! Nie znoszę nowomodnego bajdurzenia o duchowości i taniej mistyce spod znaku New Age. Jeśli już czegoś szukam, to prawdy ekstatycznej, głęboko ukrytej pod powierzchownymi faktami. Dziennikarska rejestracja faktów jest nudna, to domena księgowych. Ważny jest ten moment, w którym rzeczywistość zaczyna pękać i odsłania warstwę mitu.

Jak się takie momenty odkrywa?

Prawdy ekstatycznej nie znajdzie pan, mierząc linijką długość śladu stopy słonia w sawannie. Odkrywa się ją wtedy, gdy zderza się ze sobą elementy pozornie obce – absolutną ciszę dzikiego krajobrazu z odpowiednio wyreżyserowanym obrazem czy chłodny fakt naukowy z wizją ze snu. Musi pan prześwietlić rzeczywistość tak mocno, by oddzielić to, co incydentalne, od tego, co wieczne. To wymaga intuicji poety, a nie metodyki buchaltera.

Skupmy się na tym. W otwierającej film scenie pokazuje pan największego lądowego ssaka o imieniu Henry, który został zastrzelony w 1955 r. przez kłusownika. Jego figura stoi w Smithsonian Institution w Waszyngtonie. Z kolei na płaskowyżu Bié lokalne ludy Nkangala wierzą, że ludzki gatunek swoje istnienie zawdzięcza słoniom. Jak te dwa podejścia – naukowo-muzealne oraz wspólnotowo-magiczne – mają się do naszego poznania?

Słoń stojący w muzealnej hali w Waszyngtonie stanowi monumentalne świadectwo kolonialnej pychy, a zarazem naszej tragedii. Patrzysz na to zabite, wypchane stworzenie i widzisz martwy pomnik zniszczenia: dostajemy jasny sygnał, co bezpowrotnie utraciliśmy. Poszukiwania Boyesa słoni-duchów z Lisimy opierały się na założeniu, że mogą być one potencjalnymi żyjącymi potomkami tego legendarnego olbrzyma. Z kolei legenda ludu Nkangala mówi, że mały słoń odłączył się od stada, zanurzył w rzece, zrzucił skórę i wyszła z niego kobieta, która dała początek gatunkowi ludzkiemu. Dążenie do uchwycenia świata poprzez mit daje silniejsze oparcie. Świadomość, że wywodzimy się z tej samej linii co te potężne zwierzęta, stanowi nieskończenie lepszy gwarant naszego przetrwania niż jakaś uzbrojona straż graniczna czy absurdalne dyrektywy polityczne.

Dlaczego? Przyglądając się wielu pana filmom, można dojść do wniosku odwrotnego: że tworząc mitologie i wierząc w fikcje, człowiek tylko oddala się od prawdy.

Trzeba odróżnić tanią fikcję, służącą oszukiwaniu się, od mitu jako struktury porządkującej nasz byt. Człowiek pozbawiony mitu staje się jedynie maszyną do konsumpcji. To prawda, że wiara w iluzje bywa destrukcyjna – pokazuję to regularnie. Ale legenda ludu Nkangala nie jest ślepą iluzją, lecz formą szacunku i pokory wobec sił potężniejszych od nas samych. To nie pozwala człowiekowi uważać się za pana stworzenia. Tragedia współczesnego człowieka polega na tym, że odrzucił mit na rzecz płaskiego racjonalizmu, a w efekcie powrócił do najgorszych, prymitywnych form zabobonu, tyle że ubranych w kostium technologii.

Żyjemy w czasach gwałtownego rozwoju technologii, sztucznej inteligencji, analiz genetycznych i obrazowania satelitarnego. Czy w takim świecie zostaje jeszcze jakiekolwiek miejsce na tajemnicę?

Błąd współczesnego rozumowania polega na naiwnej wierze, że matematyka oznacza zrozumienie. Mamy tysiące satelitów, potężne bazy danych DNA, a mimo to cywilizacja cierpi na głęboką nerwicę. Spójrzmy na to zjawisko chłodno: wiara w spiski, w porwania przez kosmitów – dlaczego setki tysięcy Amerykanów wierzą, że zostały uprowadzone przez obcych, podczas gdy nikt nie słyszał o takich przypadkach w wioskach Etiopii? Ponieważ żyjemy w tak potężnie ▶

© SKELLIG ROCK, THE WILDERNESS PROJECT ARCHIVE

eprasa.pl 1a9930715e

▶ zmaterializowanym, stechnicyzowanym świecie, że ludzka psychika zaczyna gwałtownie chorować z braku tajemnicy. Tworzymy więc absurdalne, naiwne teorie jako akty eskapizmu – bez nieznanego człowiek karłowacieje.

Po 10 latach poszukiwań Boyesowi wreszcie się udaje sfilmować legendarnego słonia-ducha zwykłym telefonem komórkowym. Ma niezaprzeczalny naukowy dowód. Pan w swoim charakterystycznym komentarzu z offu wypowiada wtedy słowa: „Steve Boyes będzie musiał teraz żyć ze swoim sukcesem". To ironia?

W tym konkretnym przypadku sukces jest równoznaczny z porażką. Powiedzieć komuś: „musisz teraz żyć ze swoim sukcesem" oznacza dokładnie to samo, co „musisz żyć ze swoją klęską". Dopóki słoń-duch był nieuchwytnym mitem, istniał w obszarze czystej fantazji, żył w wyobraźni Boyesa jako coś absolutnego, niezniszczalnego. W momencie, gdy zamieniasz mit w plik wideo w telefonie, odzierasz świat z tajemnicy. Sukces szpileczką spuszcza powietrze z balonu ludzkich marzeń. Pewnych złudzeń po prostu potrzebujemy, by przetrwać. Boyes udowodnił istnienie zwierzęcia, ale stracił swój mit.

Gdzie w takim razie leży granica ludzkiego poznania? Czy powinniśmy badać wszystko, do czego mamy dostęp, czy też są obszary, które powinny pozostać nienaruszone?

Granica poznania nie leży w możliwościach technicznych coraz doskonalszych narzędzi, którymi się posługujemy, lecz w naszej mądrości i pokorze. Przeszliśmy jako gatunek od koczowniczo-łowieckiego trybu życia w symbiozie ze światem do osiadłej, ekspansywnej cywilizacji, która pożera zasoby w tempie wykluczającym długotrwałe przetrwanie. Zrobiliśmy z natury kulturowy konstrukt. Odbieramy autonomicznym istotom prawo do bycia niewyjaśnionymi. Prawdziwe poznanie polega na umiejętności zatrzymania się na brzegu i powiedzenia: „Rozumiem, że tam coś jest, ale nie muszę tego rozrywać na kawałki, opisywać i katalogować w muzealnej gablocie".

Boyes w pewnym momencie stwierdza, że być może przyszłością całej dzikiej przyrody i wszystkich zwierząt jest bycie niczym więcej jak tylko snem. Pan podziela tę wizję?

W filmie pojawia się dość niesamowite ujęcie słoni kroczących pod wodą. To wyjątkowy, wręcz metafizyczny obraz! Powstał trochę przypadkowo. Kamera śledziła inną grupę zwierząt, nagle widzimy potężne nogi zatopione w rzecznym mule, światło słoneczne odbijające się w wodzie, migoczące, spowalniające czas ponad wszelką miarę. To ujęcie zamienia rzeczywistość w dziwny miraż. Gdyby producent chciał je wyciąć, walczyłbym do upadłego – bez niego ten film nie miałby swojego serca. Widząc to, pojmujesz, że te zwierzęta są jak duchy przechodzące przez nasz świat. Nasza cywilizacja niszczy ich siedliska, więc one przenoszą się w przestrzeń mitu i snu.

Ciekawe, o czym śnią te słonie? Zastanawiał się pan nad tym?

Nie mam pojęcia i nikt tego nie wie, ale kiedy widzisz te gigantyczne stworzenia zasypiające na stojąco, wydające dziwne, głębokie dźwięki, czujesz, że ich świadomość przechodzi w zupełnie inny wymiar. One śnią, ale ich mity pozostaną dla nas niedostępne. I to jest wspaniałe. Tajemnica pozostaje tajemnicą.

A panu co się śni?

Nie mam snów. Rzadko kiedy cokolwiek mi się śni, a jeśli już, są to zupełnie prozaiczne, pozbawione znaczenia powidoki dnia. Nigdy nie analizuję swoich snów i nie znoszę, gdy ludzie opowiadają mi własne – są z reguły śmiertelnie nudne. Moje sny materializują się na ekranie kinowym. Zamiast śnić w łóżku, wolę projektować obrazy na taśmie filmowej, bo tylko wtedy mam nad nimi pełną kontrolę i mogę podzielić się nimi z innymi ludźmi.

W pana dorobku nieustannie powraca motyw szaleńców, odmieńców, marzycieli i romantyków – od Lopego de Aguirre, poprzez Fitzcarraldo, aż po Timothy'ego Treadwella i Steve'a Boyesa. Dlaczego ta kategoria ludzi tak nieubłaganie pana przyciąga? I – szczerze – czy czegokolwiek im pan zazdrościł?

Zazdrość to uczucie małych ludzi, siedzących w fotelach i żałujących, że sami niczego nie dokonali. Ja nie muszę nikomu niczego zazdrościć, bo sam przebyłem długą drogę. Wędrowałem przez Saharę, kręciłem w Himalajach i w Karakorum, byłem na Antarktydzie, obserwowałem aktywne wulkany. Pociągają mnie odmieńcy, ponieważ w nich – jak w soczewce – skupia się cała prawda o kondycji ludzkiej. Przeciętny mieszczański człowiek, żyjący w ułudzie bezpieczeństwa, nie wie, kim naprawdę jest. Dopiero w starciu z ekstremum, z ideą, która przewyższa siły jednostki, ujawnia się istota naszego losu. Szaleńcy i romantycy nie są dziwadłami z cyrku; to jedyni ludzie, którzy mają odwagę przetestować granice mocy świata i wyobraźni.

Ponoszą za to wysoką cenę.

Oczywiście. Każda praca na granicy ludzkich możliwości wymaga ofiary. Czasami ceną jest samotność, czasami śmieszność w oczach tzw. normalnego społeczeństwa, a czasami – jak w przypadku Treadwella – tragiczna śmierć. Proszę jednak spojrzeć na to z drugiej strony: jaka jest alternatywa? Przeżyć 80 lat w spokoju, ciepłym mieszkaniu, wypełniając dokumenty podatkowe i nie zadając sobie ani jednego pytania o sens własnej obecności na Ziemi? Ceną za brak odwagi jest duchowa śmierć za życia. Moi bohaterowie przynajmniej wiedzą, że żyli.

Na koniec muszę zapytać o przyszłość. W rozmowach często wspomina pan z absolutnym spokojem o możliwości wyginięcia ludzkości. Czy wizja kosmosu bez człowieka pana przeraża?

Nie. Takie wyobrażenie nie sprawia mi najmniejszego kłopotu. Ludzkość porzucała koczowniczy tryb życia, tworzyła osady i miasta, rozbudowuje technologię, zużywa zasoby planety w sposób, który nieuchronnie prowadzi do samobójstwa. Żyjemy w przekonaniu o własnej wyjątkowości, lecz z punktu widzenia historii planety jesteśmy tylko pyłkiem, mgnieniem oka. Pewnego dnia po prostu znikniemy jak dym na wietrze, nie zostawiając po sobie trwałego śladu. Nie spędza mi to snu z powiek. Świat bez nas będzie istniał nadal, cichy, potężny i rządzący się swoimi prawami. I nie ma w tym absolutnie nic zasmucającego, to po prostu naturalny porządek rzeczy.

Tak jak śmierć?

Dokładnie tak. Śmierć jest jedyną absolutnie pewną, uczciwą rzeczą, jaka nas czeka. Nie ma w niej żadnego dramatu, dopóki nie zaczniemy do niej dopisywać taniego, sentymentalnego melodramatyzmu. Jest po prostu domknięciem horyzontu. Przerażać powinna nas raczej bezużyteczność życia, które zostało zmarnowane na banał i brak odwagi, a nie sam fakt, że świat kiedyś się bez nas obejdzie. Kiedy zaakceptuje pan tę oczywistość, zyskuje pan absolutną wolność.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 1a9930715e

Nowe półotwarcie

Sinfonia Varsovia wreszcie, po wieloletniej epopei, zaprasza pod dach własnej siedziby. Tyle że wciąż jeszcze nie do głównej sali.

DOROTA SZWARCMAN

© LESZEK ZYCH

Jedna z najlepszych polskich orkiestr wciąż czeka na pełnowartościową siedzibę. Przez ćwierć wieku była bezdomna. Próby miała w lokalach wynajętych: w kinach Kultura i Wiedza, wreszcie przez lata w Technikum Kolejowym, przez które przewinęło się wiele współpracujących z nią gwiazd pierwszej wielkości, z Martą Argerich na czele. Marc Minkowski, który był dyrektorem muzycznym zespołu w latach 2008–12, z upodobaniem fotografował się w lokomotywie stojącej przed budynkiem.

Dopiero z okazji jubileuszu 25-lecia ówczesna prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz przeznaczyła ponad 15 mln zł z Funduszy Europejskich na zakup terenu dawnego Instytutu Weterynarii SGGW – w celu ustanowienia w tym miejscu siedziby Sinfonii Varsovii. Tak rozpoczęła się ta epopeja, która wciąż trwa.

Pierwszą dekadę września orkiestra kończy, wchodząc do wyremontowanych zabytkowych budynków na Grochowskiej 272. Przez dwa weekendy można się spodziewać nie tylko koncertów, ale też wystaw, performansów i zajęć edukacyjnych – a wszystko pod hasłem „Nowe otwarcie". Później zaś przyjdzie pora na Szalone Dni Muzyki (22–27 września), po raz pierwszy w siedzibie orkiestry (w Operze Narodowej, gdzie dotąd się odbywały, rozpoczyna się remont). Niestety, wciąż czekamy na budowę głównej sali. Koncertów symfonicznych będzie więc można słuchać tylko w namiocie.

Warszawskie zaległości

Stolica od lat nie ma dużej sali koncertowej. Ta w Filharmonii Narodowej ma 1069 miejsc, a w Sali Kongresowej, która od 2014 r. jest w niekończącym się remoncie (ponoć ma się zakończyć w 2028 r.), nie było i pewnie nie będzie wystarczająco dobrej akustyki. Nienadzwyczajna pod tym względem jest też Sala im. Moniuszki ▶

eprasa.pl 1a9930715e

▶ – na 1768 miejsc w Operze Narodowej, gdzie czasem odbywają się koncerty symfoniczne.

Tymczasem w całym kraju budowano nowe miejsca dla muzyki, w tym trzy większe od warszawskich. Budowa słynnej z urody i akustyki katowickiej siedziby Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, oddanej do użytku 1 października 2014 r., trwała dwa i pół roku. Oczywiście trzeba tu doliczyć przygotowania: w 2008 r. ogłoszono konkurs, który wygrała pracownia Tomasza Koniora; w 2010 r. załatwiono dofinansowanie ze środków unijnych i pożyczkę z Europejskiego Banku Inwestycyjnego; rok później rozstrzygnięto przetarg na wykonawcę (wygrał Warbud). Budowa miała się zakończyć rok wcześniej. Ale i tak sześć w sumie lat to rekord, jeśli chodzi o budowę sali na 1,8 tys. miejsc.

Wrocławskie Narodowe Forum Muzyki, ze swoją znakomitą akustycznie salą zbliżonej wielkości, miało trochę mniej szczęścia. Konkurs, wygrany przez pracownię Kuryłowicz & Associates, odbył się trzy lata wcześniej niż ten w Katowicach, pozwolenie na budowę zostało wydane w 2008 r., a umowę z wykonawcami miasto podpisało pod koniec następnego roku. Kłopot jednak w tym, że miejsce położone jest na podmokłym terenie, obok kanału, podczas budowy napotykano więc nieustające kłopoty z wodami gruntowymi. Pierwszy wykonawca, Mostostal, porzucił ją po czterech latach w stanie surowym; budowę dokończył Elektromontaż. Obiekt otwarto w 2015 r.

Podobną historię miało krakowskie Centrum Kongresowe ICE: w 2007 r. konkurs wygrała pracownia Ingarden & Ewý, ale podczas budowy i tu były problemy z wodą – ICE leży blisko Wisły. Finał nastąpił więc dopiero w 2014 r. Jednak Sala Audytoryjna (również na ok. 1,8 tys. miejsc), choć nosi imię Krzysztofa Pendereckiego, jest przeznaczona raczej do organizowania kongresów, koncerty odbywają się w niej rzadko.

Panie marszałku kochany

Miasto zakupiło teren dla Sinfonii Varsovii na wyrost. Marek Kraszewski, ówczesny dyrektor miejskiego Biura Kultury, tłumaczył, że akurat były pieniądze na wykup i trzeba było je szybko wykorzystać, a na budowę będzie się aplikować o osobne środki unijne. Kiedy w 2010 r. miasto ogłosiło poważny, międzynarodowy konkurs na projekt siedziby, robiło

Wizualizacja powstającej sali koncertowej

to również bez pokrycia. Zwyciężył austriacki architekt Thomas Pucher (jedną z trzech drugich nagród otrzymała pracownia słynnej Zahy Hadid). Komisję konkursową urzekła jego wizja odnowionych zabytkowych budynków za wiszącym (pozornie) płotem, a na tyłach terenu – właściwej sali, efektownej, największej w Polsce (1877 miejsc), o której akustykę zadba firma Eckharda Kahle. Mówiono wówczas, że siedziba powstanie do 2016 r. Ale pieniędzy nie było.

Konkurs był wyrazem desperacji. Kolejnym jej uzewnętrznieniem było podpisanie w 2012 r. listu intencyjnego w sprawie przyszłej budowy przez architekta, prezydent Warszawy, dyrektora naczelnego orkiestry Janusza Marynowskiego oraz ówczesnego dyrektora artystycznego Sinfonii Varsovii Krzysztofa Pendereckiego. Kwintet instrumentów dętych złożony z muzyków orkiestry zagrał fanfarę, a kompozytor wygłosił komentarz: „Zbudowaliśmy piękne stadiony, na których nie będzie miał kto grać, natomiast tu sytuacja jest odwrotna: wspaniała orkiestra nie ma gdzie grać".

Pani prezydent podkreśliła wówczas: „Nie jest to jeszcze umowa – na umowę przyjdzie czas". Ta na dalsze prace projektowe została z architektem zawarta dopiero trzy lata później; zakończenie budowy zaplanowano na 2021 r. Ale funduszy nadal nie było. Miasto nie załapało się na kolejne nabory unijnych pieniędzy, samo też musiało oszczędzać w dobie międzynarodowego kryzysu. Ratunkiem mogła być już tylko pomoc z budżetu państwa.

„Panie marszałku kochany, muzyka łagodzi obyczaje" – rozpoczął wystąpienie w Sejmie poseł PO Michał Szczerba podczas pamiętnej debaty budżetowej 16 grudnia 2016 r. I przytwierdził do mównicy sejmowej kartkę: „#WolneMediawSejmie" (trwał bowiem protest dziennikarzy, którym ówcześnie rządzący próbowali ograniczyć dostęp do głównego gmachu Sejmu). W tym momencie przerwał mu rozwścieczony Marek Kuchciński, wykluczając go z obrad. Pamiętamy, co się stało potem: blokada mównicy i fotela marszałka, przeniesienie się posłów PiS do Sali Kolumnowej

eprasa.pl 1a9930715e

© ATELIER THOMAS PUCHER

i okupowanie sali obrad w proteście przez posłów opozycji, uznających działania marszałka za nielegalne. Tymczasem poseł Szczerba próbował nie tylko wesprzeć reporterów sejmowych, ale też zaapelować o przyjęcie poprawki do budżetu państwa uwzględniającej wsparcie finansowe dla budowy siedziby Sinfonii Varsovii. Całość wystąpienia wygłosił trzy dni później do kolegów z PO i telewizji. Łatwo się domyślić, że Sinfonia Varsovia stanęła w tym momencie na straconej pozycji.

Wreszcie konkrety

Sprawę popchnął do przodu już kolejny – i obecny – prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, który wpisał prace przy siedzibie Sinfonii Varsovii do planów rewitalizacji Pragi. Prace projektowe zakończyły się w 2019 r. i prezydent wydał zezwolenie na budowę. Pieniądze dołożone przez Radę Warszawy pozwoliły ruszyć z pierwszym etapem inwestycji: remontem zabytkowych budynków. Tym razem za opóźnienie odpowiadała siła wyższa: pandemia. Ostatecznie prace rozpoczęły się w 2023 r. – i ten remont właśnie się zakończył.

Co więcej, w zeszłym roku miasto przyznało też pierwsze pieniądze na budowę właściwej sali koncertowej. Można było już ruszyć z przetargiem na wykonawcę, tym bardziej że w marcu 2026 r. Ministerstwo Kultury podjęło decyzję o współprowadzeniu orkiestry i zadeklarowało mocne wsparcie. Przetarg wygrała firma Warbud (oby sprawdziła się tak jak w przypadku budowy NOSPR). Teraz mówi się o terminie zakończenia budowy w 2030 r., czyli 20 lat po rozstrzygnięciu konkursu – to prawdziwy rekord.

Na razie można się cieszyć nowo otwartymi pomieszczeniami w zabytkowych budynkach: w dawnym gmachu głównym Instytutu Weterynarii i dwóch pawilonach z przodu po bokach. Powstały one na przełomie XIX i XX w., zaprojektowane przez rosyjskiego architekta Władimira Pokrowskiego. Były już bardzo zdegradowane po latach nieużywania – w przypadku gmachu głównego był to okres nieco krótszy, bo odbywały się tam koncerty kameralne, ale i on został po paru latach zamknięty ze względów bezpieczeństwa. Remont był więc kapitalny, z częściowym rozebraniem i pieczołowitym odtworzeniem zabytkowych elementów. Teraz będzie można korzystać z dawnej auli, sali prób i przestrzeni przeznaczonych na działalność edukacyjną.

Z Bazylkiem i Smykofonią

Sceptycy uważali, że umiejscowienie siedziby Sinfonii Varsovii na prawym brzegu Wisły – na Kamionku, gdzie dotąd nie było tego typu instytucji – to jak wygnanie na pustynię lub orka na ugorze. Podkreślali, że miejsce jest kiepsko skomunikowane i mało komu będzie się chciało tam dojeżdżać, a miejscowi nie będą zainteresowani. Okazało się, że to może być atutem – kierownictwo zespołu i sama orkiestra mieli już od dawna poczucie misji, świadomość, że nową publiczność trzeba wychować. Stąd zresztą zapożyczenie z Francji popularnego formatu Szalonych Dni Muzyki, a w jego ramach – Smykofonie dla dzieci.

Od początku więc w parku za budynkiem Instytutu Weterynarii organizowano koncerty plenerowe; z czasem na tyłach terenu stanął namiot koncertowy, w którym można było zaplanować sezon letni. Przyciągały i koncerty, i bardzo lubiane nie tylko przez klasycznych melomanów potańcówki, a także liczne zajęcia dla dzieci. I te wychowujące muzycznie w cyklu Smykofonii, i koncertowe bajki o smoku Bazylku (to warszawski Bazyliszek, który się przeprowadził na prawą stronę Wisły, zamieszkał w magazynie instrumentów orkiestry i wciąż odkrywa wśród nich coś nowego). Podczas koncertów zaciekawiają eksperymenty, jak „Inny punkt słyszenia" – umieszczenie publiczności pomiędzy muzykami orkiestry, żeby doświadczyła tego, co się odczuwa, będąc wewnątrz zespołu. Tradycją stały się też koncerty pasyjne w pobliskim kościele, zawsze o bardzo oryginalnym programie.

Po tych kilkunastu latach Sinfonia Varsovia jest na Kamionku już swoja. A o frekwencję w przyszłości się nie martwi: komunikacja nie jest taka zła, a samej sali bardzo w mieście brakuje. Wielkie światowe orkiestry chętniej występują dziś we Wrocławiu czy Katowicach niż w naszej stolicy. Trochę wstyd.

DOROTA SZWARCMAN

eprasa.pl 1a9930715e

Gramofon walizkowy Philips, lata 50.

Estrada na tle

Wystawa w Muzeum Historii Polski poświęcona muzyce popularnej czasów PRL jest pionierska, ale tematu nie wyczerpuje, pomijając ważne wątki.

MIROSŁAW PĘCZAK

Historia społeczna i polityczna nie musi się prosto rymować z tą artystyczną. Pomysłodawcy i realizatorzy wystawy opatrzonej tytułem „Za czym kolejka ta stoi? PRL w muzycznym zwierciadle" porwali się więc na bardzo ambitne zadanie. Jeśli idzie o muzykę, nawet tak ostra cezura – jak wojna i okupacja – nie zmieniła gustów. Jeden z bohaterów tej wystawy – Mieczysław Fogg – z powodzeniem zaś wykonywał śpiewane przed wojną szlagiery.

Są też przykłady mniej oczywiste, jak tzw. odwilż 1956 r. Jej znakiem był odrodzony jazz i słynne festiwale w Sopocie, tymczasem już rok wcześniej Leopold Tyrmand zorganizował pierwszy oficjalny koncert jazzowy w Warszawie. W kulturze początki sławnej „odwilży" miały miejsce rok przed październikowym plenum KC PZPR, na którym Władysław Gomułka został I sekretarzem partii. Ważny był w tym kontekście Festiwal Młodzieży i Studentów, dzięki któremu młodzi Polacy mogli poznać rówieśników z różnych stron świata i zetknąć się z niedostępną wcześniej muzyką: od folku po jazz. Ważna była wystawa w Arsenale, uznana za pożegnanie socrealizmu. Choć w Polskim Radiu jeszcze długo po owym przełomie grane były socrealistyczne hity oraz nieśmiertelne piosenki przedwojenne. I próżno było szukać w tym repertuarze nie tylko jazzu, ale też raczkującego rodzimego rock'n'rolla.

Można nie zauważyć tych przesunięć, ale pominięcia zawsze muszą wzbudzać kontrowersje. No bo niby dlaczego takie postaci polskiej piosenki, jak Irena Santor czy Jerzy Połomski, nie znalazły na wystawie „Za czym kolejka ta stoi?" miejsca, za to Maryla Rodowicz zdaje się tam być wszędzie: są jej suknie, gitara, jej wspomnienia i piosenki, które można sobie odtworzyć na stosownych urządzeniach. Festiwalowi w Jarocinie poświęcono całą osobną salę, a inne imprezy cykliczne prezentujące muzykę rockową wyeksponowano dużo skromniej. Albo dlaczego w sekcji (rozdziale) „Tłocznia", poświęconej fenomenowi pocztówki dźwiękowej, nie ma żadnego odniesienia do Janusza Laskowskiego, obwołanego w latach 60. „królem pocztówki dźwiękowej", ponieważ dzięki temu właśnie nośnikowi cała Polska poznała takie jego przeboje, jak „Beata z Albatrosa" czy „Żółty jesienny liść"?

Kolejka po gitarę

Po 1989 r. zorganizowano wiele wystaw o czasach PRL – o życiu codziennym, modzie, architekturze, projektowaniu, a nawet robieniu zakupów... Jest też duża część stałej ekspozycji opolskiego Muzeum Polskiej Piosenki poświęcona tej właśnie epoce, a wreszcie muzealna część Spichlerza Polskiego Rocka w Jarocinie, ale jak do tej pory nie było osobnej, dużej wystawy poświęconej różnym nurtom rodzimej muzyki popularnej tamtej epoki i sposobom jej społecznego funkcjonowania. Pionierski charakter przedsięwzięcia zrealizowanego w Muzeum Historii Polski trochę usprawiedliwia wytknięte wyżej mankamenty. Być może nie dało się ich uniknąć w sytuacji, kiedy autorzy i organizatorzy

© MACIEJ CIOCH/MHP

eprasa.pl 1a9930715e

wystawy zdecydowali się połączyć w jedno dwa porządki: tematyczny i personalny.

Porządek tematyczny podzielony został na osiem „rozdziałów". Ekspozycję otwiera „Cafe Fogg". Chodzi o założoną przez Mieczysława Fogga kawiarnię muzyczną, jedyne takie miejsce w zrujnowanej tużpowojennej Warszawie, a „rozdział" opowiada o piosenkach i ich wykonawcach z tamtych lat, prezentuje też stosowne artefakty na czele z oryginalnym kawiarnianym pianinem, które Fogg cudownym trafem znalazł pod gruzami.

Rozdział „Kolejka" jest poniekąd próbą wyjaśnienia tytułowej metafory wystawy zaczerpniętej z tekstu Ernesta Brylla do piosenki śpiewanej przez Krystynę Prońko. W katalogu wystawy czytamy: „Kolejka to w pewnym sensie refren całego PRL-u. Była nieodłączną częścią szarej codzienności, mającej niewiele wspólnego z wyidealizowanym obrazem kreowanym przez propagandę. Nic dziwnego, że często pojawiała się również w piosence, zwłaszcza u artystów krytycznych wobec systemu".

Oglądamy zatem stare fotografie z targowisk, zdjęcia sklepowych kolejek w latach 80., kartki na mięso i cukier, paczkę papierosów Klubowe, tłum przed warszawskim salonem meblowym Emilia, maszynopisy z tekstami piosenek – np. wspomnianego „Psalmu stojących w kolejce" wykonywanego przez Krystynę Prońko czy „Szarych koszmarów" Tomka Lipińskiego i zespołu Tilt. Głównym motywem tego rozdziału są rynkowe niedobory, także te, które dotyczyły muzykowania. Dowiadujemy się, jak trudno było zdobyć w miarę porządny instrument, oglądamy gitary Defil, na których zaczynali grać słynni potem polscy rockmani. W multimedialnym segmencie wystawy mamy wypowiedź Wojciecha Waglewskiego, gdzie znalazł się też fragment o gitarach, chociaż ja do dziś pamiętam wspomnienie Lecha Janerki z dokumentu filmowego Wojciecha Słoty i Leszka Gnoińskiego „Beats of Freedom", gdzie Janerka opowiada, że swój pierwszy instrument (gitarę basową) wystrugał sobie sam z kwietnika.

Wódka z cenzorem

Odwiedzający wystawę na pewno zatrzymają się na dłużej przy rozdziale „Pokój cenzora", który zgodnie z nazwą dotyczy zmagań artystów z cenzurą. Można obejrzeć oryginalne maszynopisy z tekstami piosenek pokreślonymi przez urzędników cenzury, np. kartkę z piosenką T.Love „Wychowanie", gdzie cenzor wykreślił słowa „ojczyznę kochać trzeba i szanować, nie deptać flagi i nie pluć na godło".

Śledząc wystawę w wątku cenzorskim, można też odnieść wrażenie, że Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk najwięcej roboty miał z kabaretami (vide: rozdział wystawy „Piwnica") – które i tak traktowane były relatywnie liberalniej niż inne formy ekspresji słowno-muzycznej – w latach 80. zaś z repertuarem festiwali rockowych (vide: rozdział „Każda zima musi minąć"). Tak było choćby w Jarocinie. Toczyła się osobliwa gra między wykonawcami i organizatorami festiwalu z jednej strony a cenzorami z drugiej. Oto co mówi na ten temat wieloletni dyrektor jarocińskiej imprezy Walter Chełstowski w wypowiedzi zarejestrowanej na potrzeby wystawy: „W pewnym momencie zażyczono sobie oddawania tekstów do cenzurowania. Do Hotelu Jarota przyjechali panowie, którzy brali teksty i mówili: »to tak, to nie«. Ja to przekazywałem zespołom. Zresztą pierwsze selekcje robiłem sam, zanosząc teksty od zespołów do cenzorów. Mówiłem zespołom, co przeszło, ale dodawałem, że nie będę im nic narzucał. Oni oczywiście grali swoje, a z cenzorami ktoś najczęściej szedł na wódkę. Niewidoczna, subtelna gra kończyła się bez strat i wszyscy byli zadowoleni. Jeżeli już cenzor miał się pojawić na koncercie, to zdarzało się, że zespoły na początku koncertu gwizdały i świszczały coś do mikrofonu. Po pewnym czasie cenzorzy się poddawali".

Porządek personalny wystawy w Muzeum Historii Polski wydaje się jakby mniej istotny w samej koncepcji, choć oczywiście nie można było z niego zupełnie zrezygnować – w końcu historia muzyki popularnej to dzieje karier, muzycznych gwiazd, talentów. To także podziały na prekursorów określonego stylu i naśladowców, a wreszcie fenomen tzw. fanklubów poszczególnych zespołów i solistów. Sporo mówią o tym te fragmenty wystawy, które opisują i pokazują np. relacje z koncertów Rolling Stonesów w Warszawie w 1967 r. czy te poświęcone początkom polskiego rock'n'rolla. I znów, jeśli mówimy o owym porządku personalnym, mamy przecież w pamięci wielu twórców ▶

REKLAMA

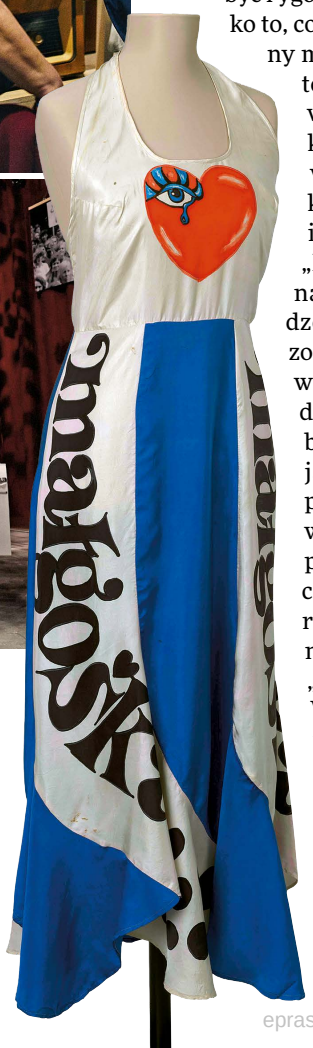

Od góry: **gitara Dariusza Kozakiewicza z 1970 r. Radiogramofony i odbiorniki radiowe z PRL. Syrena 105l z 1982 r. Strój sceniczny zaprojektowany przez Rafała Olbińskiego dla Maryli Rodowicz na premierowe wykonanie piosenki „Małgośka" podczas festiwalu w Sopocie, 1973 r.**

▶ i wykonawców obecnych na scenie przez długie dekady i niepodatnych na zmiany polityczne. A z drugiej strony nie brak w tej historii i takich, którym zdarzało się kierować tzw. polityczną mądrością etapu albo po prostu podążać za aktualną modą.

Nie tylko nostalgia

Warszawska wystawa przypomniała mi genialny film „Bal" Etore Scoli z 1983 r. Nie ma w nim dialogów, są wyłącznie muzyka i taniec, utrzymane w różnych zmieniających się estetykach, i wszystko odbywa się we wciąż tej samej sali balowej. Akcja dzieje się we Francji w latach 1936–68 (od wyborczego zwycięstwa antyfaszystowskiego Frontu Ludowego po wydarzenia Maja Paryskiego). Poprzez muzykę i taniec Scola pokazał nie tylko zmiany w obyczaju i modzie, ale też w polityce i politycznych ideologiach. Szczególne miejsce zajęła ekspansja kultury młodzieżowej i kontrkultury.

Czy w podobny sposób dałoby się stworzyć wystawę o muzyce? Pewnie tak, choć wtedy selekcja faktów i postaci musiałaby być rygorystyczna. Ostałoby się tylko to, co najlepiej ilustruje wybrany moment historyczny; tylko to, co ogniskuje najbardziej wyraziste tendencje takiego momentu. Na naszej wystawie są fragmenty, które zbliżają się do takiej idei. Choćby ten z rozdziału „Radio i ulica", przypominający o muzykach pochodzenia żydowskiego, którzy zostali zmuszeni do emigracji w 1968 r. Zwiedzający dowiedzą się, że bywali to autorzy bardzo znanych przebojów, jak Bronisław Brok (autor piosenki „Zakochani są wśród nas" wykonywanej przez Helenę Majdaniec) czy Michał Hochman, który wylansował powszechnie znaną do dziś piosenkę „Konik na biegunach". W wyniku antysemickiej nagonki przestały działać bardzo dobrze rokujące zespoły bigbitowe jak łódzkie Śliwki, które zasłynęły m.in. protest songiem „Nasz wiek XX", warszawskie Babel-Combo czy szczecińscy Następcy Tronów. Małe, prywatne historie splotły się z okrutną Wielką polityczną. Historią.

Z drugiej strony taka współbieżność dróg osobistych, artystycznych i meandrów politycznych nie zawsze wydaje się oczywista. Wydarzenia Marca 1968 r. w odniesieniu do życia muzycznego nie miały już tak wielkich konsekwencji, takiego samego natężenia i tej samej brunatnej barwy, która przenikała przez urzędowe dokumenty podróży w jedną stronę, wydawane żydowskim współobywatelom.

Owszem, dało się zauważyć przykręcanie śruby autorom radiowych audycji muzycznych, reglamentowanie ilości anglosaskiego (zwłaszcza) rocka, forsowanie „swojskości" przeciwstawianej „kosmopolityzmowi", upolitycznianie folkloru, co dotyczyło m.in. wyraźnie faworyzowanego przez pion ideologiczno-propagandowy partii zespołu No To Co. Ale z drugiej strony to przecież w tamtym czasie ukazał się album zespołu Breakout „Na drugim brzegu tęczy", wyraźnie inspirowany anglosaskim rockiem psychodelicznym, debiutowały już nie bigbitowe, ale po prostu rockowe zespoły, jak Klan czy Romuald & Roman. Przy okazji warto nadmienić, że wbrew temu, co czytamy w katalogu wystawy, kierowany przez animatora muzyki młodzieżowej Franciszka Walickiego Rhythm and Blues w 1959 r. nie grał bigbitu, tylko amerykańskiego (głównie) rock'n'rolla. Nazwa bigbit, notabene wymyślona przez tegoż Walickiego, pojawiła się parę lat później.

Słusznie zwraca uwagę Jarosław Szubrycht w artykule poprzedzającym katalogową prezentację kolejnych rozdziałów wystawy „Za czym kolejka ta stoi?", że muzyka popularna czasów PRL niekoniecznie była lepsza od tej współczesnej, za to na pewno miała wyższą rangę. Rzeczywiście za nieprawomyślne teksty piosenek można było dostać zakaz występów, a za karne stawienie się na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej – przepustkę na występy dla publiczności polonijnej w USA. To jasne, że nostalgia mniej mówi o jakości muzyki, która bywa tej nostalgii źródłem, niż o tych, którzy nostalgię pielęgnują. Jedno jest pewne – muzyka czasów PRL, tak jak cała jej popkultura, znakomicie oddaje koloryt epoki i pozwala ją lepiej zrozumieć.

MIROSŁAW PĘCZAK

Za czym kolejka ta stoi? PRL w muzycznym zwierciadle, Muzeum Historii Polski w Warszawie, wystawa czynna do 6 grudnia.

© MACIEJ CIOCH/MHP (2), MAŁGORZATA KOWALCZYK/MHP, MATERIAŁY PRASOWE MHP

eprasa.pl 1a9930715e

TOWARZYSTWO WIENIAWSKIEGO

17. MIĘDZYNARODOWY KONKURS SKRZYPCOWY IM. HENRYKA WIENIAWSKIEGO

Poznań
8-25 października 2026

Wieniawski Society

ORGANIZATOR:
TOWARZYSTWO WIENIAWSKIEGO

WSPÓŁORGANIZACJA I WSPÓŁFINANSOWANIE:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

WSPÓŁFINANSOWANIE:
POZnań
WIELKOPOLSKA
Samorząd Województwa Wielkopolskiego

MECENAS STRATEGICZNY:
ORLEN

PATRONI MEDIALNI:
wyborcza.pl
TYGODNIK POWSZECHNY
POLITYKA
RZECZPOSPOLITA
onet
THE VIOLIN CHANNEL
World's Leading Classical Music Platform

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA:
RMF CLASSIC

17. MIĘDZYNARODOWY KONKURS SKRZYPCOWY IM. HENRYKA WIENIAWSKIEGO JEST WSPÓŁORGANIZOWANY Z NARODOWYM INSTYTUTEM MUZYKI I TAŃCA ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO.

eprasa.pl 1e9930715e

Dawka toksyczna

Zaczęło się od tego, że Nocka, nasza kotka, kichała seriami. Jesteśmy czułe na takie objawy, bo jako maluch z ulicy borykała się z kocim katarem, niebezpieczną chorobą wirusową, która lubi nawracać i może prowadzić do śmierci. Trzeba było czym prędzej jechać do lecznicy. Pech chciał, że żona była niedostępna, a razem z nią nasze auto. Dojazd komunikacją byłby skomplikowany, mimo że odległość niewielka. Również na spacer z kotem było za daleko i za długo.

Co było robić, zamówiłam Ubera kategorii „Pet", dla pasażerów z domowym zwierzęciem. Za kierownicą białej renówki siedział młody, szczupły blondyn, aplikacja podała imię: Boris. Przywitałam się i podałam swoje, ale Boris milczał. „Pewnie Ukrainiec – pomyślałam. – Obawia się, że usłyszę, że mówi z akcentem i będą kłopoty". Boris przemówił dopiero u celu, z miłym dla ucha wschodnim zaśpiewem. Wdzięczna, że dał mi po temu okazję, powiedziałam: „A wie pan, chciałam, żeby pan wiedział, że ja się cieszę, że Ukraińcy są w Polsce". Uśmiechnął się szeroko i cały zajaśniał, a potem dodał jakby w nawiasie: „Jestem Białorusinem". Piękny uśmiech za kilka słów. Do lecznicy wkroczyłam uszczęśliwiona tą wymianą.

Gdybym wiedziała, kogo ześle mi aplikacja w powrotnej drodze, zapłaciłabym Borisowi za godzinne oczekiwanie i wracała z nim. Wszechświat postanowił wyrównać ze mną rachunki; emocjonalnie miałam wyjść na zero. Zajechała czarna Toyota, w niej zaś Polak, niestary. „O, zwierzątko!" – wykrzyknął przyjaźnie na wieść, co mam w plecaku. A potem bez zwłoki podzielił się informacją, że koleżance dopiero co zdechł kot. Latami był zdrowy, aż tu nagle wywaliło nerki. W ogóle koty teraz chorują, zauważyła pani? Łapią coś z powietrza. „Z powietrza – powtórzył, jakby mrugał. – Rozpylają coś. W sensie z góry. Koty to łapią. Niech pani zapyta lekarza".

> Wbijanie igły w tarczycę zdawało się drobnostką wobec perspektywy kolejnego kursu z teoretykiem spisków.

Mówię, że Nocka ma zwykły katar, a nerki badałyśmy tydzień temu. Nie podchwycił, trzymał się swego. Koleżanka osiem tysięcy wyrzuciła w błoto. Weterynarze to klika, mają zmowę cenową. Mówię, że wracam właśnie od takiego tańszego i jestem zadowolona, tylko dojazd kiepski. Jakby nie słyszał; kicnął zręcznie na inny temat. Służba zdrowia to skandal. Pediatra nie przepisał dziecku leku na alergię, wysłał do specjalisty, wyobraża sobie pani? Ukraińcy zapychają kolejki i co z tego, że pracują? Dlaczego Polacy się nie buntują i grzecznie płacą na NFZ? Składkami na zdrowie łata się dziury w ZUS. Dług publiczny jest dwa razy większy, niż mówią.

Nagle rzucił: „Młode kobiety mają koty zamiast dzieci". W pierwszym odruchu uznałam, że pije do mnie, i już szykowałam się do desantu, ale oświeciło mnie, że młode kobiety to te, które ustępują mi miejsca w tramwaju, i postanowiłam nie brać tego do siebie. Naprowadziłam go z powrotem na NFZ. „Rzeczywiście dziwne, że Polacy nie potrafią wymusić reformy – powiedziałam. – Przecież wszyscy korzystamy z medycyny". Dotknięty do żywego wykrzyknął: „Ja nie korzystam!". Mówię, że ja tak i sobie chwalę, a niedawno szybko i sprawnie wycięli mi guz. Aż podskoczył. „Gdyby pani spotkała mnie wcześniej, to by pani nie musiała robić operacji. Wystarczyło podjechać do pasieki i wystawić się dwa razy na użądlenie pszczoły. Poza tym – witamina D". Mówię, że suplementuję od dawna i poziom mam wysoki. „Ile? – spytał drwiąco. – Pewnie 50? Potrzebna jest dawka toksyczna, dopiero wtedy działa". Mówię, że nie sądzę. A on, że owszem, sądzi. Mówię, że życzę mu, żeby wytrwał w swoich wierzeniach aż do śmierci. On nadal hardy, ale zmienia temat. „Dzieci siedzą w telefonach, to szkodzi". Tu się zgadzam. Kiedy wysiadam, rzuca ni to groźbę, ni to pocieszenie: „Ale świat przetrwa, bo myślących tak jak ja są miliony". Biegnąc do furtki, czułam na plecach oddech tych milionów.

Po odstawieniu Nocki do domu musiałam przedostać się na drugi koniec miasta na umówioną biopsję. Więc znowu Uber. Na koszt żony wybrałam opcję „Comfort", która wyróżnia się tym, że klient ma prawo woleć ciszę. Wbijanie igły w tarczycę zdawało się drobnostką wobec perspektywy kolejnego kursu z teoretykiem spisków.

Podjechała zielona Tesla. Kierowca okazał się głodnym kontaktu Polakiem. Na dwóch telefonach miał otwarte dwie nawigacje, ale nie wierzył im i chciał dowiedzieć się ode mnie, jak dojechać tam, dokąd jadę. Mówię, że nie wiem, bo nigdy tam nie byłam. Już miał skręcić w lewo, w ostatniej chwili wybrał prawo, po czym rozluźniony rzucił: „No, a jak tam życie?". Wzięłam głęboki oddech i mówię, że zaznaczyłam opcję „Preferuję ciszę". Zsumitował się i zamilkł, ale od tej pory przyspieszał i hamował tak ostro, że wizualizowało mi się raz po raz, jak wymituję z tylnego siedzenia na przednią szybę.

Po biopsji otworzyłam wiadomą aplikację po raz czwarty tego dnia. Ręka mi drżała. Na szczęście niepotrzebnie. Tym razem wylosował się kierowca imieniem Amir, miał irańskie nazwisko i nie mówił po polsku. Nie mogło mnie spotkać nic lepszego.

RENATA LIS

eprasa.pl 1a9930715e

POD ZNAKIEM MENORY

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 1a9930715e

Smuga światła

Gdy byłem małym smykiem, to chciałem zostać górnikiem (pewnie nie, robię to dla rymu, choć dostrzegam dziś pewne plusy tego zawodu). A będąc młodym chłopakiem, marzyłem, by zostać strażakiem. W skrócie: bardzo chciałem zostać duży, gdy byłem mały jak taboret. A teraz chciałbym po prostu zostać.

To oczywiście klasyka tego śmieszno-tragicznego Bildungsroman, zwanego dla niepoznaki ludzkim życiem. Gna nas w stronę dorosłości. W podstawówce bajałem o gimnazjum. Jako że gimnazja były skupiskiem osób w wieku – by ująć to delikatnie – trudnym, niemal od startu rozmyślałem o liceum w innym, większym mieście. A gdy transfer stał się faktem, z zazdrością patrzyłem na brata i starszych kolegów studentów, bo jednak to liceum nie ma sensu: niby masz już twardy zarost, ale mama gawędzi coś na temat wracania o konkretnej godzinie i pyta, gdzie i z kim będziesz spał. Żyć się nie da.

Na razie nie będzie zwrotów akcji: na studiach żyć się da, sam podejmujesz kluczowe decyzje logistyczne, zwykle związane z towarzysko-uczuciową stroną naszego losu. Trzeba się czasem pouczyć, ale jeśli sam wybrałeś kierunek, to jest duża szansa, że ciekawi cię to, co czytasz. Na razie omijają cię wszelkie ciężary – jesteś na tyle stary, by nie tłumacząc się przed nikim, poznawać uroki wielkiego miasta do piątej nad ranem. I na tyle młody, aby nie myśleć o niegdysiejszych śniegach, ale o przyszłych też nie, bo wszystko wokół to jedno wielkie gromkie „TERAZ”.

> Symptomy starzenia to okropieństwo, ale i najgorsza rzecz, jaka może cię spotkać w tej wycieczce na Pola Elizejskie.

I dalej bez *plot twistu*, bo wszystko idzie zgodnie z planem. Wiek jeszcze przez jakiś czas zaczyna się od dwójki, a skoro tak, to głowa rześka, stawy gibkie. Jako że krótko po magisterce zacząłem pracować ze studentami mojego wydziału, upewniałem się tylko w swojej świeżości. Wciąż posługiwaliśmy się tym samym kodem – „młodzi” znali te same teleturnieje, tych samych wykonawców, dogadywaliśmy się. Byle wysyłali w terminie prace roczne i po krzyku.

Tak się jednak złożyło, że „młodzi” co roku mieli tyle samo lat, kończyli licencjat lub zaczynali dopiero zabawę z magisterką. A ja co roku miałem lat więcej. Nagle okazało się, że mówić im o klasykach polsatowskiego sitcomu czy innym „Idź na całość”, to jak sypać anegdotami o Hance Ordonównie i Poli Negri. Smuga cienia welcome to, jak nie śpiewał nigdy Zbigniew Wodecki, ten XVII-wieczny minstrel.

Aż tu nagle (zwrot akcji, nareszcie!) okazało się, że w tej powieści za smugą cienia jest całkiem pogodnie. A przynajmniej, jak mówią regularnie nadbałtyccy letnicy: „przejaśnia się”, oczywiście pod warunkiem że kondycja psychofizyczna jest we względnej normie. Supermarketowa ofensywa związana z powrotem do szkoły, która w najlepszym wypadku rozpoczyna się pod koniec lipca, nie robi na tobie specjalnego wrażenia. Cóż to za ulga!

Plusów jest zresztą znacznie więcej. Uprzejmie zwracasz uwagę młodziakom, którzy w restauracji oglądają coś bardzo głośnego na telefonie, a ci, równie uprzejmie, ściszają. Może i potem złorzeczą ci pod nosem, ale przy tobie: cicho sza, bo jednak ważysz te piętnaście kilogramów więcej, a i siwiejesz, więc po co dziadzia kopać. Na dodatek coraz mniej obchodzi cię szeroko pojęte „prezentowanie się przed innymi” oraz cały związany z tym wysiłek. Nie po to zmagałeś się tyle lat ze znojem ludzkiego losu, żeby bawić się teraz w kółko teatralne. Ewentualne problemy w związku? Zdarzają się, ale to trzeba na spokojnie, zamiast szlochać w poduszkę i słuchać „Disintegration” The Cure czy nieco przedwcześnie obwieszczać koniec świata.

Nie zwalniajmy tempa. Wizyta na alternatywnym festiwalu muzycznym przestaje się wiązać z wkuwaniem nazw zespołów i nadrabianiem zaległości, byle tylko nie zostać wyrzuconym z Klubu Otrzaskanych. Okazuje się, że można niemal w ogóle nie chodzić na koncerty, a jedynie oddawać się rozmowom ze znajomymi. Ludzie, nikt tego nie sprawdza! Śmiało możesz też przyznać, że masz słabość do piosenki „Supergirl” Reamonn czy „If I Could Turn Back Time” Cher, twoja sprawa.

Symptomy starzenia, np. pierwsze siwizny, przerzedzenia i mniej gładka cera – to okropieństwo, ale i najgorsza rzecz, jaka może cię spotkać w tej wycieczce na Pola Elizejskie. Starzenie się to już stan akceptowalny i pełen, by użyć języka korpomarketingu, benefitów. Przekonujesz się oczywiście, że te imieninowe komunały o „zdrowiu, zdrowiu, zdrowiu, bo jak zdrowie będzie, to wszystko będzie” to najszczersza prawda. Jeżeli jednak życzenia się ziszczą, to naprzód marsz i inne „ahoj, przygodo!”.

Nie znoszę gadki o „starzeniu się z godnością”, bo zwykle jest podszyta strofowaniem kobiet, które decydują się skorzystać z medycyny estetycznej. Albo mężczyzn farbujących włosy na czarno, by uzyskać niechciane bordo. Owszem, wyglądają czasem jak prezenterzy z wieczornych programów w Rai Uno, ale nawet jeśli – czy rzeczywiście odbiera to im godność? Jeśli o coś w tej frazie o godności chodzi, to chyba o to, żeby z tym swoim starze... pardon, przemijaniem jakoś się zakolegować.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 1a9930715e

Dlaczego prokuratura nie współpracuje

Ci, którzy mają potrzebę, żeby z własnej inicjatywy przyjść zeznawać do prokuratury i oczekują, że będą szybko obsłużeni, raczej się rozczarują. Były agent CBA Artur Chodziński bez wezwania pojawił się w Prokuraturze Krajowej, by złożyć zeznania w sprawie afery Zondacrypto i ustalić, czy będzie aresztowany, ale odprawiono go z kwitkiem, bo – jak wyjaśniła rzeczniczka PK – „prokuratura nie pracuje tak, że ktokolwiek pojawi się w jej siedzibie, to ta podejmuje z nim jakiekolwiek czynności".

Nie wiem, czy to w porządku, choć z drugiej strony, gdyby każda prokuratura podejmowała czynności ze wszystkimi, którzy się do niej zgłoszą, bo liczą na to, że będą bez kolejki przesłuchani i aresztowani na trzy miesiące, to zarówno tym czynnościom, jak i sprawom, w których te czynności by przeprowadzano, nie byłoby końca. Byłby to raczej koniec prokuratury.

Pełnomocnik Chodzińskiego wyjaśnił, że celem wizyty było m.in. dowiedzenie się, „o co chodzi" prokuraturze. Ta z kolei zastanawia się, o co mogło chodzić byłemu agentowi CBA. Na razie stanowisko prokuratury jest takie, że o nic jej nie chodzi, skoro nie wezwała Chodzińskiego, dlatego wizyta niecierpliwego agenta dziwi rzeczniczkę PK, która ocenia ją jako „tak po ludzku, dość niezrozumiałe zachowanie".

Przypadek Chodzińskiego pokazuje, że z interesantami pragnącymi zeznawać w sprawie afer korupcyjnych lub piramid finansowych, w które są zamieszani – albo chociaż dowiedzieć się, co prokuratura na nich ma i kiedy zamierza ich przesłuchać lub aresztować – prokuratura nie współpracuje. To szalenie komplikuje planowanie kolejnych afer i piramid, utrudnia także zamieszanym osobom i ich rodzinom zagraniczne wyjazdy wakacyjne, bo człowiek nie wie, czy z takich wakacji wracać, czy od razu starać się o list żelazny, status małego świadka koronnego, wizę do Dubaju albo transfer do Naddniestrza.

Oczekiwanie na to, aż takie lub inne decyzje prokuratury zapadną lub nie, rodzi niepotrzebną nerwowość. A jeśli w końcu zapadają, zdaniem zainteresowanych są niesprawiedliwe lub oparte na nieporozumieniu. Szef PKOl Radosław Piesiewicz narzeka, że został zatrzymany na trzy miesiące bez wcześniejszego zawiadomienia, i to w sprawie, w której sam jest ofiarą. „Straciłem 200 tys. euro, zapłaciłem za zegarek. Do czego mam się przyznawać?" – pyta. Zresztą ten zegarek prokuratura i tak zabezpieczyła, więc wychodzi na to, że szef PKOl jest dodatkowo stratny, bo w areszcie nie może z niego korzystać.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 1a9930715e

REKLAMA

Zapisz się na newslettery POLITYKI i bądź na bieżąco

Newsletter poranny
5 najważniejszych tematów na dobry początek dnia.

Newsletter wieczorny
Najlepsze teksty i najważniejsze wydarzenia dnia w jednym mailu.

Kulturalny newsletter „Polityki”
Co tydzień podpowiadamy, co przeczytać, obejrzeć i zobaczyć.

Newsletter historyczny
Historia, która pomaga lepiej zrozumieć współczesność.

Newsletter „Polityki” – Najnowsze wydania specjalne
Informacje o nowych wydaniach specjalnych i premierach dla subskrybentów.

Wybierz swój!

polityka.pl/newslettery

DO I OD REDAKCJI

POLITYKA numerem 1

Miło nam poinformować, że według najnowszych danych spółki Polskie Badania Czytelnictwa POLITYKA odnotowała najwyższą sprzedaż spośród wszystkich tygodników opinii w Polsce również w drugim kwartale 2026 r. Z wynikiem 66,2 tys. średnio sprzedanych wydań była tym samym najchętniej kupowanym tytułem w segmencie.

Na drugim miejscu w zestawieniu tradycyjnie znalazł się „Newsweek” – ze średnią sprzedażą na poziomie 56,6 tys. egz. Pozostałe tygodniki społeczno-polityczne i tym razem znalazły się daleko w tyle: „Tygodnik Powszechny” sprzedawał średnio 23,6 tys. egz., „Do Rzeczy” – 19,9 tys. egz., „Sieci” – 18,8 tys. egz., „Gazeta Polska” – 16,7 tys. egz.

Pod względem sprzedaży wydań cyfrowych (tzw. e-wydań) najlepiej wypadł „Newsweek”, który w drugim kwartale br. osiągnął średnią sprzedaż na poziomie 28,3 tys. egz. Na drugim miejscu znalazła się POLITYKA – ze średnią sprzedażą wynoszącą 27,1 tys. egz. Żaden z pozostałych tytułów nie przekroczył natomiast progu 9,3 tys. sprzedanych egzemplarzy.

REDAKCJA

Celebrujmy posiłki

Artykuł Joanny Podgórskiej „Zmysłowa gastrofizyka” (POLITYKA 34) trafnie pokazuje, że jedzenie to coś więcej niż smak i kalorie. Na nasze doświadczenie posiłku wpływają także wzrok, zapach, dźwięk, dotyk, wygląd potrawy i samo oczekiwanie na jedzenie.

Warto dodać, że organizm zaczyna przygotowywać się do posiłku jeszcze przed pierwszym kęsem. Widok i zapach potrawy, a nawet odgłosy jej przygotowywania, pobudzają wydzielanie śliny i soków trawiennych oraz przygotowują przewód pokarmowy do pracy. Trzustka może także rozpocząć wydzielanie niewielkiej ilości insuliny, zanim cukier z jedzenia pojawi się we krwi. Mózg przewiduje nadejście pokarmu i wysyła organizmowi sygnał: „przygotuj się do trawienia”.

Znaczenie tego ewolucyjnego mechanizmu dla zdrowia jest rozumiane coraz lepiej. Zaburzenia współpracy między zmysłami, mózgiem i układem trawiennym wpływają na apetyt, poziom cukru i masę ciała. Nie powodują same cukrzycy ani otyłości, mogą jednak być jednym z wielu czynników sprzyjających tym chorobom.

Współczesny sposób jedzenia dodatkowo komplikuje tę relację. Jesteśmy bombardowani obrazami i zapachami potraw, a jednocześnie często jemy szybko, bez skupienia, przed ekranem. Nowe leki działające na receptor GLP-1 przypominają zaś, jak ściśle mózg, jelita i trzustka współpracują w regulowaniu apetytu, sytości i poziomu cukru.

Może więc, poznając coraz lepiej fizjologię trawienia, powinniśmy także zmienić nieco własne obyczaje przy stole? Może zamiast jeść w pośpiechu, między jednym mailem a drugim, warto bardziej celebrować posiłki? Nawet żołądek może mieć coś przeciwko jedzeniu „w biegu”.

GRACJAN PODGÓRSKI, SPECJALISTA CHORÓB WEWNĘTRZNYCH

eprasa.pl 1a9930715e

Jak zmieniać miasta?

W Atenach zwiększa się powierzchnie terenów zielonych wszędzie tam, gdzie jest to możliwe. A na budynkach publicznych (obowiązkowo) i prywatnych (opcjonalnie) mają się pojawiać zielone dachy i ściany. Rośliny zatrzymują bowiem wodę w swoim otoczeniu. Sadzi się także drzewa, by w ich cieniu można było odpocząć od upału. Włosi czy Francuzi wprowadzają podobne rozwiązania; zachęcają także swoich obywateli do korzystania z transportu publicznego i rowerowego. Hiszpania inteligentnie zagęszcza zabudowę mieszkaniową, by nie zajmowała zbyt dużego obszaru i nie przyczyniała się do powstawania tzw. miejskich wysp ciepła.

Polska nie pozostaje w tyle. A nawet na polu adaptacji do zmian klimatycznych odnosi sukcesy. Najbardziej błękitno-zielonym miastem w UE – jak wynika ze wskaźnika COOLCITY Index 2026, którym objęto 11 041 miast z 27 krajów – jest Piwniczna-Zdrój. M.in. dlatego, że tylko 8 na 100 m kw. powierzchni tej miejscowości jest zabudowane lub pokryte betonem, a na jednego mieszkańca przypada 2 tys. m kw. terenów zielonych. Jeśli zaś chodzi o stolice, na pierwszych trzech miejscach

ODPOWIEDZIALNA PRZYSZŁOŚĆ ZACZYNA SIĘ OD NAUKI.

w rankingu uplasowały się: Sztokholm, Wilno i Ryga. Warszawa zajęła ósme miejsce – i czwarte w zestawieniu miast polskich, za Krakowem, Wrocławiem i Poznaniem.

Oczywiście wszędzie trzeba robić znacznie więcej i dynamiczniej. W jaki sposób do przyspieszenia doprowadzić? Z jakich jeszcze wzorców można skorzystać? Jak sprawić, by zielona transformacja miast przebiegała sprawiedliwie, z uwzględnieniem potrzeb ich mieszkańców? I ile właściwie pozostało nam na to czasu? O tym wszystkim będziemy rozmawiać z ekspertami podczas spotkania Pulsara zatytułowanego **„Miejska gorączka. Bezpieczeństwo mieszkańców w zmieniającym się klimacie”**. Zapraszamy **18 września o godz. 13.30 do Centrum Nauki Kopernik w Warszawie** (Wybrzeże Kościuszkowskie 18, budynek Pracowni Przewrotu Kopernikańskiego, Sala Szklana).

Naszymi gośćmi będą: dr Ilona Iłowiecka-Tańska – zastępczyni dyrektor programowej ds. innowacji w Centrum Nauki Kopernik (wprowadzenie), prof. dr hab. Szymon Malinowski – fizyk atmosfery z Instytutu Geofizyki Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego, Maria Andrzejewska – dyrektorka generalna UNEP/GRID-Warszawa, Marcin Grądzki – dyrektor Biura Ochrony Powietrza i Polityki Klimatycznej Urzędu m.st. Warszawy oraz Szymon Tumielewicz – zastępca dyrektora Departamentu Strategii i Odporności Klimatycznej w Ministerstwie Klimatu i Środowiska.

Kolejne spotkania odbędą się: w październiku w Lublinie, w listopadzie w Szczecinie i w grudniu w Katowicach. Informować o nich będziemy na: **projektpulsar.pl**

Sponsorem cyklu „Podróż po wiedzę” jest Enea.

REKLAMA

Plebiscyt Nike Czytelników

30 lat Nike Nagroda Literacka

Na Wasze głosy i recenzje czekamy do 27 września

Do zdobycia nagroda pieniężna o wartości 10 000 zł.

Zagłosuj na: wyborcza.pl/plebiscytnike

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI

MECENASI: ORLEN, KRUK

PARTNER GŁÓWNY FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU: TOTALIZATOR SPORTOWY, LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

eprasa.pl 1a9930715e

PODRÓŻE

Po cudzie

Osaka, Kioto i Tokio to miasta nabite na trasę szybkiego pociągu Shinkansen niczym ryżowe kulki dango na patyczek. Układają się w opowieść o współczesnej Japonii – innej niż ta ze zdjęć ze święta kwitnącej wiśni.

Osaka

Drugie najważniejsze miasto Japonii sprawia wrażenie, jakby zostało zbudowane dla turystów. Żeby z miejsca oszołomić ich swoją wielkością, zachwycić połączeniem nowoczesności (wieżowiec Umeda Sky Building) i tradycji (XVI-wieczny zamek), a potem wciągnąć do dzielnicy Dōtonbori, położonej nad kanałem „pułapki na turystów". Warto dać się w nią złapać: odwiedzić tycie knajpki, nakupić pamiątek w kultowym i strasznie głośnym domu towarowym Don Quijote (wyposażonym w diabelski młyn!), popłynąć w rejs, by obejrzeć z bliska wielką reklamę firmy Glico przedstawiającą biegacza. A potem, wracając metrem do hotelu, zastanowić się nad naklejką na peronie: „Tu zatrzymuje się wagon tylko dla kobiet". Wagony zaczęto dołączać już w 1912 r., a zjawisko molestowania w środkach publicznego transportu doczekało się nawet osobnego określenia: *chikan*. Ale problem jak istniał, tak istnieje. Japonia, choć powszechnie łączona z postępem, zwłaszcza technologicznym, kulturowo pozostaje krajem konserwatywnym i patriarchalnym.

W okolicach Osaki znajduje się wiele atrakcji, jak wpisany na listę UNESCO Zamek Himeji czy słynny Park Nara, w którym można spotkać jelenie. Ludziom kultury poleciłbym także odwiedzić miasto Takarazuka. Mieści się w nim fascynujące muzeum Osamu Tezuki, „boga mangi", twórcy podwalin pod współczesny japoński komiks i animację, który w swojej twórczości nie unikał też ciemnych stron japońskiej tożsamości.

Michał R. Wiśniewski – pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej oraz współczesnych obyczajach. Nominowany do Nagrody Conrada za powieść „Jetlag". Autor książek „Wszyscy jesteśmy cyborgami", „Zabójcze aplikacje" i „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci".

Kioto

Dawna stolica Japonii kusi szansą zanurzenia się w tradycji. Można np. wypożyczyć (albo kupić) kimono lub yukatę i w takim przebraniu spacerować wśród zabytków. Ale można także udać się do Parku Toei Kyoto – to swoiste muzeum filmów i seriali o samurajach, z dekoracjami i rekwizytami z planów, a także przecudnie slapstickowym pokazem „Ninja Show". Znajduje się tam też replika gigantycznego robota z kultowego serialu „Neon Genesis Evangelion". Twórcy tej produkcji użyli popkulturowych schematów do opowiedzenia historii o dojrzewaniu, depresji i samotności w tłumie – a stworzona została przez i dla *otaku*, społecznie wycofanych fanów.

Przemiany gospodarcze, jakie przeszła powojenna Japonia, można z kolei prześledzić w Muzeum Nintendo w Uji, pół godziny jazdy od centrum Kioto. Założona w 1889 r. firma zaczynała od kart do gry *hanafuda*; w XX w. wzięła się do produkcji zabawek, w tym gier elektronicznych i konsol, z których dziś jest najbardziej znana. Jedną z atrakcji muzeum jest możliwość zagrania w klasyczne gry, również „analogowe" – takie jak domowa maszynka wystrzeliwująca piłki baseballowe. Dla niej odtworzono domostwa z różnych epok, przy okazji rejestrując rozwój japońskiego konsumpcjonizmu. Od boomu na AGD w latach 60. po elektronikę użytkową w latach 80. Kolejna dekada (nazywana „straconą") przyniosła kryzys – podbój Zachodu przez Nintendo czy Sony był nieco wymuszony sytuacją na rynku wewnętrznym. Dziś Japonia zmaga się z wieloletnią stagnacją.

Tokio

Śladów kryzysu i stagnacji nie widać jednak na pierwszy rzut oka. Japonia jest krajem, który działa, co najlepiej pokazuje gigantyczny organizm, jakim jest Tokio – od sprawnej komunikacji po kosmiczne toalety publiczne. W stolicy wciąż odbijają się efekty dawnego boomu gospodarczego: betonowe miasto rozlewa się w pionie i poziomie, i można odnieść wrażenie, że zniszczone niegdyś przez Godzillę, w mangach, filmach i serialach, samo zmieniło się w potwora, który pożera kolejne przestrzenie.

Wątki ekologiczne są podstawą twórczości wybitnego rysownika Hayao Miyazakiego – dlatego **muzeum założonego przez niego słynnego studia Ghibli** zostało zaprojektowane jak ogród. Nie jest łatwo je odwiedzić – internetowa sprzedaż biletów podlega niezwykle restrykcyjnym zasadom, a najlepszym rozwiązaniem dla osób spoza Japonii jest zakup pakietu obejmującego także wizytę w skansenie Edo-Tokio, gdzie można poczuć klimat jak z filmu „Mój sąsiad Totoro". Największy hit studia Ghibli jest fantazją o przyjaznej przeszłości, która ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, ale stał się jednym z symboli Japonii i jeszcze jednym wabikiem na turystów. ■

eprasa.pl 1a9930715e

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

MEA PULPA

Tomasz Sakiewicz negocjował z Przemysławem Kralem z Zondacrypto sprzedaż części udziałów Telewizji Republika. Obie firmy łączy jedno. Dalej można tylko wpłacać.

Karol Nawrocki jest przeciwko edukacji seksualnej, gdyż ta demoralizuje dzieci. Dlatego w Juracie spotkał się ze Skolimem, który edukuje właściwie: „Rozkładam nogi twoje i biorę co moje".

Robert Lewandowski buduje tor wyścigowy dla Formuły 1 na Dolnym Śląsku. Grand Prix Żmigrodu brzmi dumnie. Info dla fanów piłki: burmistrz Lewandowski nigdy nie był w Chicago.

Polsat pokaże film „Kevin sam w domu" nie tylko w Wigilię, ale też we wrześniu. Dziwne. Światowy Dzień Recyklingu obchodzimy w marcu.

Marcin Prokop gorzko o USA: „Skumulowany ładunek złej energii". To prawda. Donald Trump, aby zbliżyć się do swoich wyborców, planuje wziąć udział w napadzie na sklep jubilerski.

„Legendy Radia ZET przechodzą do Radia Eska" – czytam. Okazuje się, że to Marcin Sońta i Michał Korościel. Legenda głosi, że o szóstej rano ściany są bardziej miękkie.

Afera stulecia. W filmie „Nigdy w życiu. 20 lat później" córki głównej bohaterki, Tosi, nie zagra ponownie Joanna Jabłczyńska. O matko! W „Pasji 2" Jezusa też zagra inny aktor. I nikt nikogo za to nie ukrzyżował.

Krzysztof Rutkowski wybrał się do Naddniestrza w poszukiwaniu Marcina Romanowskiego. Detektyw poprzez serię zmyślnych pytań typu, czy ktoś go tam widział, ustalił, że nikt go tam nie widział.

Kizo wrzucił zdjęcie z Karolem Nawrockim i podpisem: „Siła". Napoleon dawno to rozwinął: „Siła bez inteligencji jest bezużyteczna".

Iwona Kutyna przeszła z Polsatu do TVP Info. Wcześniej była w Radiu Leliwa, Radiu Kolor, Radiu Plus, Programie I PR, Programie IV PR, Chillizet, Radio Zet, TVN, TVN24, TV4, Polsat, TVP2, TVP Info, TVP Polonia, TVP Regionalna. Ciąg dalszy za tydzień.

Michał Sikorski, gwiazda serialu „1670", dołączył do serialu „The Office PL". Z „The Office" jest jak z homiliami papieskimi: wystarczy pierwszy sezon.

Ulubieniec mediów Daniel Martyniuk stwierdził, że wypisuje się z Polski, czyli literacko: „Takiego chu...a mnie w tej Polsce zobaczycie". Jeszcze nie Pasternak, ale już Miłosz.

„Jako artystka jestem apolityczna" – to Doda zapytana, czy zagrałaby dla prezydenta Nawrockiego. Pamiętam jej zdjęcia z Antonim Macierewiczem i podpis, że ciepły i wspaniały. Ale wtedy artystą był jej mąż.

Michał Kempa i Wojciech Fiedorczuk dołączyli do Radia Zet. Dla równowagi: do Jagiellonii Białystok dołączył Aleksandar Ćirković.

Ewa Chodakowska poinformowała, że po 17 latach rozstaje się z mężem. Szok. Dzięki tej wiadomości nie zdążyłem dziś na fitness. To już piąty rok z rzędu.

„Jeśli najważniejszym wydarzeniem na spotkaniu prezydenta jest występ Skolima, to to jest porąbane, porąbane, porąbane". To Włodzimierz Czarzasty. Znając Skolima, zrobi z tego refren.

„Chore zapier...anie jest oznaką deficytów intelektualnych. Nawet przygłupia małpa potrafi przycisnąć pedał" – tak nauczał Krzysztof Stanowski. Właśnie stracił prawo jazdy za prędkość.

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, AKPA, FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 1a9930715e

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Wakacje z aferami

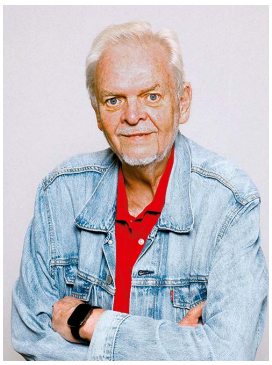

Rząd wchodzi w nowy sezon polityczny z dużym bagażem afer (szpitale, najem krótkoterminowy, promocja polskiej marki, Maciej Berek w TK). Mimo to **prof. Andrzej Rychard z PAN w podkaście „Temat tygodnia" twierdzi, że Donald Tusk może mieć powody do zadowolenia.** Na czym polega ten paradoks, w jakiej kondycji są PiS i obie Konfederacje, czy rośnie rola prezydenta – o tym w rozmowie Karoliny Lewickiej.

Wielka próba Ukrainy

Reporter Mateusz Lachowski, gość podkastu „Świat na zakręcie", opowiada, jak dziś wygląda sytuacja na froncie, jaki jest rachunek strat po obu stronach, czym jest „strefa śmierci" i co czują mieszkańcy w jej pobliżu. Jak mówi, Ukraina jest zmęczona, a jej „PKB jest wielkości obwarzanka warszawskiego". Jeśli Władimir Putin ogłosi mobilizację, wojna wejdzie w nową fazę. Szans na pokój nie widać.

Miłość... ale nie w Zakopanem

Ponad 260 dni upłynęło od wyroku TSUE do wejścia w życie rozporządzenia w sprawie transkrypcji małżeństw LGBT+. Ale samorządy wciąż piętrzą trudności, Zakopane wprost odmawia wpisów („Nie nam to rozwiązywać, to nie jest kwestia dla małych gmin", twierdzi burmistrz miasta), a resort finansów milczy na temat wspólnego rozliczania się i podatku od spadków. Szczegóły w tekście Mateusza Witczaka.

Czytanie mniej narodowe

W weekend Karol Nawrocki z małżonką w ramach akcji Narodowego Czytania przybliżali Polakom „Dziady". Nie trwało to 14 godzin jak słynny spektakl **Michała Zadary, który gościł w podkaście „POLITYKA o książkach" Justyny Sobolewskiej. To rozmowa o Mickiewiczu, romantyzmie i nowym odczytaniu szkolnego kanonu.** Wspominamy też „Władcę Pierścieni", książki z dzieciństwa i – żadnych skojarzeń – Kaczora Donalda.

Nigdy w życiu!

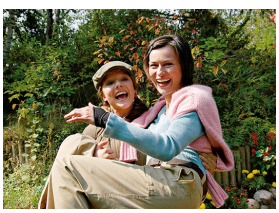

Spór o obsadę nowej części „Nigdy w życiu" rozpala social media i zniesmacza. Joanna Jabłczyńska, odtwórczyni roli Tosi, ma żal do producentów. Katarzyna Grochola, autorka książkowego oryginału, grozi aktorce sądem. **„Dziwnie się zrobiło, kiedy zatarła się granica między fikcją, rzeczywistością i warstwą meta", pisze na polityka.pl Michał R. Wiśniewski i streszcza aferę o obsadę „Nigdy w życiu" wszystkim niewtajemniczonym.**

© LESZEK ZYCH (3), JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, AKPA

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 1a9930715e

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 1a9930715e

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!

Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 1a9930715e